NRLF-1
MAIN

A. DE LA GRANGE

POD KŁAMI DZIKICH ZWIERZĄT

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW PRZEŚLADOWANIA CHRZEŚCIJAN

KRAKÓW. 1917. NAKŁADEM REDAKCYI „PIASTA".
CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ, JAGIELLOŃSKA 10.

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

TOWARZYSTWO CZYTELNI LUDOWYCH W KRAKOWIE

Odbitka z „Piasta".

I.

W amfiteatrze Flawiusza.

W godzinach popołudniowych pewnego pięknego dnia październikowego, w 96 roku ery chrześcijańskiej, lud rzymski spieszył gromadnie ze wszystkich stron do amfiteatru Flawiusza, który potomność, z powodu jego wielkich rozmiarów, ochrzciła nazwą: koloseum.

Już od wczesnego rana mieszkańcy Rzymu widzieli, porozwieszane na rogach ulic, nazwiska gladyatorów, którzy wieczorem mieli walczyć w amfiteatrze. Z pośród wszystkich wszakże wyróżniało się, wypisane wielkiemi, czerwonemi literami na oddzielnej tabliczce, imię Parysa, recyaryusza; tak nazywano tych gladyatorów, którzy walczyli z trójzębem w dłoni, podobnym z wyglądu do wideł, i sidłali przeciwnika w specyalnie do tego celu przeznaczone sieci.

Widowisko urządzane było kosztem cezara (cesarza) Domicyana, który w ten sposób uczcić pragnął szóstą rocznicę swego zwycięstwa nad Dakami, żyjącymi niegdyś poza południowym brzegiem Dunaju.

Podczas, gdy wielka masa ludu, swawoląc i żartując, w wesołym nastroju ducha, poruszała się bezładnie, jak zbałwanione wichrem morze, przez tłumy przedzierał się jakiś siwobrody starzec. Zmierzał on od miejsca, gdzie znajdowała się świątynia bogini Konkordyi — w kierunku Forum (rynku).

Wsparty na kiju sękatym, dreptał on zwolna, zbaczając to w tę, to w ową stronę, popychany przez tłumy, uparcie kierując się ku amfiteatrowi. Kiedy udało mu

się już dotrzeć do łuku tryumfalnego Tytusa, przystanął, wsparł się plecami o ścianę, ażeby chwilkę wypocząć.

Odzież jego składała się z długiej, zniszczonej już tuniki, osłoniętej całkowicie równie starą penulą, będącą czemś w rodzaju płaszcza, chroniącego przed deszczem. Rodzaj kapelusza, używanego w owe czasy przez starców i chorych, okrywał jego wyłysiałą głowę. Pochylona postawa starca oraz bruzdy, żłobiące twarz jego, kazały się domyślać, iż cierpienia oraz przejścia życiowe postarzały go bardziej, aniżeli lata, które na swych barkach dźwigał. Poważny, pełen szlachetnej godności wyraz twarzy, odbijający się dziwnie od jego ubogiego odzienia i od cichego jakiegoś smutku, tającego się w jego oczach, uwydatniał bardziej jeszcze szlachetne rysy jego oblicza.

Oparty o ścianę łuku tryumfalnego, stał chwilę nieruchomo, gdy nagle znów popychać go poczęła ciżba ludzka. Czyniono miejsce w celu przepuszczenia dwu, poprzedzanych przez straże, lektyk.

Pierwsza lektyka niesiona była na ramionach przez ośmiu murzynów, niewolników nubijskich. Długie, spuszczone firanki, ozdobione kwiatami i przeplecione wełnianemi wstążkami, zasłaniały osoby, znajdujące się wewnątrz. Drugą lektykę zaledwie można było ochrzcić takiem mianem; było to raczej krzesło, t. zw. *sellae*. I tu zapuszczona firanka nie dopuszczała wzroku do wnętrza. Brak tu jednak było kwiatów i wstążek barwnych, któremi przyozdobiona była pierwsza lektyka. Krzesło niesione było na zwykłych drążkach przez czterech niewolników.

— W tamtej lektyce siedzi Domicya, żona cezara — rzekł jeden z pieszych żołnierzy.

— Szczęśliwy będzie dziś Parys, jeżeli uda mu się ująć sobie Domicyę Augustę — dopowiedział pewien młody plebejusz.

Starzec również przypatrywał się lektykom z wielką uwagą. Gdy spostrzegł, że niewolnicy ciężar swój w niewielkiej odległości od łuku tryumfalnego postawili na ziemi, aby nieco wypocząć, uśmiech radości zajaśniał na jego twarzy. Jak tylko mógł wzniósł wysoko ponad tłum głowę, ażeby *sellae* lepiej obaczyć.

Oczy wszystkich starały się wniknąć poprzez spojenia firanek do wnętrza lektyki, aby zbadać, kto się tam znajduje; poza firankami jednak znajdowała się jeszcze delikatna, lecz gęsta plecionka, która oczom ludzkim tamowała całkowicie drogę. Nagle zauważono bielutką rękę, podnoszącą plecionkę do góry, jednocześnie zaś rozsunięte zostały firanki. Ujrzano wtedy, wspartą na purpurowem wezgłowiu matronę, której wysoka postać opływała w fałdy długiej szaty, zwanej *stola*.

Liczko jej było piękne, spojrzenie zaś znamionowało bezgraniczną łagodność.

Podnosząc główkę, przebiegała badawczem spojrzeniem stojące dookoła masy ludu. Gdy spostrzegła starca w znoszonej penuli, na ustach jej zawisł lekki uśmiech.

Natychmiast dotknęła się prawą ręką swego czoła, jakgdyby chciała sobie loki poprawić; potem położyła rękę na piersi, jakgdyby poprawiając fałdy swojej szaty; następnie podniosła zwolna rękę ku lewemu ramieniu, poczem opuściła ją w dół ku stronie prawej.

Nikt nie zwrócił na ten gest uwagi; uważny jednak obserwator spostrzegłby niewątpliwie, iż wzrok jej zwrócony był na starca, który w tym samym czasie podobny ruch prawą ręką uczynił.

Po krótkiej chwili zapadły znów firanki i niewolnicy w dalszą ruszyli drogę.

— Kim jest owa matrona? — zagadnął jeden z trabantów pieszych.

— To jest Flawia Domicela, siostrzenica cezara — odpowiedział starzec.

Ujrzawszy jednak na twarzy żołdaka uśmiech pogardliwy, dodał:

— Domicela jest aniołem bez winy.

To mówiąc, oddalił się szybko z tego miejsca i zginął w tłumie.

— Aniołem! — śmiał się pogardliwie żołnierz. — Chciałbym wiedzieć, do którego gatunku zwierząt należą aniołowie.

— Aniołowie są to geniusze, będący zwolennikami zawieszonego na krzyżu Nazarejczyka — ozwał się z tłumu jakiś mężczyzna, dumny z udzielonej informacyi.

— Starym psem był Nazarejczyk! O, gdybym go dostał w swe ręce... — wykrzykiwał brutalnie żołdak wodząc wzrokiem dookoła i wygrażając pięścią.

— Na Jupitera! Dać go tutaj! Niezbyt by się w amfiteatrze zabawił, bo pod koniec widowiska wprowadzona będzie na arenę i rozszarpana przez dzikie bestye jedna z jego współwyznawczyń — rzekł plebejusz, wznosząc się wyżej i opierając na ramionach swego sąsiada.

Podczas gdy tu się tak zabawiano, starzec zdołał dotrzeć do *meta sudans* i zatrzymał się tam chwilę na boku, dopóki nie przepłynęły falangi tłumów.

Meta sudans była to wówczas przepysznie skonstruowana fontanna, z której dziś zaledwie rumowisko kamieni pozostało. Zdobiła ona plac, prowadzący bezpośrednio do amfiteatru. U góry wytryskała woda, rozstrzelając się na tysiące promieni, spadających na olbrzymią muszlę, opartą na filarach, stąd zaś w sposób kolisty spływając do umieszczonego poniżej basenu.

Starzec, wsparty na marmurowej poręczy basenu, przyglądał się, pogrążony w myślach, kolosalnym murom amfiteatru i mówił z cicha:

— Gdybym mógł sił dodać dziewicy, która dziś za Twoją wiarę, o mój Boże, ma umrzeć... Biedna Floronio! Palma męczeństwa oczekuje ciebie. Domicela mnie widziała; ona wie, co mnie tu sprowadziło... Umrzeć, mając lat dwadzieścia, w wiośnie życia, po wycierpieniu tylu mąk — naprawdę, to okrutne! Ale... czemu płaczę?... Czyż mogę się moich łez nie wstydzić? Wrota niebios stoją już otworem na jej przyjęcie. Aniołowie nucą już: *hosanna!*

To mówiąc, starzec wzniósł ku niebu oczy, w których żarzyły się promienie wiary i, westchnąwszy cicho, ruszył znów w drogę. Wstępował już właśnie pod dolny łuk amfiteatru, skąd po stopniach dwudziestu dostać się było można do wyżej położonych galeryi, gdy nagle zmienił postanowienie i zwrócił się ku głównemu wejściu, chcąc przyjrzeć się dwu innym lektykom, przybyłym właśnie pod strażą liktorów.

Niewolnicy ustawili lektyki u stopni wejścia gło-

wnego, po chwili zaś ujrzano wysiadające z nich dwie westalki (kapłanki).

Pierwsza z nich była kobietą małego wzrostu, nie pierwszej młodości. Jej twarz pożółkła odbijała się jaskrawo od białej przepaski, otaczającej wierzch głowy. Biała suknia, spięta w biodrach pasem ze złotą klamrą, obramowana była purpurą. Złota obrączka podtrzymywała i ściągała na czole wełniany płaszcz, który w licznych fałdach spływał do samej ziemi.

Odrażająca była to postać, nietyle ze względu na rysy twarzy, ile raczej z przyczyny jej ogólnego wyrazu, znamionującego lisią przebiegłość.

Druga westalka, przeciwnie — była młoda i piękna, o regularnym profilu twarzyczki i małych ustach, z których wyłaniały się przy uśmiechu ząbki białe, jak perły. Z dużych, czarnych oczu młodziutkiej westalki przeglądały: niepokalana czystość i serdeczność, na białem zaś czole występowały, z wdziękiem zarysowane, czarne brwi.

Z młodzieńczą żywością wysiadłszy z lektyki, nie zwracając najmniejszej uwagi na towarzyszkę, pospieszyła na schody, wspinając się szybko w górę.

Naraz usłyszała skrzeczący głos starej westalki:

— Kornelio, nie spiesz tak bardzo; nie mogę nadążyć.

Kornelia odwróciła głowę i zaśmiała się z takim wdziękiem, iż wydała się podwójnie piękną. Zeszła żwawo po schodach, przyczem niechcący potrąciła starca tak silnie, iż ten, zatoczywszy się, upadł na podłogę.

Jeden z liktorów rzucił się ku niemu natychmiast, aby poskromić plebejusza, który poważył się tak bardzo zbliżyć do westalki. Piękna dziewica jednak, zbladłszy z obawy, zagrodziła mu czemprędzej drogę, wołając:

— Szacunek wobec starca, choćby on był hańbą okryty!

Następnie zwróciła się do starca, mówiąc głosem łagodnym:

— Wybacz mi, starcze!

— Córko Faustuli, ty mnie nie obraziłaś, a gdybyś mnie nawet nogami swemi zdeptała i wtenczas błogo-

sławiłbym cię — odrzekł starzec w penuli, obrzucając westalkę ojcowskiem, dobrodusznem spojrzeniem.

— Kto ty jesteś, że znasz moją matkę?

— Na co ci się zda moje nazwisko, które w uszach twych brzmieć będzie zupełnie obco? Wiele lat już upłynęło od czasu, kiedym poznał tę, która ci życie dała. Ale... w jej imieniu uczyń dziś dzieło miłosierdzia: uratuj nieszczęsną, która w młodzieńczym, jak ty, będąc wieku, dziś przez bestye dzikie ma być umęczona!

Wielkie łzy popłynęły przy tych słowach po zoranem bruzdami obliczu starca. Kornelia przyjrzała mu się wzrokiem zdziwionym, a wreszcie rzekła:

— Wypowiedz się jaśniej. Nie wiem, czego chcesz odemnie.

— Pewna chrześcijanka skazana jest na śmierć męczeńską. Tortury jej posłużyć dziś mają do zabawienia tłumów. Ty, jeśli chcesz, możesz ją ocalić...

— Mylisz się, starcze! Westalki ocalają życie tym tylko przestępcom, których spotkają w drodze, prowadzonych na męczarnie. W amfiteatrze może tylko cezar jeden ułaskawić, ale on... nienawidzi Nazarejczyków.

Bolesne westchnienie było odpowiedzią starca, obcierającego brzegiem swej penuli łzę, zwisającą mu z powiek.

— Kornelio, opóźniasz się — zabrzmiał skrzeczący głos drugiej westalki, stojącej podczas tej całej rozmowy na pierwszych stopniach schodów.

Kornelia udała, iż tego wołania nie słyszy. Spojrzawszy raz jeszcze z współczuciem na starca, rzekła doń po przyjacielsku:

— Znasz więc moją matkę, której pamięć tak czczę, jak pamięć bogów... Wydajesz mi się biednym i nieszczęśliwym, uczyń więc tak, ażebym cię raz jeszcze spotkała i...

Tu urwała nagle i poczerwieniała ze wstydu. Starzec w swem zniszczonem odzieniu miał wygląd tak godzien szacunku, iż nie odważyła się go prosić o przyjęcie jałmużny.

— Dziękuję ci, Kornelio — rzekł tenże, odgadując jej myśli. — Zobaczymy się jeszcze, a jeżeli Wszech-

mocny modlitwę twej matki usłyszy, otworzą się twoje źrenice na światło Prawdy wiekuistej...

— Kornelio! — rozległo się znów nawoływanie starszej westalki.

— Jestem, Flawio! — zawołało grzecznie dziewczę, zmierzając ku towarzyszce.

— Ale któż to jest ów mężczyzna — myślała sobie w duchu — który matkę moją tak dobrze zna i rozmawiał ze mną takim niezrozumiałym językiem.

— O Faustulo, módl się, abym wypełnić mógł przyrzeczenie, które ci dałem, gdy, na łożu śmierci będąc, powierzałaś mi płód swego łona — mówił do siebie półgłosem starzec, odprowadzając wzrokiem białą postać westalki.

Opuściwszy następnie dziedziniec, zwrócił się w kierunku galeryi, gdzie były miejsca, przeznaczone dla tłumu.

Przed nim postępowali ramię w ramię dwaj młodzi mężczyźni z legii jeźdźców. Jeden z nich z włosami w wieniec obciętemi, którego całe zachowanie się ujawniało dziecinną lekkomyślność, rzekł do swego towarzysza:

— Publiuszu, czy widziałeś siostrzenicę mojego ojca? Istotnie, przewyższa ona samą Wenus swą pięknością! Jakże chętnie jej się przyglądam i podziwiam jej cudne, błyszczące włosy, kiedy nie ma na głowie owej przeklętej przepaski.

— Milcz, Sekstusie — odrzekł Publiusz — nie mów w taki sposób o dziewicy, poświęconej strzeżeniu świętego ognia Westy.

— A co mnie zależy na owej bogini? Mniemasz, że wierzę w twoich bogów?

— Bluźnisz! Czy nie zostaniesz w końcu Nazarejczykiem? — wykrzyknął Publiusz, odpychając od siebie przyjaciela.

— Za życia... nie! — odrzekł tamten ze śmiechem. — Nazarejczycy gardzą i za grzech uważają to wszystko, co ja czczę i za rozkosz poczytuję. Nie będę ani Nazarejczykiem, ani czcicielem Jupitera; moi bogowie, to — przyjemności, poza niemi w nic innego wierzyć nie będę.

— Uwierzyć wówczas, kiedy ziemi się ruszy, który przemówi do twego serca — wtrącił obcy słowa, wypowiedziane półgłosem przez ich sługusa.

Człowiekiem, który wyrzekł te słowa, był starzec w zmiętej pomiętej todze, jakim nie pogardziłby przyjaciel, ukazał w tłumie przechodniów.

Obydwaj młodzi przyjaciele przystanęli i stali czas pewien, rozglądając się dookoła w nadziei, że ujrzą tego, z którego ust te słowa, brzmiące obco w ich uszach, wyjść mogły.

Daremnie.

Szczęśliwy Sekstus uniknął świadectwa tej niezgodliwej przeciwności, lecz biada jego lice wskazywało, iż myśli jego pogrążone są w wysokich rozsądkach, zdaje się, przyjaciela pod rękę, poczem skierowali się razem ku miejscom, przeznaczonym dla rycerstwa.

II.

Gladyator.

Amfiteatr od góry do dołu zapełniony był tłumem.

Szeroka przestrzeń, którą zdawał, wskazywała wypełnienia jej widowni i niezgrzebnego wrzawiska, wydawała się większą, niż zazwyczaj.

Cezar Domicyan siedział w pośredniej loży. Przy boku jego znajdowała się Domicya, siedziała zaś najniższej loży wejścia.

Słomiany gwar panował wewnątrz amfiteatru. Tu i ówdzie rozlegały się głośne okrzyki, dowodzące się z niecierpliwością rozpoczęcia widowiska.

Wreszcie — dwaj mężczyźni wystąpili na arenę.

Przyjęci zostali zazwyczaj radosnymi okrzykami i bukszpanu szmerem. Oczy wszystkich obecnych skierowały się w stronę nowoprzybyłych.

Jeden z nich należał do tej kategoryi gladyatorów, którzy uczuwają miłośnikami i którym zazwyczaj każdy się przyjaźni z Trakami. Nosili oni na głowach małe

hełmy z wyobrażoną na nich rybą. Broń ich składała się z miecza i tarczy. Podobnie też uzbrojeni byli Trakowie. Broń ich różniła się tylko kształtem.

Obadwaj przeciwnicy zwrócili się w stronę cezara i, składając mu niski ukłon, zawołali donośnie:

— *Caesar, morituri te salutant!* — co oznaczało: Cezarze, idący na śmierć — pozdrawiają cię!

Było to owo straszne pozdrowienie, które poświęceni na śmierć wznieść byli zmuszeni, na krótko przed oddaniem ostatniego tchnienia, swemu tyranowi.

Pozdrowiwszy w ten sposób cezara, zapaśnicy poczęli wyrzucać w powietrze swe miecze i z wielką zręcznością ponownie chwytać je w dłonie. Po tej niemej przygrywce do walki rzucili się na siebie wzajem, jak wściekłe bestye.

Rozpoczął się krwawy bój.

Podczas gdy walczący na śmierć i życie zapaśnicy uderzali na siebie z całą zaciętością, a widzowie, bądź w milczeniu, bądź też przy głośnych okrzykach, śledzili przebieg walki, dwaj inni gladyatorzy stanęli na arenie, oparci o drzwi, przez które wynoszono zazwyczaj trupy padłych na polu walki zapaśników.

Jeden z nich liczył zaledwie trzydzieści lat. Członki jego ciała były silne, jak u krotońskiego atlety. Wygląd jego wszakże był bardzo powszedni, w siwych zaś oczach żarzyła się brutalna dzikość. On również dźwigał na głowie hełm i uzbrojony był w miecz.

Towarzysz jego nie mógł mieć więcej nad lat dwadzieścia pięć. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, lecz szczupły, silnie jednak rozwinięte muskuły świadczyły o niepospolitej sile. Twarz jego była piękna, o rysach szlachetnych, lecz tak delikatnych, iż piękno jej nie miało wyrazu piękna twarzy męskiej. Jasny meszek okrywał policzki młodzieńczego gladyatora, zachodząc aż do ust. Ostrokątnie zakończona broda znamionowała energię i żelazny charakter. Wielkie, niebieskie oczy miały wyraz melancholijny; podczas walki jednak, toczonej na arenie, matowe jego spojrzenie rzucało iskrami tajonego wewnątrz żaru. Głowę tego gladyatora okrywał kapelusz, zwany *galerum*.

Wsparł się on w tej właśnie chwili na drzewcu żelaznego trójzęba. Żelazna obrączka, oznaka stanu niewolniczego, otaczała szyję gladyatora, u nóg zaś leżała gęsto spleciona, mocna sieć. W pół pochylony przed siebie, utkwił swój wzrok zamyślony w fotelu cezara, wydając od czasu do czasu z swej piersi głębokie westchnienie.

— Parysie, nie wzdychaj, zachowaj swe westchnienia do chwili, kiedy się zmierzę z tobą — rzekł tonem samochwalczym gladyator o herkulesowym wyglądzie.

Parys zwrócił ku niemu głowę i zmierzył go od stóp do głów. Wzruszył następnie pogardliwie ramionami i, uśmiechając się ironicznie, spoglądał znów w tym samym co przedtem kierunku.

Gladyator, widząc, że towarzysz go lekceważy, zagryzł do krwi wargi. Oblicze jego oblała purpura gniewu. Opanowany uczuciem wściekłości, siląc się jednak na spokój, ozwał się wkrótce:

— Piękny Parysie, cudne twe oczy łzy będą gorzkie wylewać, kiedy na arenie będziesz mnie błagał o zmiłowanie.

Brwi Parysa zwarły się razem. Wzruszył powtórnie ramionami i z chłodną obojętnością rzekł:

— Daj pokój, Fulwiuszu, przestań mnie nudzić.

— Nudzić się będziesz dziś po raz ostatni — zawołał Fulwiusz, popierając twierdzenie swoje groźnym gestem.

Parys jednak nie zwracał na to uwagi, zdawał się być pogrążony w jakichś błogich rozmyślaniach.

Nagle powstała wrzawa ogólna. Posypały się na arenę grzmiące jak huragan oklaski. Trak, powaliwszy swego przeciwnika na ziemię, zadał leżącemu jeszcze cios jeden, co widząc galerya jęła oddawać hołd zwycięzcy.

Po burzliwej owacyi nastąpiła uroczysta cisza, gdy w oczach wszystkich poczęto wlec przez arenę na haku żelaznym napoły żywe ciało nieszczęsnego gladyatora.

Niezwłocznie po oczyszczeniu areny lanista (tak nazywano fechtmistrza gladyatorów) podszedł ku Parysowi i Fulwiuszowi, dając im ręką sygnał do wystąpienia.

Parys raz jeszcze obrzucił wzrokiem lożę cezara, lecz spojrzenie to wolne już było teraz od melancholii. Oczy jego żarzyły się w tej chwili blaskiem dyamentów, blade zaś zazwyczaj policzki nabiegły krwią.

Chwyciwszy szybko swą sieć, pospieszył na środek areny, dokąd podążył również i jego przeciwnik. Obadwaj pozdrowili cezara zwykłem pozdrowieniem gladyatorów, poczem natychmiast rzucili się na siebie z nadzwyczajną zaciekłością.

Parys na przemiany to próbował ugodzić przeciwnika trójzębem, to usidłać go w sieć swoją. Daremnie Fulwiusz z wielką zręcznością umiał ciosy wszelkie odpierać. Równocześnie wszakże, blednąc z wściekłości, opuszczał teren, podczas, gdy Parys, walcząc z zimną krwią, nie zważał wcale na obelgi i przezwiska haniebne, miotane przez cofającego się przeciwnika. Na twarzy Parysa igrał uśmiech...

Walka trwała dość długo. Ciężkie oddechy potykających się przeciwników zwiastowały widzom, iż siły obu zapaśników są już na wyczerpaniu. Wreszcie Parysowi udało się pchnięciem trójzęba przebić Fulwiusza na wylot.

Galerya znów zabrzmiała od oklasków i owacyi. Parys jednak, stojąc, jakby zakłopotany, nad zwłokami samochwalcy, rzekł boleśnie:

— Biedny Fulwiuszu, nie chciałem cię życia pozbawić. Tylko los zawistny mi w tem dopomógł...

Powiedziawszy to, znów chwycił swój oręż i zajął bojową pozycyę.

Niezadługo rzucił się nań inny gladyator. Walka z tym drugim nie trwała już wszakże tak długo. Nowy zapaśnik skończył wkrótce tak, jak jego poprzednik.

— Brawo, Parysie! — wołali widzowie.

A Parys wzdychał, jak przedtem, bardziej zasępiony krwią, niepotrzebnie przelaną, aniżeli uradowany owacyami i odniesionem zwycięstwem.

Niezadługo wystąpił przeciw Parysowi trzeci z kolei gladyator, ubrany podobnie, jak i jego już nie żyjący towarzysze.

Podśpiewując sobie wesoło, rzucił się na Parysa i już przy pierwszem zderzeniu zranił go w lewe ramię.

Widok krwi, bardziej aniżeli ból, zagrzał niezwyciężonego gladyatora do równie szybkiego, jak spokojnego ciosu. Jeden skok zręczny Parysa, a sieć jego uwikłała przeciwnika od góry do dołu, tak, iż tenże, nie będąc w stanie się bronić, padł tylko na kolana i żebrał o litość.

Parys rzucił trójząb o ziemię i, zwracając się twarzą ku Domicyanowi, złożył ręce jak do modlitwy, prosząc o darowanie życia zwyciężonemu. Domicyan wysunął przed siebie prawą rękę i na znak łaski pochylił wielki palec ku arenie.

Zwyciężony gladyator wśród szyderczego śmiechu widzów oddalił się szybko z areny.

Parys zajął napowrót wyzywającą pozycyę.

Pot spływał z jego bladego czoła i krew czerwoną wstęgą sączyła się z rany. Ze zdumieniem spoglądano na jego wyzywającą postawę. Podziwiano, iż gotów on był z czwartym jeszcze przeciwnikiem iść w szranki.

Lud jednak rzymski, który walecznych gladyatorów niezmiernie uwielbiał i cenił, z tysięcy gardzieli zakrzyknął:

— Dosyć!

— Cezarze, nie dopuść do tego, aby ten wielki herkules jedynie wskutek wyczerpania się z sił został pokonany — rzekła do cezara Domicya.

Ten jednak z gestem zniecierpliwienia odrzekł:

— Na Marsa! Nie byłoby dla mnie nic przyjemniejszego, jak być świadkiem ostatnich tchnień Parysa; on musi pięknie umrzeć, co gdyby się stało, wystawiłbym ku czci jego pomnik.

Powiedziawszy te słowa, Domicyan zagłębił się w krótkich rozmyślaniach, poczem dodał:

— No, więc możemy to obaczyć innym razem.

Powziąwszy takie postanowienie, Domicyan dał „laniście“ gestem do zrozumienia, że gladyatora, gotowego do walki, należy zluzować.

Parysa obwołano w cyrku zwycięzcą. Wieniec palmowy, ozdobiony wstążkami pstrego koloru i prezent złoty były dlań nagrodą za zwycięstwo.

Arena na pewien przeciąg czasu została opróżniona. Wszyscy oczekiwali z dreszczem niecierpliwości najstraszliwszej sceny z całego programu.

Nagle rozszedł się po amfiteatrze cichy pomruk, po którym nastąpiła cisza zupełna.

Zaledwie uwierzyć było można, iż wszyscy widzowie, którzy przedtem zachowywali się w cyrku tak hałaśliwie, w jednej niemal chwili zatrzymali oddech w piersiach i znieruchomieli, jak marmur.

Z bocznych drzwi amfiteatru wypchnięto brutalnie na arenę dziewicę, liczącą zaledwie dwadzieścia wiosen życia.

Wzrostu była niewielkiego i nader wątłej, delikatnej budowy ciała. Długie, blond włosy, spływały swobodnie z ramion i okrywały ją całą, niby płaszczem. Blada twarzyczka o delikatnie zaciętych rysach sprawiała, iż dziewica owa przedstawiła się oczom obecnych, jako niezwykle urocze zjawisko. Ale jej duże, niebieskie oczy, uduchowione uroczystem, świętem jakiemś zamyśleniem, ożywiały całą twarzyczkę i rzucały na nią blask dziwnie niebiański.

Długa, biała tunika okrywała całą jej postać, tak, iż tylko nagie, maleńkie stopki wydobywały się nazewnątrz; tunika owa była jedynem jej odzieniem, w które ubierano dziewice, skazane na śmierć. Zwano ją też „śmiertelną koszulą".

Skrzyżowawszy ręce na piersi, ze spuszczonemi w dół oczyma, dziewica szła zwolna ku środkowi areny. Stanąwszy na środku, wzniosła oczy do góry, jakby dziwiąc się, że wzrok wszystkich widzów na nią jedną był skierowany. Policzki jej oblała jakby purpura wstydu. Łzy boleści wytrysnęły z jej oczu, płynąc srebrzystą strugą po smutnej twarzyczce dziewczęcia. Padła wreszcie na kolana, a usta jej poruszać się poczęły korną modlitwą, słaną do stropu Niebios.

Nagle oczy wszystkich zwróciły się ku miejscom, zajmowanym przez westalki, skąd rozległ się głośny okrzyk.

Nie dostrzeżono jednak nic szczególnego.

Na miejscach, przeznaczonych dla pospólstwa, chrze-

ścijańska dziewica zajmowała sobą jedno tylko głęboko odczuwające jej niedolę serce. Było to serce starca w wyszarzanej penuli, który na widok dziewicy, stojącej na arenie, wzdychał głęboko, boleśnie. Stojąc, jak słup, nieruchomo z opuszczonemi bezradnie rękoma, wpatrywał się odrętwiałym wzrokiem w tę, której męczeństwa krwawego miał być świadkiem i szeptał następujące słowa Ewangelii:

— *Jeżeli o co prosić będziecie Ojca mojego w Imię moje, da wam.*

— Ojcze Przedwieczny! — modlił się w dalszym ciągu starzec — w imię Twego Boskiego Syna błagam Cię — ratuj Floronię i daruj mnie w zamian palmę męczeństwa!

Podczas gdy starzec modlił się żarliwie, młody Sekstus rzekł do swego przyjaciela, Publiusza:

— O, jakże piękna jest owa wyznawczyni Nazarejczyka! Piękna, jak cnotliwa bogini... Takie cudo nie może paść pod kłami dzikiej bestyi. Rzucę się na arenę i stoczę z lwem zapasy.

— Widok pięknej dziewicy przyprawił cię o stratę rozumu, kochany Sekstusie. Wstąpno tylko na arenę, jeśli masz w sobie dość odwagi, a Domicyan rozkaże natychmiast uśmiercić cię gladyatorom — zwrócił się do Sekstusa z uwagą Publiusz.

— Brak mi odwagi przyglądać się jej śmierci... Jest zbyt piękna!

To mówiąc, litościwy patrycyusz zakrył twarz obu rękoma.

Wszyscy obecni spoglądali w dalszym ciągu na Floronię, która, skończywszy modlitwę, podniosła się i, stojąc na środku areny, oczekiwała na palmę męczeństwa. Tylko oczy Parysa nie spoczęły dotąd na Floronii, stał on bowiem nazewnątrz wrot, zwanych *porta libitinensis,* z wzrokiem, zatopionym w westalce Kornelii, rozmyślając nad tem, dlaczego twarz swą zakryła połą sukni kapłańskiej.

Wtem otworzono drzwiczki, znajdujące się pod pierwszymi rzędami galeryi.

Wysunął się z nich na arenę, krocząc zwolna i potrząsając grzywą, zgłodniały lew.

Po cyrku rozległ się echem trzykrotny ryk — to król pustyni pozdrawiał widzów.

Przystanął wreszcie i począł poruszać swym ciężkim łbem, rozglądając się dookoła.

Naraz zjeżyła mu się grzywa, w straszliwych ślepiach poczęły płonąć iskry.

Zbliżył się do dziewicy, która powtórnie padła na kolana i począł krążyć w koło niej, mrucząc przeciągle, jak gdyby nie miał odwagi tknąć się tego niebiańskiego nieledwie zjawiska.

Nowy okrzyk, ale słaby tym razem, jak westchnienie, rozległ się z miejsc, zajętych przez westalki i Parys ujrzał, jak Kornelia wyciągnęła ręce ku skazanej na męczarnie.

Oddech dzikiej bestyi muskał już jej ciało, wstrząsane dreszczem febrycznym. Biedna ofiara barbarzyństwa szczękała ze strachu zębami. Obejmował ją strach coraz większy, mimo, iż wiara wewnętrzna nakazywała jej iść z odwagą naprzeciw śmierci.

Któż zresztą nie zadrży przed zbliżającą się ostatnią życia chwilą?...

Można z determinacyą zupełną śmierć przyjmować, można jej nawet pożądać z utęsknieniem, ale, gdy chwila ta zbliży się, drżenie ogarnąć musi człowieka, silniejsze jest bowiem od jego woli. Jest ono krzykiem natury, protestującej przeciw własnemu unicestwieniu.

Obwąchawszy z wszech stron nieszczęsną ofiarę, lew odsunął się nieco od niej i przysiadł, jak gdyby szykując się do skoku.

Nastąpiła straszna chwila oczekiwania.

Już lew szykował się do skoku, aby uchwycić ofiarę w swe szpony, gdy wtem mąż jakiś z szybkością błyskawicy przebiegł arenę i, uniósłszy w górę trójząb, z siłą herkulesa grzmotnął nim w łeb rozszalałą bestyę. Zdumiony niespodziewaną napaścią i ogłuszony nieco uderzeniem zaryczał król pustyni z wściekłości i bólu.

Złość jego zwróciła się teraz przeciw napastnikowi.

Przez chwilę nie widziano nic, jeno tuman kurzu, w którym zbyt trudno było rozróżnić człowieka od zwie-

rzęcia. Usłyszano wreszcie ponownie ryk, jeszcze silniejszy i groźniejszy od poprzedniego, a jednocześnie z kurzawy wyłoniła się postać Parysa, trzymającego łeb rozjuszonego zwierzęcia, oplątanego w sieci.

— Brawo, Parys! Brawo, Parys! — ze wszystkich stron naraz zawołał tłum, zachwycony nieoczekiwanem widowiskiem i zwycięstwem ulubionego atlety.

Śmiał się również Domicyan.

I on cieszył się z niespodzianki, jaką sprawił ogółowi Parys, że zaś sobie gladyator tak pysznie z dziką bestyą poradził, Domicyan wybaczył mu jego samowolę.

Cezar polecił stawić się Parysowi przed siebie.

— Dlaczego — zapytał, przyglądając mu się badawczo — stanąłeś w obronie chrześcijanki?

— Cezarze — odrzekł na to Parys — nie byłem w stanie pohamować chęci do walki na widok owej dzikiej bestyi.

— Odtąd zawsze walczyć będziesz z dzikiemi bestyami. Czcicielka Nazarejczyka, której uratowałeś życie, należy do ciebie — rzekł Domicyan, zanosząc się od pustego śmiechu.

— Nie mogę jej trzymać przy sobie — oświadczył Parys.

Szalony śmiech ogarnął teraz cezara, który, wzruszając ramionami, dodał:

— Więc ruszaj w swoją drogę. Jesteś głupcem...

Parys oddalił się zawstydzony, a kiedy przy wyjściu z loży cezara rzucił wzrokiem w stronę westalek, zbladł bardziej jeszcze, aniżeli w chwili doznanej konfuzyi.

Floronię, klęczącą w dalszym ciągu na środku areny, usunięto brutalnie, aby zrobić miejsce nowym zapaśnikom. Tosamo uczyniono z lwem.

Dopiero po zapadnięciu nocy zakończono igrzyska. Widzowie w pogwarze wzajemnym, rozprawiając o widowisku, poczęli cyrk opuszczać.

— O, jakże ona piękna! — zawołał Sekstus z ekstazą, opierając się na ramieniu przyjaciela.

— O kim ty mówisz?

— O czcicielce Nazarejczyka! O, gdybym zamiast

Parysa stoczył walkę z tą dziką bestyą! Byłbym ją również uratował!

— Cezar z łatwością śmiałą samowolę gladyatorowi wybaczył, patrycyuszowi wszakże napewnoby nie przepuścił.

— Gdybym ją przynajmniej mógł raz jeszcze zobaczyć! Publiuszu, chcę się rozmówić z Parysem.

Z temi słowy pociągnął Sekstus przyjaciela ku temu zaułkowi amfiteatru, gdzie po ukończeniu widowiska zbierali się gladyatorzy. Parys jednak nie znajdował się wśród swoich kolegów.

Ukrywszy Floronię w miejscu bezpiecznem, Parys zamieszał się w tłum, ażeby zdaleka obserwować lektykę, w której znajdowała się westalka Kornelia. Pierś gladyatora uniosła głęboko tajone westchnienie, gdy ujrzał jej postać. Radość, pomieszana z bólem, sprawiła, iż serce jego bić poczęło przyspieszonem tętnem.

Nieszczęsny, kto wzrok śmiały rzuca na dziewiczą kapłankę świętego ognia Westy.

Gdy lektyka Kornelii zniknęła mu z oczu, zwiesił Parys czoło, zlane rzęsiście potem i oddalił się od głównego wyjścia. Gdy mijał jednę z sklepionych hali, wiodących ku arenie, uczuł nagle na swem ramieniu łagodne dotknięcie czyjejś dłoni. Odwrócił się i ku zdumieniu swemu ujrzał siwobrodego starca, w zniszczonem odzieniu, który ozwał się doń w te słowa:

— Ty uratowałeś Floronię... Uzupełnij swe piękne dzieło i nie pozwól, ażeby ta nieszczęsna odzyskane dzięki twej szlachetnej obronie życie przeklinać miała. Wrota niebieskie staną otworem na twoje przyjęcie. Nie pozwól, aby ją powtórnie wtrącono do lochów.

Parys uścisnął po przyjacielsku rękę starca, mówiąc:

— Chrześcijanka owa jest pewnie córką twoją. Współczuję twojej obawie. Ale... nie trwóż się! Parys, gladyator, nie ma zwyczaju słabych i wątłych deptać nogami. Choć nosi znak niewolnictwa na swojej szyi, w piersi jego bije lepsze serce, niż w piersi cezara. Czekaj tu na mnie.

To rzekłszy, zniknął w przejściu, a po chwili był już z powrotem, wiodąc z sobą Floronię.

Blade i drżące dziewczę zaledwie nadążyć mogło szybkim krokom gladyatora. Gdy zaś ujrzało starca, wyciągnęło ku niemu obie ręce i zakrzyknęło tonem radości niewymownej:

— Anicet! Ojciec mój!

Anicet przycisnął mocno do serca złożoną na jego piersi głowę dziewczęcia.

— Bóg Wszechmogący uznał mnie snadź niegodną palmy męczeńskiej — rzekła, tuląc się do starca, Floronia.

— Chwalmy Jego świętą wolę! — odrzekł starzec, zwracając się następnie do stojącego na uboczu Parysa:

— Przyjmij nasze serdeczne podziękowanie, Parysie — rzekł. — Modlitwa tej oto dziewicy, której ocaliłeś życie, dnia każdego płynąć będzie za ciebie do Najświętszego ze świętych.

Gladyator nie słyszał wcale tych słów, pogrążony w swoich własnych rozmyślaniach.

— Ojcze — rzekła Floronia. — Kornelia była również w amfiteatrze.

— Widziałem ją — odrzekł Anicet.

Słowa te zbudziły z zamyślenia Parysa. Zwracając się do starca, rzekł on:

— Ja już ciebie, starcze, gdzieś widziałem. Byłoby mi przykro, gdybym się już z tobą nigdy nie miał zobaczyć. Powiedz mi, gdzie mieszkasz, a jeśli to będzie możliwe, odwiedzę cię.

— Niedaleko stąd, ale nie obawiaj się. Ja o długu wdzięczności, jaki względem ciebie zaciągnąłem, nie zapomnę. Zobaczymy się znów i to wkrótce.

— Dzięki ci, gladyatorze — dorzuciła Floronia. — Bóg wybrał cię sobie za narzędzie, aby mnie od chwały męczeństwa ocalić. Dziękując tobie, sławię Jego świętą wolę.

Powiedziawszy te słowa, ruszyła wraz z starcem ku domowi.

Noc już zapadła i tylko blade światło księżyca oświetlało olbrzymie kontury amfiteatru, którego wnętrze opustoszało zupełnie. Oprócz dwu mężczyzn, ukrytych za jednym z filarów, nikt inny nie był świadkiem tej sceny.

Mężczyznami owymi byli Sekstus i jego przyjaciel. Słyszeli oni całą rozmowę, Sekstus jednak nie odważył zbliżyć się do chrześcijańskiej dziewicy. Pochylony starzec i jaśniejące niewinnością dziewczę mieli w swym wyglądzie coś majestatycznego, coś, co trzymało na wodzy uczucia patrycyusza. Nie chciał on też stracić jej z oczu zupełnie, więc podążył za odchodzącymi aż do progów domu, leżącego w dzielnicy, zamieszkanej przez najuboższych, na stoku wzgórza awentyńskiego.

III.

„Łysy Neron“.

Domicyan rezydował zazwyczaj w złotym pałacu Nerona, który również, jak pałace cezarów Augusta i Tyberyusza, znajdował się na wzgórzu palatyńskiem i dlatego nosił nazwę Palatium.

Stan upadku, w jakim się znajdują obecnie te pomniki wielkości dawnego Rzymu, przenika każdego, kto, rozmyślając, krąży wśród tych ruin, żywem uczuciem znikomości wszelkich dzieł ludzkich. Wszystko na tym świecie przemija: ludzie i rzeczy powstają, błyszczą przez moment swą wielkością, aby wkrótce podpaść działaniu bezlitosnej ręki czasu, która je burzy, nie pozostawiając nic, oprócz kupy rumowisk i pamięci imion, wyżłobionych na tablicy historyi cnotą lub występkiem.

A jednak czas mniej nawet okrutnie obchodzi się z kamieniami, aniżeli ze zwłokami ludzkiemi. Prochy władców świata rozproszone są i zmieszane z ziemią, podczas gdy ruiny ich pałaców pozostają, znacząc przynajmniej ślad miejsca, gdzie niegdyś pałace się wznosiły.

Nazajutrz po opisanych już wydarzeniach, które się rozegrały w amfiteatrze, zmierzał w stronę złotego pałacu dojrzały już w leciech mężczyzna o ujmującej powierzchowności. Minąwszy wspaniały, olbrzymiemi statuami ozdobiony przedsionek, zwrócił się on ku całemu szeregowi przepysznie urządzonych sal. W jednej z osta-

tnich zatrzymał się, aby pomówić z młodym mężczyzną, którego całkiem pospolity wygląd nie świadczył bynajmniej, jakoby on na dworze Domicyana mógł odgrywać jakąś wpływową rolę. Tym młodym mężczyzną był Parteniusz, wyzwoleniec i pupil Domicyana.

— Cezar jest tam? — zapytał przybyły, wskazując na zamknięte drzwi następnej sali.

— Jest, Stefanie — odrzekł Parteniusz. — Zatrudniony, jak zwykle, dobrem miasta i państwa. Jeżeli cezar nadal tak będzie postępował — dodał Parteniusz ironicznie — to obywatele rzymscy doczekają się wkrótce tego szczęścia, iż nie będą już przez żadną napastowani muchę.

Stefan roześmiał się i zbliżył na palcach ku drzwiom zamkniętym, aby przez maleńki otwór przyjrzeć się pracy cezara.

Domicyan stał w pośrodku sali, w której codziennie długo przebywał. Jakkolwiek nie znajdował się już w kwiecie wieku, nie stracił jednak nic ze swej męskiej piękności. Wysoki i odpowiednio zbudowany, miał on piękne czoło i regularny profil. Tylko nos występował trochę zbyt silnie naprzód, a delikatnie zakreślone usta miały ostry i ironiczny wyraz. Zazwyczaj blady, rumienił się bardzo łatwo i razu pewnego przechwalał się nawet w senacie swą wstydliwością, odbijającą się na jego obliczu. Całe jednak postępowanie Domicyana zadawało kłam jego rzekomej obyczajności. Według uwagi Tacyta, rumieńce Domicyana służyły w gruncie rzeczy tylko za osłonę dla jego bezwstydu. Przedwczesne ołysienie sprawiało mu ogromną troskę. Juvenalis, współczesny mu satyryk, zwał go dlatego szyderczo „Łysym Neronem“.

Syn Wespazyana i brat Tytusa nie dorósł on wielkością ducha żadnemu z tych obu cezarów. W młodości swej wykazywał skłonność do nauk i sztuk pięknych. Zostawszy jednak cezarem nie troszczył się już więcej o te rzeczy, a jeżeli niekiedy coś czytał, to była to historya panowania Tyberyusza, w której studyował sposoby stosowania okrucieństw. Starał się on też po-

mnażać swą książnicę, ale jedynie w celu ozdobienia sali, nie zaś dla kształcenia swego ducha.

Leniwy do najwyższego stopnia, nie miał najmniejszej ochoty do jakiejkolwiek poważnej czynności. Pozbawiony był wszelkich pożądanych dla władzy właściwości, posiadał natomiast wszystkie znamiona tyranów.

Niewielka sala, w której się Domicyan znajdował, zasobna była we wszelki łechcący przepych, którym się zwykli byli otaczać bogaci Rzymianie.

Domicyan miał na sobie długą, purpurową szatę, z wyhaftowanymi na niej złotem liśćmi palmowymi, wskutek czego zwano ją: „toga palmata“. Szata owa miała być noszona tylko przez tryumfatorów podczas uroczystości tryumfalnych, ale Domicyan nosił ją prawie zawsze na pamiątkę tryumfu, odniesionego przezeń nad Dakami.

W tej właśnie chwili, z wyprężoną naprzód szyją, wpatrywał się on nieruchomo w głowę stojącej pod ścianą figury, przedstawiającej boginię Minerwę. I czemuż to tak nieruchomo i z zapartym oddechem mógł się Domicyan przypatrywać? Oto obserwował on muchę, która, siadłszy na nosie bogini mądrości, otrzepywała sobie śmiało skrzydełka, nie przeczuwając nawet czekającej ją okrutnej śmierci.

Nagle rzucił się Domicyan ku posągowi, i wkrótce mucha znalazła się żywcem w jego wpółotwartej dłoni.

— A... mam cię! — zawołał cezar z błazeńską radością, podnosząc w górę pięść zaciśniętą. Następnie, poobrywawszy muszce skrzydełka, przeszył ją ostrą szpilką i rzucił na taflę okrągłego, marmurowego stołu, do rzędu innych, zwycięsko uśmierconych przezeń uprzednio skrzydlatych ofiar. Dokonawszy tego czynu, stanął znów na czatach, chcąc schwytać nową muchę, unoszącą się nad głową bogini.

Gdyby jakiś przenikliwy spostrzegacz ujrzał cezara Domicyana w chwili, gdy z okrutnem zadowoleniem oddawał się tej godnej zdziczałego dziecka rozrywce, domyśliłby się z pewnością, że cezar musiał być bardziej jeszcze okrutny w postępowaniu z ludźmi, aniżeli z muchami, mającemi nieszczęście zabłąkać się do

jego pałacu. I rzeczywiście — złośliwy, jak Neron, po błazeńsku nadęty, jak Kaligula, Domicyan okrutnym był, jak Tyberyusz. Nie zadowalał się on samym widokiem śmierci swej ofiary. Odczuwał rozkosz niewypowiedzianą, jeśli na widok jej łez mógł udawać współczucie i przedstawiać się fałszywie za męża, nie mogącego patrzeć na cudze męczarnie.

Jeszcze przez pewien czas cezar uganiał się za muchami, tu i owdzie święcąc tryumfy, aż wreszcie, zbliżywszy się do stołu, końcem igły policzył pomordowane muchy i rzekł tonem, świadczącym o wielkiem zadowoleniu:

— Łowy świetnie mi się powiodły. Schwytałem czterdzieści much, resztę pozostawię w spokoju do jutra.

Powiedziawszy to, cezar ziewnął donośnie, rozciągnął się na miękko usłanem łożu i, zamknąwszy oczy, wdychał w rozdęte nozdrza i półotwarte usta ulubioną woń, rozchodzącą się z bronzowego trójnoga.

W międzyczasie Parteniusz znów począł nadsłuchiwać, a zwróciwszy się do Stefana, rzekł z cicha:

— Posłuchaj, jak cezar ziewa. Gdyby każdy Rzymianin mógł go tak oglądać, jak ja go widzę, znikłby olśniewający przepych cesarskiego majestatu. Cezar jest bardzo mały w oczach swych niewolników i wyzwoleńców.

— Dlaczego?

— Bo go zbyt często widzą z blizka.

Stefan położył palec na ustach i obejrzał się trwożliwie dokoła siebie w obawie, że słowa przyjaciela mogłyby być przez czyjeś niedyskretne ucho usłyszane.

Wkrótce po tej rozmowie poskoczył Parteniusz i wkroczył spiesznie do przyległej sali, skąd usłyszał głos przywołującego go Domicyana:

— Parteniuszu, posłuchaj-no! — mówił cezar, rozkładając nogi na łóżku i splatając ręce pod głowę.

— Jestem na twoje rozkazy, cezarze! — rzekł wyzwoleniec, składając ukłon głęboki.

Domicyan milczał przez chwilę, ziewnął i ciągnął dalej:

— Czy znasz westalkę Kornelię?

— Córkę zmarłego konsula Flawiusza Sabinusa? Znam ją.

— Doskonale! Kornelia podoba mi się. Jest ona piękniejsza, aniżeli bogini Venus, i cnotliwsza od Dyany. Jej piękność ugodziła mnie w serce.

Tak rozmawiając, powstał cezar z łoża i przechadzał się zwolna po sali. Żar jego oblicza świadczył, że nuda ustąpiła miejsca niezwykłemu wzruszeniu.

Parteniusz przyglądał się mu ze strachem. Jakkolwiek serce wyzwoleńca było równie zepsute, jak serce jego pana, odczuł on jednak jakieś nieokreślone drżenie, słysząc takie słowa, wygłaszane o kapłance i w pomieszaniu swem mógł się zdobyć jedynie na milczenie.

— Czy nie słyszałeś, com mówił, Parteniuszu? — począł znów cezar, stając przed wyzwoleńcem.

Parteniusz zadrżał, a chyląc się ku stopom pana, odrzekł bojaźliwie:

— Cezarze, rozkazuj... usłucham.

— Nie mam dla ciebie żadnego polecenia. Żądam tylko twej rady. Częstokroć już mi służyłeś swą radą.

— Wówczas nie chodziło o westalki. Prawa rzymskie grożą karą śmierci temu, kto...

— Milcz! Nie mów mi nic o prawach! Nie troszczę się o nie wcale! — zawołał cezar i w przystępie gniewu tupnął nogą.

Następnie cezar rozciągnął się znów wygodnie na łożu, zamyślił się przez chwilę, poczem, jak gdyby mu przyszedł jakiś szczęśliwy pomysł, uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— O zmierzchu towarzyszyć mi będziesz do świątyni Westy. Może nie będzie mi danem ujrzeć Kornelii, ale zobaczę przynajmniej mury, skrywające ją przed moim wzrokiem, a rano udam się do świątyni, by uczcić boginię. Jedyną istotą, której się obawiam, jest moja żona. Od pewnego czasu śledzi ona moje kroki, moje myśli...

— Augusta kocha ciebie, cezarze! Tylko czułość, jaką żywi ku tobie, czyni ją podejrzliwą i zazdrosną.

Domicyan ściągnął brwi. Był on niezbyt przeświadczony o miłości żony, a jednak przywiązywała go jakaś

skłonność do tej kobiety, która, ażeby się z nim połączyć, musiała opuścić swego pierwszego męża. Cezar obawiał się przytem wybuchów jej obrażonej godności.

Przesuwając ręką po czole, jak gdyby chciał jakąś natrętną myśl odpędzić, cezar znów począł długimi krokami mierzyć salę, aż wreszcie rzekł:

— Domicya, której przy zamążpójściu nadałem imię Augusty, nic się o tem nie dowie. Tak samo senat i lud... Zresztą senat ma zbyt wielkie wobec mnie zobowiązania, aby mi miłostki tej nie miał wybaczyć. Czyż nie pokonałem Daków i Germanów? Poniesione mojem męstwem rzymskie orły zwyciężyły tych barbarzyńców! Co się zaś tyczy ludu, goniącego tylko za przyjemnością, to stale olbrzymie sumy poświęcam na wyścigi konne i igrzyska. Jeżeli ja ludowi daję przyjemności, to i lud może pozwolić mi na rozrywkę według mojego gustu.

Parteniusz milczał.

Myślał w duchu o tem, że cezar przechwala się swem zwycięstwem, odniesionem nad Dakami, podczas gdy w rzeczywistości zawarł on z tym narodem haniebny pokój; senat zaś przymusił do przyznania mu niezasłużonego tryumfu.

— O czem tak myślisz? — zagadnął cezar, widząc wyzwoleńca, pogrążonego w takiej zadumie.

— Myślę, że ty sam, cezarze, w początkach swego panowania dwie westalki, Occellanę i Veronillę, na śmierć skazałeś — odrzekł Parteniusz, który wskutek obawy coraz bardziej stawał się zuchwałym.

Parteniusz wiedział doskonale, że Domicyan kazał zazwyczaj swoim emisaryuszom, którzy z jego polecenia dopuszczali się występku, pokutować, zwalając na nich całą nienawiść, wywołaną dokonaniem gwałtownego czynu.

Cezar, wzruszając ramionami, zatarł ręce i odpowiedział z cynicznym uśmiechem:

— Occellana i Veronilla nie interesują mnie, a jednak, jak ci wiadomo, byłem dla nich nader wspaniałomyślny, pozostawiłem bowiem do ich wyboru rodzaj śmierci, któryby ich najwygodniej i najszybciej mógł pozbawić życia... Obie wszak wybrały truciznę... Ale

patrz, słońce wskazuje już południe. Ponieważ czas mi tak nudnie i monotonnie upływa, chciałbym na chwilę przejść do atrium.

Tak zwano w domach starorzymskich główną komnatę, w której zawieszali Rzymianie obrazy swoich przodków i gdzie zbierała się cała rodzina gospodarza.

Wyraziwszy swoje życzenie, Domicyan znów ziewnął i wyprężył ręce, jak gdyby chciał osłabione bezczynnością muskuły wzmocnić, poczem zawołał:

— Na Plutona, łowy dzisiejsze wyczerpały mnie! Odrobina ruchu dobrze mi uczyni!

To mówiąc, cezar powstał i opuścił salę, a za nim wyszedł Parteniusz.

Zaledwie Domicyan opuścił salę, gdy w głębi otworzyły się maleńkie drzwi i dwie niewiasty przekroczyły próg. Jedną z tych niewiast była Domicya, drugą Flawia Domicella, siostrzenica Domicyana.

Domicya była kobietą wysokiego wzrostu i uderzającej piękności. Spojrzenie jej miało wyraz dumnej śmiałości, a jednak nie było w jej postaci nic, coby nakazywało zachowywać się wobec niej z pokorną uniżonością.

Ubrana była w długą, purpurową materyą obramowaną suknię, z pod której przeglądały jej wysokie, z żółtej skóry sporządzone buciki. Na ramiona miała zarzucony purpurowy płaszcz, przymocowany wielką, złotą klamrą. Bujne, czarne włosy układały się nad jej czołem w dyadem małych, sztucznie ukarbowanych kędziorów. Dla służebnic jej musiało być prawdziwą plagą układanie tak skomplikowanej fryzury. Flawia Domicella natomiast była uczesana z największą prostotą. Na szyi jej nie zwisała też, jak u żony cezara, żadna ozdoba z pereł.

Rzucając posępne spojrzenia, blada, wkroczyła Domicya na sam środek sali, gdzie stanąwszy, tupnęła gniewnie nogą, wołając:

— Żona twoja wie wszystko! Strzeż się jej, Domicyanie, gdyż wkońcu nie zniesie tego dłużej!

— Uspokój się siostro, — rzekła łagodnie Domicella.

— Łatwo ci mówić o spokoju, gdy jesteś ubó-

stwiana przez swego męża. Ale nic nie wiesz o tem, co właśnie przed chwilą cezar uplanował. Posłuchaj więc. Bezbożnik ten odważa się nastawać na cnotę świętej dziewicy.

Domicella, która zdawała się nie być zaskoczoną temi słowy, odrzekła spokojnie:

— Nie przedmiot jego namiętności przejmuje mnie dreszczem, lecz namiętność sama. Każda bowiem skłonność ku sprzeniewierzeniu małżeńskiemu jest ciężkim błędem.

Domicya nic nie odrzekła, ale wyraz jej oblicza świadczył dobitnie, iż sposób pojmowania moralności przez Domicellę niezbyt jej się podobał. Przez chwilę obie niewiasty milczały, aż wreszcie Domicella, zbliżywszy się do żony cezara, ujęła ją za rękę i rzekła:

— Ubolewam wraz z tobą nad nieszczęśliwą dziewicą, która od tej pory będzie celem zabiegów cezara.

— Znasz-że ją przynajmniej?

— Ależ nie znam nawet jej imienia.

— A więc dowiedz się, jeśli chcesz. Dziewicą tą jest... Kornelia Sabina!

— Córka Faustula! — zawołała Domicella, blednąc.

Następnie, splatając ręce, jak do modlitwy, i w pomieszaniu swem zapominając zupełnie o obecności Domicyi, westchnęła:

— O Synu Boży, pomóż mi ją uratować!

Żona cezara spojrzała na Domicellę z najwyższem zdumieniem, albowiem nie rozumiała słów, które mimowolnie wybiegły z ust jej krewnej.

Dlatego z niecierpliwością spytała:

— I cóż to za nowe bóstwo, którego wzywasz na ratunek dla tej, którą pogardzam?

Domicella nie słyszała pytania. W bolesnem swem wzruszeniu, rozmyślając nad sposobem pokrzyżowania zabiegów cezara, rzekła do siebie:

— Jeden Anicet może ją ustrzedz.

To rzekłszy, nie troszcząc się o Domicyę, wybiegła z sali.

— Biedna Domicella! Rozum odmawia jej posłuszeństwa. Od pewnego czasu osobliwe i niezrozumiałe

wyrazy ulatują z jej ust — rzekła Domicya tonem współczucia.

— Zresztą, cóż mi na niej zależy! — ciągnęła dalej. — Inne trapią mnie myśli. Nie kochasz mnie, Domicyanie, a ja nie chcę być odtrącona od twego boku. Znam twe tchórzostwo, więc nie mam przed tobą obawy... Kornelia jest piękna! — zaskrzeczała wściekle, poczem wybuchnęła spazmatycznym śmiechem:

— Tak, jesteś piękna, westalko! Ale piękność twoja będzie żywcem pogrzebana, jeśli nie zamkniesz swego ucha na słodkie podszepty mego męża. Nie wiesz może jeszcze, że Domicyan sam zwykł tratować swych współwinnych!

To mówiąc, Domicya zbliżyła się do marmurowego stołu, a ujrzawszy na nim pomęczone muchy, rzekła z gorzkim uśmiechem:

— Oto, na jakich ważnych czynnościach władca świata czas przepędza, on, który tak często chlubi się swymi śmiesznymi tryumfami... O biedny Rzymie! Blask twojej chwały zaciemnia się z dnia na dzień, odkąd swój grzbiet ugiąłeś przed chytrym Tyberyuszem i okrutnym Neronem!...

Urwała nagle i rozejrzała się trwożliwie dokoła. Usłyszała zdaleka głośne ziewanie swego męża i uciekła czemprędzej drzwiami, przez które weszła, aby nie być dostrzeżoną przez Domicyana. Cezar, męczony nudą, powracał właśnie po krótkim spacerze, aby się znów rozciągnąć na swem łożu.

Aż do zachodu słońca przebył on w pozycyi leżącej, puszczając myślom wodze. Później wszedł do swej komnaty sypialnej, gdzie zrzucił z siebie togę. Umaszczony następnie przez niewolników kosztownemi maściami, przybrał się w strój, używany przez Rzymian przy stole, i z czołem, przyozdobionem wieńcem, uplecionym z zielonych liści i kwiatów zagranicznych, udał się do sali stołowej.

Jakkolwiek Domicyan lubił otaczać się licznymi gośćmi i rozkoszować się ich dowcipami, tego jednak wieczoru wolał być sam, ażeby dowolnie puścić wodze swym myślom.

Okrągły stół, z kosztownego wyrobiony drzewa, stał w pośrodku sali, zwanej tryclinium. Noga stołu, wyrzeźbiona z kości słoniowej, przedstawiała słonia, którego trąba wykonana była ze srebra. Stół pokryty był białym obrusem z delikatniutkiej wełny, poprzetykany kwiatami. Zastawa, zgrupowana dokoła bożyszcza, wykonanego z żółtego marmuru, składała się z całej masy najdelikatniejszych potraw, które mogły wydobyć ślinkę z ust najwybredniejszego smakosza. Dwa naczynia z drogocennej gliny w kształcie lilii napełnione były po brzegi miodem. Dwa złote naczynia z winem uzupełniały zastawę.

Ustawione przed stołem łoże było wykładane srebrem i kością słoniową, miękkie zaś poduszki były obciągnięte purpurową materyą. Domicyan ułożył się na łóżku w ten sposób, iż, oparty na lewym łokciu, mógł górną część swego korpusu pochylić ku stołowi.

Obojętnem spojrzeniem obrzucał on przez chwilę wymarzone łakocie, nie tykając niczego. Następnie licznym niewolnikom w białych strojach i z uwieńczonemi kwieciem głowami, czekającym na jego rozkazy, dał znak, aby wniesiono drugie danie. Ale i tego dania nie tknął się cezar. Wbrew obyczajowi rzymskiemu, zwykł był on spożywać główny posiłek rano, a ponieważ jadł wiele — wieczorem nie miał już wcale apetytu, tak, iż goście, widząc go tak mało jedzącego, mieli sposobność do sławienia wstrzemięźliwości cezara.

Wreszcie ukazało się trzecie danie, złożone z daktyli, migdałów, słodkich ciast i świeżych owoców. Domicyan zjadł kilka migdałów, wypił filiżankę grzanego wina i z zamkniętemi oczyma, jakgdyby chciał zasnąć, wyciągnął się na łożu.

Niewolnicy stali nieruchomo, niby figury kamienne, ważąc się zaledwie oddychać z obawy, aby nie zbudzić cezara. Ale cezar nie spał. Marzył. Wreszcie podniósł się, przywołał Parteniusza, szepnął doń parę słów i opuścił jadalnię.

W godzinę później, gdy zmierzch minął i nocna już zapadła ciemność, Stefan, intendent Domicyana, śledzący cezara z rozkazu swej pani, ujrzał Domicyana,

opuszczającego w towarzystwie Parteniusza złoty pałac i wzgórze palatyńskie.

Domicyan wsparł się poufale na ramieniu wyzwoleńca. Obadwaj byli otuleni w płaszcze, noszone zazwyczaj przez żołnierzy, służących w piechocie, a zwane *lacernae*. Cezar zawsze brał na siebie płaszcz taki, jeśli nie chciał w trakcie swych nocnych wycieczek być przez kogo poznany.

IV.

Nocna przygoda.

Był to posępny, bezksiężycowy wieczór jesienny. Najbliższym celem wycieczki Domicyana i Parteniusza była świątynia Westy. Na dziś wystarczyć miało cezarowi przynajmniej ujrzenie murów, zamykających w sobie Kornelię. Ale tylko przez krótki moment zabawił cezar w przedsionku świątyni. Ponieważ progów jej przekroczyć nie mógł, pospieszył dalej, nie wiele się troszcząc o cel swej wędrówki. Parteniusz postępował za nim, klnąc w duchu zamysły cezara, które zmusiły go do opuszczenia pałacu z pustym żołądkiem.

Minąwszy Velabrum, doszli wkrótce do świątyni, wybudowanej z polecenia zasłużonego dla Rzymu króla Serwiusza Tuliusza, i poświęconej przezeń Fortunie, bogini, zarówno dobrych, jak i złych losów.

— Fortuno, bądź mi życzliwą! — wykrzyknął Domicyan i zatrzymał się przed przedsionkiem świątyni, którego dwanaście filarów, w najczyściejszym stylu jońskim, uwydatniało doskonale prostotę piękna jego architektury.

Domicyan, zwróciwszy się do wyzwoleńca, spytał:

— Czy znasz także rodzinę Kornelii?

— Jeden z wyzwoleńców Flawiusza Sabinusa był moim przyjacielem i przez niego dowiedziałem się coś nie coś. Kornelia nie ma już rodziców. Flawiusz już dawno zamienił się w popioły, a Faustula zmarła na

trawiącą ją gorączkę, wkrótce po przyjęciu Kornelii do grona świętych dziewic. Oprócz jednego, jedynego krewnego, nie ma już ona nikogo więcej.

— A imię jego?

— Sekstus Sabinus.

— Znam go. Jest piękny, jak Adonis, a lubi przyjemności wszelkie, jak epikurejczyk. Prędzej jednak lub później podetnę jego pozłacane skrzydła, żeby mi zbyt daleko nie fruwał. Nie podoba mi się jego oblicze. Jest coś bezwstydnie zuchwałego w jego spojrzeniu i... to mnie drażni.

Powiedziawszy to, Domicyan wyciągnął prawą rękę ku świątyni, na znak pobożnego pozdrowienia, dotknął następnie palcami ust i zwrócił się ku drodze, wiodącej w stronę mostu palatyńskiego.

Na moście, o poręcz oparty, stał jakiś mężczyzna, zapatrzony w żółte fale Tybru. Słysząc odgłos zbliżających się kroków, odwrócił się i przyglądał z zaciekawieniem, o ile ciemność nocy na to pozwalała, dwu nieznajomym przechodniom. Jednocześnie zauważył on trzeciego mężczyznę, wysokiego wzrostu, postępującego za pierwszymi w pewnem oddaleniu.

Gdy Domicyan i Parteniusz zbliżali się do połowy mostu, z przeciwnej strony nadchodził krokiem pijanego, jakiś włóczęga nocny. Szedł on tak wprost kierunku cezara, iż jeden z przechodniów musiałby ustąpić drugiemu z drogi, gdyby chciał uniknąć zetknięcia.

Domicyan nie przywykł do czynienia komukolwiek miejsca. Szedł przeto wprost w stronę nadchodzącego, w przekonaniu, że tamten ustąpi mu z drogi. Nieznajomy jednak nie miał bynajmniej takiego zamiaru. Pchnął on cezara tak silnie pięścią w piersi, iż cezar o mało co nie powalił się na ziemię.

— Usuń mi się z drogi! — wołał ochoczo pijany. — W głowie mi się zawraca, a ty jeszcze plączesz mi się pod nogami.

Muskuły Domicyana były wskutek prowadzenia próżniaczego żywota osłabione, ale gniew, który go ogarnął, dodał mu chwilowo siły. Chwycił więc chwiejącego się na nogach przeciwnika, rzucił go na ziemię i wydobył

sztylet, aby mu śmierć zadać. Widząc jednak nieznajomego, leżącego nieruchomo na ziemi, rzekł z chłodnem okrucieństwem do Parteniusza:

— Zrzuć go do rzeki, aby mógł opowiedzieć Plutonowi, jak mnie znieważył.

Parteniusz pochylił się, chcąc wykonać rozkaz, uniósł nieszczęśliwego, który jeszcze oddychał i zbliżył się, obarczony tym ciężarem, do poręczy mostu. W tej samej jednak chwili mąż wysokiego wzrostu, ten sam, który właśnie szedł w oddaleniu za Domicyanem, rzucił się na wyzwoleńca, tak, iż Parteniusz, czując obcą dłoń, ściskającą mu ramię, porzucił swą ofiarę, ażeby się bronić.

Rozpoczęła się zażarta walka.

Daremnie Parteniusz usiłował wydobyć sztylet, który miał przy boku. Nieznajomy żelaznemi dłońmi tak ściskał jego ramię, iż nie był w stanie odeń się uwolnić.

Tymczasem Domicyan zatrzymał się i rozwartemi oczyma przyglądał się rozgrywającej się w ciemnościach walce... Męstwo nie należało bynajmniej do głównych cnót tego potężnego władcy. Miast przyjść z pomocą swemu ulubieńcowi, oddalił się on zwolna od walczących i przeklinając bogów rozglądał się dokoła, czy nie znajdzie przypadkiem jakiejś istoty, którąby mógł wezwać na ratunek. Ale nie było nigdzie żywej duszy. Na moście panowała pustka, a ów mężczyzna, wpatrzony przed chwilą w fale rzeki, trzymał się w pewnem oddaleniu.

Wreszcie Parteniusz wydał głuchy okrzyk i trafiony przez przeciwnika w skroń, padł na ziemię. Widząc to, Domicyan zemknął czemprędzej w stronę, z której przybył. Odwracał często głowę po za siebie, aby się przekonać, czy ściga go przeciwnik Parteniusza. Ten jednak stał na środku mostu i spoglądał obojętnie na obu mężczyzn, leżących bez zmysłów u jego stóp.

Nagle — drgnął.

Uczuł dłoń czyjąś, dotykającą jego ramienia i usłyszał łagodnym głosem wymawiane słowa:

— Pokój tobie, bracie! Ażeby jednego uratować — powaliłeś drugiego. Dopomóż mi więc zobaczyć, czy nie dałoby się nam uratować mu jeszcze życia.

— Na obu nie wiele mi zależy. Jest już zresztą

późno, a ja nie jestem panem swego czasu. Mam oto tu żelazną obręcz niewolniczą, która uciska mnie, niby jarzmo wołu i pozbawia mnie wolności.

— Lanista daruje ci krótkie opóźnienie, Parysie skoro ci już raz pozwolił na nocną wycieczkę.

— Kto jesteś ty, co znasz moje imię? — zawołał zdumiony gladyator.

— Oczy twe nie przywykły tak bardzo do ciemności, jak moje, i dlatego nie poznajesz mnie. Raz tylko zresztą miałeś sposobność mnie widzieć.

— Kto jesteś? Mów! — wołał niecierpliwie Parys.

— Jestem bratem matki Floronii.

— Starcem z amfiteatru?

— Tak. Zwą mnie Anicetem. Ale nie marnujmy czasu. Każda chwila zwłoki krzywdą jest, jeśli bliźni potrzebuje pomocy.

Anicet ukląkł przy boku Parteniusza i położył mu rękę na sercu, chcąc się dowiedzieć, czy ofiara nocnej awantury jeszcze żyje. W tejże właśnie chwili jakiś człowiek z ludu przechodził przez most z latarnią. Rozglądał się po ziemi, jakgdyby szukał zgubionego przedmiotu. Zoczywszy dwóch mężczyzn, leżących niby trupy na ziemi, wydał z swej piersi okrzyk i umknął czemprędzej.

Anicet powstał tedy i rzekł:

— Uciekaj, Parysie!

— A skąd taka nagła o mnie obawa?

— Gdyż ten oto człowiek, którego rozciągnąłeś na ziemi, nie jest nikim innym, tylko... Parteniuszem.

— Wiedziałem o tem — odrzekł gladyator, a uśmiech zadowolenia zaigrał na jego ustach.

— Towarzyszem Parteniusza był więc może sam cezar? — zagadnął Anicet drżącym głosem.

— Tylko Domicyan mógłby się spokojnie przyglądać zaatakowaniu swego towarzysza. Żaden inny Rzymianin nie byłby zdolny do takiego tchórzostwa.

— Pomyśl zatem o swem bezpieczeństwie, bo jeżeli cezar cię poznał... jesteś stracony...

— Nie chcę uchodzić przed swoim losem. Jeżeli Domicyan pragnie mej krwi, to znajdzie mnie wszędzie.

Czy sądzisz, że życie jest mi tak drogie? Nędzne położenie niewolnika, które mnie zmusza do zabijania, ażebym sam nie został zabity i do służenia w ten sposób swym okrutnym współobywatelom za igraszkę dla ich oczu, nie ma nic dla mnie nęcącego. O, życie byłoby mi droższe, ale wówczas, gdybym mógł je na swobodzie w lasach mojej ojczyzny przepędzać.

Mówiąc to, Parys, owładnięty wzruszeniem, ujął za ramię starca.

— Uspokój się, przyjacielu! — rzekł Anicet — Ten, który miłością swą najbiedniejszych i wydziedziczonych otacza i nad tobą mieć będzie litość. Modlitwy moje, połączone z modłami mych braci, wyproszą dla ciebie światło Prawdy wiekuistej. Chodź jednak. Możemy się śmierci nie obawiać, ale nie powinniśmy jej szukać. Weź ocalonego przez siebie nieszczęśliwca na ręce i pospieszaj za mną.

Jakkolwiek łagodnym głosem przemawiał starzec, to jednak było w jego głosie coś rozkazującego, tak, iż Parys, niby dziecko, czuł się zmuszonym polecenie jego wykonać. Pochylił się więc, ujął w swe ręce rannego i chciał już ruszyć za Anicetem, gdy ten, uczyniwszy kilka kroków, odwrócił się nagle i, przystępując do Parteniusza, rzekł:

— Nie mogę tamtego pozostawić na los szczęścia. Bóg, który życie oddał, aby nas zbawić, polecił nam przebaczać i miłować nawet nieprzyjacioły nasze. Chciałbym też i jego w swym domu umieścić.

— Nie czyń tego! — zawołał Parys. — Jeżeli nie chcesz narazić siebie i mnie.

Anicet pogrążył się przez chwilę w zamyśleniu.

— Masz racyę — rzekł. — Wyzwoleniec cezara jest tylko ogłuszony otrzymanym ciosem i wkrótce powrócą mu zmysły. Gdybym go przyjął do swego mieszkania, to — przez wdzięczność — na śmierć by mnie wydał. Jakkolwiek bardzo pogardzam śmiercią, to jednak nie mogę swej misyi na tym świecie zbyt wcześnie ukończyć. Pług, który ręką moją prowadzony, ma przeorać glebę kamienistą, zaledwie jął się swego zadania. Przed męczeństwem nie będę uciekał, ale nie będę go też szukał,

gdyż mam jeszcze wielu bliźnim drogę do niebiańskiej ojczyzny wskazać.

To rzekłszy, Anicet uniósł Parteniusza, przesunął go ku poręczy, aby go uchronić przed roztratowaniem, poczem zdjął z siebie penulę, zwinął ją w kłębek i ułożył na nim głowę ogłuszonego wyzwoleńca, mówiąc:

— O, Boże Wszechmogący! Ulituj się nad tym, tak wielu grzechami obciążonym człowiekiem! Zwróć jego serce ku lepszemu i nie karz go w swym sprawiedliwym gniewie...

— A więc, chodźmy Parysie! — dodał.

Spiesznymi kroki opuścili obadwaj most.

Gladyator, obarczony ciężarem, postępował obok chrześcijańskiego starca.

Minąwszy świątynię Fortuny, zwrócili się na prawo ku świątyni Westy, a następnie dalej ku wybudowanej przez Serwiusza Tuliusza świątyni Dyany. Przebywszy z kolei skłon wzgórza awentyńskiego, znaleźli się wreszcie w jakiejś ciasnej ulicy, gdzie Anicet zatrzymał się przed jednym z biednych, lecz odosobnionych domków, wynajmowanych uboższym mieszkańcom przez patrycyuszów. Wkrótce po zapukaniu we drzwi, ukazało się dziewczę, w ubraniu plebejki, trzymające lampę glinianą. Ujrzawszy Aniceta, dziewczyna cofnęła się z progu i rzekła nieśmiało:

— Powracasz późno, mój ojcze!

— Przynoszę ci, Floronio, nieszczęśliwego, potrzebującego twej opieki — odrzekł starzec.

Dziewczę zbliżyło lampę, chcąc się przyjrzeć nieznajomemu, pozostającemu bez zmysłów, ale dostrzegła tylko czarne, kędzierzawe włosy, gdyż twarzą był zwrócony ku piersiom gladyatora. Następnie Floronia obrzuciła wzrokiem Parysa, a poznawszy swego wybawiciela, zawołała:

— Bądź pozdrowiony, bracie, w mieszkaniu tej, którą od śmierci ocaliłeś!

Parys pochylił głowę na znak pozdrowienia, Anicet zaś w dalszym ciągu mówił:

— Floronio, dziecko moje, zaprowadź nas teraz do komnaty, gdzie zmarła twoja matka.

Floronia skierowała swe kroki ku atrium, które oddawna znajdowało się w nienajlepszym stanie. Trawa wyrastała tu i owdzie z przedziurawionej podłogi, a bluszcz piął się dokoła marmurowych filarów, na których opierało się sklepienie. Floronia otworzyła drzwi, znajdujące się w głębi sali i wkroczyła do ciasnej oraz niskiej izby. Ściany i sufit pokryte tu były białym, ale zczerniałym ze starości tynkiem. Podłoga ułożona była z małych cegiełek, zestawionych z sobą w taki sposób, iż tworzyły różnorodne figury.

Minąwszy tę izbę, dziewczę przeszło do następnej, mniejszej niż pierwsza, ale całkiem do niej podobnej. Miła woń kadzideł uderzyła tu wchodzących. W kącie sali ujrzeli oni coś w rodzaju ołtarza, pokrytego białym obrusem.

Głęboki smutek malował się na obliczu Floronii, gdy, przekroczywszy próg tej izby i zwracając się do Aniceta, rzekła:

— Oto miejsce, gdzie moja świątobliwa matka oddała Bogu ducha. Kogóż to ze sobą przyprowadzasz?

— Nieszczęśliwego, który naszej pomocy potrzebuje — odrzekł starzec.

Tymczasem Parys ułożył nieznajomego na łóżku, obrzucił go następnie wzrokiem i rzekł ze szczerem współczuciem:

— Zdaje mi się, że już nie żyje.

Anicet wziął lampę z rąk Floronii, zwrócił światło ku twarzy rannego i wykrzyknął:

— Boże mój! Jeśli się nie mylę, jestto patrycyusz Sekstus Sabinus!

— Sekstus, towarzysz moich zabaw z lat dziecięcych! — zawołała Floronia jeszcze bardziej zdumiona, niż starzec.

Opanowując się jednak natychmiast, rzekła drżącym głosem:

— Ojcze, on jest ranny!

Pochyliła się następnie nad młodym patrycyuszem i troskliwie odsunęła z jego czoła kędzierzawe włosy, zlepione krwią zakrzepłą i zasłaniające ranę.

— Cios nie był śmiertelny. Nieszczęśliwy tylko

stracił przytomność. Podaj mi, dziecko, balsam i bandaż — rzekł starzec.

Dziewczę oddaliło się i powróciło wkrótce, niosąc szklaną szkatułkę, zawierającą w sobie pewną liczbę flaszeczek.

Anicet puścił parę kropel silnego roztworu na czoło chorego, wskutek czego krew popłynęła strumieniem. Floronia następnie przemyła ranę, poczem przewiązała ją z największą starannością.

— Bądź zdrów, Anicecie! Muszę wrócić do amfiteatru — rzekł gladyator, widząc, że obecność jego była już zbyteczna.

Starzec odprowadził do progu odchodzącego Parysa, zostawiając chorego pod opieką Floronii. Przybywszy do atrium, Anicet zatrzymał się i, kładąc rękę na ramieniu gladyatora, zapytał:

— Wybacz starcowi jego ciekawość, ale powiedz mi jednak, dlaczego szedłeś za Parteniuszem?

— Błąkałem się bez celu, gdy jednak spostrzegłem wyzwoleńca cezara, ciekawość pognała mnie w jego ślady.

— Ale w jaki sposób o tak późnej porze mogłeś się rozstać z swymi towarzyszami?

— Życzliwy mi lanista pozostawia mi pewną swobodę. Gdybyś wiedział, jaka radość serce moje rozpiera, gdy mogę skierować swe kroki dowolnie, dokąd mi się podoba! Wówczas zapominam na chwilę o tem żelaznem jarzmie, które mnie krępuje i nie przeklinam nawet złego losu, dającego jednym nieszczęście, a drugim wszystkie radości tej ziemi. Wtedy pozdrawiam wdzięcznem sercem jedynie sprawiedliwą naturę, której słońce i gwiazdy wszystkim zarówno świecą i która nędzarzom nawet nie zabrania rozkoszować się swem pięknem. Takie szczęście jest wszakże rzadko udziałem biednego niewolnika. O, los jest okrutny! Jego postanowienia nie znają żadnej sprawiedliwości...

— Bóg rozdziela losy, a Jego wola, jakkolwiek niezbadana, jest zawsze nienaganną i świętą — odrzekł z wielką powagą Anicet, poczem dodał łagodniejszym tonem:

— Mój Parysie, gdyby twoje nędzne położenie było

wiecznem, miałbyś może prawo się uskarżać. Ale żywot doczesny, ziemski, szybko mija i tych, którzy, wierząc słowu Bożemu, rozumieją, że wobec Wszechmogącego niemasz niewolników i bez szemrania, z poddaniem się woli Bożej, znoszą swe cierpienia — oczekuje szczęście wiekuiste. Wolność — to piękna rzecz, ale kajdany nie uciskają tego, kto pomni, że ducha ujarzmić nikt nie jest w stanie, że zawsze zdolen on jest wznieść się ku Bogu. Nie zazdrość szczęścia szczęśliwym i wielkości — wielkim, gdyż w dniu sądu ostatecznego wielu z pośród nich, którzy staną przed obliczem Najwyższego, nosić będzie na swem czole piętno potępienia. Bóg jest sprawiedliwy i wobec Boga najpotężniejszy, a niecnotliwy cezar, okaże się mniejszym, aniżeli robaczek mały, tarzający się w prochu, podczas gdy ostatni niewolnik prawego serca między wybranych policzon będzie.

Wschodzący zwolna księżyc oświetlał swem srebrnem światłem filary atrium i rzucał łagodny refleks na twarz Aniceta, który z podniesioną głową, z uduchowionem spojrzeniem, skierowanem ku niebu, podobny był do proroka izraelskiego, wieszczącego przyjście Zbawiciela.

Parys spoglądał nań zdumiony. Niebiańskie słowa wyznawcy Chrystusa poruszyły go do głębi i łza, pierwsza łza, która od dłuższego czasu zwilżyła oko siłacza, stoczyła się po jego twarzy.

— Dotychczas — ciągnął Anicet — słowa moje brzmią w twych uszach niezrozumiale. Wkrótce jednak, gdy modlitwa moja wysłuchaną zostanie, i ty je zrozumiesz... Mówiłeś mi o losach twojej ojczyzny. Gdzie przyszedłeś na świat?

— Oczy moje ujrzały światło dzienne w borach herceńskich — oświadczył Parys, gdyż tak nazywali Rzymianie całe Niemcy środkowe. — Ojciec mój był jednym z wielkich swego narodu. Już w dziecięctwie swojem pojmany zostałem do niewoli i zawleczony do Rzymu. Tu zapomniałem Boga i języka swego narodu. Zręczność i siła moich członków pozwalały przypuszczać, iż będę dzielnym atletą, więc we wczesnej już młodości przeznaczono mnie do cyrku. Stan niewolniczy gnębi

mnie, jakkolwiek zatraciłem prawie zupełnie pamięć o dawnej wolności. Często, słysząc o próbach, czynionych w celu zrzucenia jarzma, i mnie przychodziła do głowy myśl wywołania buntu, ale towarzysze moi, zezwierzęceni w niewoli, nie mogą mnie zrozumieć... Pewnego dnia porwał się na mnie jeden z dozorców. Oparłem się mu, powaliłem go na ziemię i zraniłem go ciężko. Skazano mnie na ten rodzaj kary, jaki wymierzają niewolnikom. Miano mi nagie ciało oćwiczyć skórzanymi rzemieniami... Kara to straszliwsza, aniżeli krzyż, bo ludzi ze zwierzęty równa. Rozkaz miał być wykonany po za amfiteatrem. Wleczono mnie na miejsce kaźni, przeklinającego bogów i ludzi. Zaledwie jednak tam przybyłem, miejsce kaźni mijała zbliska lektyka, poprzedzana przez liktorów. Jakaś niewiasta w białej sukni zstąpiła z lektyki i zamieniła kilka słów z lanistą.

— Jesteś ocalony — rzekł do mnie lanista — bo miałeś szczęście przed odcierpieniem kary spotkać westalkę.

— Rzuciłem się na ziemię — ciągnął dalej Parys — wyciągając ręce do mej wybawicielki, która zdała mi się być czemś więcej, niż istotą ziemską. Nie zaszczyciła mnie nawet spojrzeniem. Wtedy zapragnąłem umrzeć... Od tego dnia prowadziłem znów żywot gladyatora. Byłem znów niewolnikiem, nędzniejszym od niewolników, służących patrycyuszom. Byłem jak zwierz dziki, zamknięty wraz z towarzyszami swymi, których nie rzadko musiałem mordować, aby własne ocalić życie. I życie moje zdałoby mi się było nieznośnym ciężarem, gdyby nie szalone, choć lube jednak marzenie, wprowadzające niekiedy w zachwyt mego ducha... Bywało, iż rzucałem się na arenę, w postanowieniu, nie opuszczenia jej już za życia. Jednak w momencie walki krew moich przodków, niby wulkaniczna lawa, wrzała w mych żyłach i wtedy rzucałem przeciwnika w proch zatraty. A przecież natura nie uczyniła mnie okrutnikiem; przeciwnie, czuję litość nad słabszymi! Dzięki swej sile, stałem się sławnym. Imię Parysa plebs rzymski wymawia z podziwem. O, imię moje jest wielkie! Wieniec laurowy zdobi me skronie... Zachwycam lud czynami swego bohaterstwa!...

Ostatnie słowa wypowiedziane były przez gladyatora z bolesną ironią, to też dotarły one głęboko Anicetowi do serca i obaj umilkli, pogrążając się w zadumie. Naraz uszu ich dobiegł głos męski, rozbrzmiewający pokorną i uroczystą pieśnią chrześcijańską, sławiącą Pana nad Pany, który winy ludzkie przebacza, ułomności ich leczy i sprawiedliwość pokrzywdzonym wymierza.

— Co to za śpiew? — zapytał Parys, gdy pieśń umilkła.

— To śpiew niewolnika, wyznawcy Chrystusa, któremu wiara czyni lżejszymi kajdany. Także i on grzeszył i cierpiał, ale poznawszy prawdę, wzdycha do niebiańskiej ojczyzny, gdzie się już nie cierpi. Nie zawsze może on tu przyjść pomodlić się wespół z braćmi, ale tego wieczoru dostąpił owego szczęścia i oto nuci pieśń, w której serce swoje niebu i ludziom otwiera.

Parys milczał przez chwilę, poczem uchwycił rękę starca i rzekł, wzdychając:

— Bądź zdrów, przyjacielu, a gdybyśmy już mieli nie zobaczyć się więcej, to przyjm już teraz moje ostatnie pożegnanie.

— Ujrzymy się znowu. Parteniusz nie poznał ciebie, nie masz się więc czego obawiać — odrzekł Anicet i odprowadził gościa aż do progu.

Po odejściu Parysa starzec zwrócił się w przeciwną stronę i wkroczył do pokoju, gdzie u drzwi stał niewolnik, który dopieroco właśnie śpiewał psalm chrześcijański. Tu zeszedł Anicet po małych schodach, wiodących do izby następnej.

Pokój, do którego wkroczył teraz Anicet, był wąski, długi i niski. Całą jego ozdobę stanowił wznoszący się w głębi mały ołtarz, z umieszczonym ponad nim czarnym, drewnianym krzyżem. Dwie lampy gliniane oświetlały grupkę pobożnych, którzy się tu zgromadzili.

Gromadka ta składała się z kilku rodzin chrześcijańskich, które, mieszkając w sąsiedztwie, zwykły się zbierać u Aniceta na wspólne modły. Chcąc jednak uczestniczyć w ofierze mszy świętej schodziły one w głąb katakumb, ażeby się lepiej ukryć i w łonie ziemi, w mieszkaniu zmarłych, uczcić najwznioślejsze tajemnice chrystyanizmu.

Zgromadzeni stali ze splecionemi rękoma, pogrążeni w żarliwej modlitwie. Choć groźba śmierci męczeńskiej, niby miecz Damoklesa, unosiła się nad ich głowami, obecni z całą swobodą i spokojem, pełni niebiańskiego rozradowania, wznosili je ku szczytom ołtarza.

Anicet przeszedł wśród modlących się, którzy, chcąc go przepuścić, rozsunęli się w dwa rzędy. Gdy Anicet stanął na stopniach ołtarza, jeden z niewolników założył mu na szyję stułę i podał rozpaloną kadzielnicę. Starzec ukląkł następnie i zanucił głośno jeden z psalmów królewskiego proroka.

Przeszło godzinę wierni śpiewali psalmy, a pieśń ich, niby miła woń kadzideł, wznosiła się z tej podziemnej izby ku Bogu. Następnie, ukończywszy modły, wysuwali się pojedynczo na zewnątrz, spiesząc ukradkiem ku swoim domostwom.

Anicet wrócił wtedy do pokoju, gdzie leżał ranny i zastał tam Floronię, klęczącą przy jego łożu i modlącą się żarliwie.

— Czy chory odzyskał przytomność? — zapytał Anicet.

— Nie jeszcze. Z warg jego uleciało zaledwie słabe westchnienie, później jednak znów popadł w ten stan odrętwienia, który mnie dreszczem przejmuje.

— Rana nie jest śmiertelna. Żyć on będzie jeszcze długo, jeśli go nie dotknie zemsta cezara.

— Mówisz o zemście cezara! Nie rozumiem cię... — rzekło dziewczę porywczo.

Anicet opowiedział Floronii o tem, jak patrycyusz, wracając w stanie nietrzeźwym z nocnej hulanki, zetknął się z Domicyanem i Parteniuszem.

Floronia słuchała opowiadania z natężoną uwagą, a zarumienione jej oblicze pokryła znów bladość. Rzuciła wreszcie niechętne spojrzenie na głowę chorego i rzekła wzgardliwym tonem:

— Jak dalece ten człowiek uledz musiał zepsuciu, skoro może w stanie nietrzeźwym włóczyć się po ulicach Rzymu!

— Nie jest on zepsuty bardziej od większości osób, przynależnych do jego stanu — zaprzeczył smutnie Anicet.

Floronia raz jeszcze zwróciła wzrok swój na młodego patrycyusza, a wielka łza zaperliła się w jej oczach. Nie mogła pojąć, dlaczego widok towarzysza jej lat dziecięcych napawał ją uczuciem, stanowiącem mieszaninę współczucia i strachu.

— Córko moja! Nie odprawiłaś dziś modłów wieczornych wraz z braćmi, idź więc i módl się, a potem ułóż się do snu i śpij snem młodości i niewinności. Ja będę tu czuwał.

Floronia, przywykła do ślepego wykonywania poleceń Aniceta, oddaliła się ze spuszczonemi oczyma, ażeby uniknąć widoku poranionej głowy patrycyusza.

V.

Wizyta w domu patrycyuszki.

Słońce wzeszło właśnie, gdy obudziła się Floronia. Zerwała się na nogi, ubrała, poczem rzuciła się na kolana i, trzymając w rękach mały, czarny krzyżyk, zmówiła poranną modlitwę.

Następnie udała się do pokoju rannego patrycyusza, gdzie stary Anicet, siedząc na kamiennym stołeczku, oparty plecami o ścianę, spał smacznie, z głową opuszczoną na piersi.

Floronia nie śmiała go budzić, stanęła więc, unikając spojrzenia Sekstusa. Usłyszawszy jednak stłumione westchnienie chorego, podbiegła ku niemu i przekonana, że niewygodna pozycya utrudnia mu oddech, starała się go wygodniej ułożyć. Wysiłki jej pozostały jednak bez skutku. Wskutek długiego więzienia tak była z sił wyczerpana, iż nie była w stanie podnieść chorego.

Nagle patrycyusz, jakby otrząsnąwszy się z odrętwienia, uniósł się o własnych siłach i, ujrzawszy Floronię, rzekł:

— To ty jesteś, Floronio? To ty, poznaję cię!

Wsparł się na rękach, i próbował powstać.

— Ojcze, pomocy! — zawołała przestraszona Flo-

ronia, budząc starca, który przybiegł ku łożu. Ale Sekstus znów opadł bezsilnie na poduszki i zamknął oczy.

— Gorączka mu nie daje pokoju. W nocy kilkakrotnie odzyskiwał zmysły, lecz po to tylko, aby westchnąć i popaść w majaczenie — objaśnił Anicet.

— Biedny, jak on bardzo cierpi! — rzekła Floronia, poczem zwróciła się do Aniceta:

— Idź spocząć, ojcze, a ja będę czuwać nad patrycyuszem.

— Nie! — rzekł kapłan. — Nie zostawię go pod twą opieką. Jest moim obowiązkiem wytrwać przy tym nieszczęśliwym, dopóki kryzys nie minie. Ty musisz tymczasem wypełnić ważną misyę i w interesie tego młodego człowieka. Wiesz, gdzie się znajduje dom naszej siostry Domiceli, żony Flawiusza Klemensa, a siostrzenicy cezara?

— Wiem.

— Doskonale! A więc spiesz tam co rychlej.

— Ojcze, od czasu, jak zostałam ocalona przez Parysa i pod dach twój wróciłam, nie byłam jeszcze na ulicach Rzymu i...

Przerwała i po chwili dopiero, ozwała się z płaczem:

— Jestem niegodną naśladowczynią Chrystusa, gdyż obawiam się męczeństwa. Ten amfiteatr ze swym tysiącem okrutnych widzów, te bestye z żarzącemi się oczyma, ciągle stają w mych oczach. Brak mi tej siły ducha, która tylu dziewicom chrześcijańskim palmy męczeństwa pożądać pozwala...

Przy tych słowach pomieszanie odbiło się na twarzy dziewczęcia. Toczyła wzrokiem obłędnie dookoła, jakgdyby znów lwy rozwścieczone w pobliżu ujrzała, a wszystkie jej członki drżały konwulsyjnie.

Anicet ujął jej rękę i rzekł łagodnie:

— Jeśli Wszechmogący zechce cię do chwały męczeńskiej powołać, to da ci także odwagę umrzeć. Wszak i tym razem nie brak ci było w tej strasznej chwili poddania się woli Bożej. Widziałem cię, z jakim spokojem i odwagą wstępowałaś na arenę...

— Ale wówczas nie czułam jeszcze oddechu lwa na swej twarzy — odparła Floronia, zakrywając twarz dłońmi.

— Posłuchaj mnie, siostro! — ciągnął dalej starzec. — Możesz bezpiecznie przejść ulice Rzymu. Nie zna cię nikt oprócz współwyznawców Chrystusa, a ci, którzy cię na śmierć osądzili, nie będą zapewne pamiętać o biednej dziewczynie z ludu. W każdym razie nikt nie nastaje na twoje życie, odkąd ci je cezar darował. Idź więc i nie miej żadnej obawy.

— I cóż mam rzec Domiceli?

— Powiedz jej, że Sekstus Sabinus, siostrzeniec męża jej przyjaciółki, Faustuli, leży tu chory i że zagraża mu gniew cezara. Proś ją w mem imieniu, ażeby się dowiedziała, czy są czynione za nim poszukiwania. Jeśli tak, to niechaj mi da znać o tem, gdyż musiałbym tego nieszczęśliwca ukryć gdzieś w podziemiach. Spiesz się, a Anioł-Stróż niechaj ci towarzyszy.

Floronia opuściła dom Aniceta i, przemykając się pod murami, biegła przez ulice Rzymu. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Mała jej postać nie budziła w nikim zainteresowania, a piękność jej nic nie miała w sobie uderzającego, polegała bowiem bardziej na miłym wyrazie jej twarzy, aniżeli na uwydatniających się pięknych kształtach ciała.

Po dłuższej wędrówce, zatrzymała się przed jednym z domów, mającym wygląd patrycyuszowskiej siedziby. Opanowana trwogą, wahała się chwilę, zanim zdecydowała się na przekroczenie przedsionka. Następnie jednak weszła śmiało do atrium, którego białe filary, oświetlone promieniami porannego słońca, mile zaigrały w jej oczach.

W atrium stało na warcie dwu liktorów, zbrojnych w halabardy, trzech zaś służących, obsługujących atrium, gwarzyło w kącie.

Floronia rzuciła nieśmiałe spojrzenie na liktorów, poczem, zwracając się do służących, zapytała drżącym głosem, czy nie mogłaby się widzieć z Domicelą?

Starszy ze służących, powitawszy ją uprzejmie, oświadczył, że Domicela jest u męża, który się właśnie wybiera do senatu, poczem wskazał jej miejsce, gdzie, wolna od natrętnych spojrzeń liktorów, mogła spokojnie oczekiwać.

— Anicet miał słuszność, mówiąc, że ze służby

można wnosić o pana i że nigdy w domu pyszałkowatego patrycyusza nie spotka się uprzejmego sługi — myślała Floronia, gdy, ośmielona życzliwem obejściem się służącego, postępowała za nim do niewielkiego pokoju, którego barwne, marmurowe ściany witały wchodzących lustrzanym połyskiem.

Floronia, zostawszy sama, podziwiała nadzwyczajny przepych urządzenia. Usłyszawszy jednak oddalone głosy ludzkie, cofnęła się nieśmiało do kąta, ażeby nie być dostrzeżoną przez nadchodzących. Głosy zbliżały się coraz bardziej, aż wreszcie rozwarły się drzwi i Domicela wraz z Flawiuszem Klemensem przekroczyła próg sali.

Flawiusz trzymał w prawej ręce laskę konsula, wykonaną z kości słoniowej, miał na sobie wszystkie odznaki, świadczące o jego wysokiej godności. Był to młody jeszcze mężczyzna, o szlachetnym wyglądzie i pełnej godności postawie.

Domicela i Flawiusz tak byli zajęci rozmową, iż nie zauważyli nawet obecności Floronii. Przybywszy do drzwi następnych, Domicela zatrzymała się i ściskając dłoń męża, rzekła stłumionym głosem:

— Niech cię Bóg prowadzi, mój mężu, niech w dobrotliwości swej oświeci twój umysł, abyś mógł dla dobra ojczyzny współdziałać.

— Niechaj się stanie tak, jak mi życzysz — odparł Flawiusz i opuścił komnatę.

Młoda patrycyuszka zwróciła swe kroki w stronę pokoju, z którego przybyła. Zanim jednak doszła do drzwi, spostrzegłszy Floronię, zawołała zdumiona:

— Jesteś tu, siostro?

— Anicet mnie przysłał — odrzekło dziewczę nieśmiało.

— Nie mądrze było z twej strony pokazywać się o tej porze na ulicach Rzymu, narażać się na niebezpieczeństwo poznania cię przez kogoś i zaczepkę — mówiła Domicela, potrząsając głową.

— A któżby się takiem biednem dziewczęciem zajmował?

— Wrogowie nasi już się dość tobą zajmowali, wtrącili cię do więzienia, a stamtąd aż na arenę powlekli...

— Dostrzegłaś mnie, siostro, wówczas, kiedy pokryjomu przedostałam się na arenę, ażeby chustkę swą w krwi jednego z naszych braci umaczać. Zapytałaś się mnie o moją wiarę. Przyznałam się, że jestem chrześcijanką. Odprowadzono mnie do mamertyńskiego więzienia. Tam, litując się nad moją młodością, postanowiono ofiarować mnie bogom na służbę... Pozostałam jednak wierna swemu Bogu.

— Dzielne dziewczę! — ozwała się Domicela.

— Nie chwal mnie, albowiem nie zasługuję na pochwały. Wszak teraz jeszcze drżę na myśl samą o tej dzikiej bestyi, która się ku mnie w cyrku rzuciła. Posłuchaj jednak zlecenia, z którem Anicet mnie do ciebie przysłał.

— Chodź do moich pokojów — rzekła Domicela, wprowadzając Floronię pod rękę do miluchnego pokoiku, gdzie panowała największa prostota, ale gdzie tchnęło szczęściem i spokojem wszystko.

— Spocznij! — zapraszała Domicela, wskazując Floronii łoże, poczem sama usiadła obok niej.

Drżącym ze wzruszenia głosem opowiedziała Floronia o przygodzie Sekstusa, prosząc Domicelę serdecznie, aby się zechciała zająć losem rannego patrycyusza.

— Sekstus jest utracyuszem, który fortunę swych ojców na karczmy i niedozwolone przyjemności marnuje — odrzekła Domicela. — Ale zająć się nim trzeba. Będę Boga o jego nawrócenie błagać, a jeżeli zagraża mu gniew cezara, to dam o tem znać Anicetowi. Tylko to jedno uczynić mogę dla Sekstusa. Także nad moją głową unosi się wyrok śmierci. Gdyby Domicyan wiedział, jaką wiarę wraz z Flawiuszem wyznajemy, to bez żadnej litości skazałby nas na śmierć. Ale wola boska wszystkiem rządzi! Teraz życie nasze potrzebne jest jeszcze dla dzieci, gdy jednak nie będą już naszej opieki potrzebować, wówczas weźmiemy się z mężem pod rękę i wobec całego świata wykrzykniemy: „Jesteśmy wyznawcami Chrystusa!“

— Bóg cię ochroni, Domicelo, gdyż prostą idziesz drogą, ale nie zapomnij, proszę, o nieszczęśliwym Sekstusie.

— Czy tak bardzo obchodzą cię jego losy? — zapytała Domicela nieco zdziwiona.

— Urodziłam się w domu Flawiusza Sabinusa, Sekstus zaś, choć starszy odemnie, był towarzyszem moich zabaw dziecięcych — rzekła Floronia z prostotą.

— Ach! Przypomniałam sobie... Ale o czemś całkiem innem... Także i ja bowiem mam przyjaciółkę, cenioną również przez ciebie. Przyjaciółce tej grozi niebezpieczeństwo. Od wczoraj już żywię chęć naradzenia się w tej sprawie z Anicetem...

Przerwała nagle, gdyż w progu ukazała się dziewczyna z zawiadomieniem, iż Kornelia Sabina pragnie mówić z panią domu.

Wkrótce weszła Kornelia i ściskając rękę patrycyuszce, ozwała się raźnie:

— Ponieważ nigdy nie opuszczasz swych bogów domowych, więc ja musiałam opuścić świątynię Westy, aby się z tobą zobaczyć.

Domicela podziękowała kapłance za pamięć i prosiła ją o zajęcie miejsca, opuszczonego przez Floronię. Ta ostatnia, cofnęła się, widząc wchodzącą Kornelię, później jednak zbliżyła się do niej i, ująwszy w rękę rąbek jej płaszcza, zapytała nieśmiało:

— Czy nie przypominasz już sobie, Kornelio, dziewczęcia, które przyszło na świat w twym domu i zabawiało się wraz z tobą w latach dziecięctwa?

Westalka odwróciła się żwawo i wrażenie miłej niespodzianki odbiło się na jej pięknej twarzy, gdy przypomniała sobie towarzyszkę lat dziecinnych. Oczy jej rozbłysły radością, otworzyła ramiona, przycisnęła do piersi Floronię, a okrywając twarz jej pocałunkami, wołała:

— Floronia, moja Floronia! Przypomniałam cię sobie owego dnia, gdy cię ujrzałam, wstępującą na arenę, jakkolwiek od czasu, gdy dom rodzicielski opuściłam, ażeby się służbie kapłańskiej poświęcić, nie okazałaś żadnej troski o moją osobę.

— Mieszkam u brata mojej matki, dlatego nie jestem panią swoich uczynków. Jako biedne dziewczę z ludu nie śmiem też nieproszona przekraczać progu

królewskiego zamku Numy. Choć jednak przez długi czas cię nie widziałam, serce moje było zawsze przy tobie...

To mówiąc, Floronia ucałowała rękę Kornelii.

Nagle zasępiła się twarz westalki. Szybkim ruchem odepchnęła od siebie zaskoczoną tam Floronię i zapytała gniewnie:

— Czy jesteś jeszcze wyznawczynią Chrystusa?

— Nie zaparłam się mej wiary! — odparło dziewczę, podnosząc głowę z pełnym godności spokojem.

— Ej! Wróć ku wzgardzonym przez ciebie bogom i nie narażaj się na nowe niebezpieczeństwo okrutnej i haniebnej śmierci — rzekła Kornelia, przezwyciężywszy odrazę i znów zbliżając się ku Floronii.

— Śmierć, którą ty zowiesz haniebną, przez wyznawców Chrystusa uważana jest za pełną chwały. Jestem chrześcijanką i umrę jako chrześcijanka.

Gdy Floronia z zapałem i niewzruszonym spokojem wymawiała te słowa, twarz jej rozjaśniła się niebiańską radością.

— Nie zrażaj się tak bardzo do wyznawców Nazarejczyka, Kornelio — wtrąciła Domicela — gdyż nie brak ich także w twej własnej rodzinie.

— Pleciesz! — wykrzyknęła westalka, blednąc z gniewu.

Domicela nic nie odpowiedziała i przez chwilę zapanowało w komnacie milczenie. Wreszcie Floronia, biorąc ponownie rękę Kornelii, prosiła ją głosem, pełnym słodyczy:

— Nie miej mnie w nienawiści, dobrodziejko matki mojej, ach!... nie nienawidź mnie!

— Wstręt czuję ku twojej wierze, ale ciebie miłuję, Floronio.

— Jaka to szkoda, że nad twem dobrem sercem nie zajaśniało jeszcze światło wiary! — westchnęła głośno Domicela, zapominając o wszelkiem niebezpieczeństwie.

— Nie rozumiem słów twoich, Domicelo! — rzekła Kornelia, spoglądając ze zdumieniem na patrycyuszkę, która w tej chwili, przez wzgląd jedynie na dzieci, żałowała, iż mimowolnie ujawniła swą tajemnicę.

I znów zapanowało głębokie milczenie, przerwane

wkrótce przez służebnicę, która stanęła nagle w progu i rzekła zdyszana:

— Pani! Dostojna małżonka cezara raczyła zawitać do twego domowego ogniska. Jest już w krużganku i natychmiast tu przybędzie.

Zapowiedź ta wywarła na Domiceli wielkie wrażenie. Opanowała się jednak rychło, a poprosiwszy Kornelię, żeby zechciała zatrzymać się jeszcze chwilę, pospieszyła naprzeciw Domicyi.

— Mijając twój dom, spostrzegłam stojącą na ulicy lektykę jednej z westalek. Ciekawość więc przyprowadziła mnie w twe progi, chciałam się bowiem zapytać o nazwisko tej westalki — rzekła Domicya, witając się z Domicelą.

Małżonka Flawiusza milczała, bojąc się wymienić imię Kornelii.

— Dlaczego milczysz? Mów! Jak się zwie owa westalka? — nalegała Domicya, drepcąc na miejscu z niecierpliwości.

— Kornelia Sabina — odrzekła po chwili wahania Domicela.

— Kornelia... Kornelia... — powtórzyła żona cezara z źle ukrytym gniewem. — Kornelia jest więc twoją przyjaciółką? W takim razie... jedna warta jest drugiej... — dodała szyderczo.

Purpura oblała twarz Domiceli, ale opanowując swe nerwy, rzekła łagodnie:

— Łżyj mnie, jeśli chcesz, ale oszczędź przynajmniej kapłanki, która służy bogini i przez ciebie uwielbianej.

— Ja bardziej czczę boginię, aniżeli Domicyan, który dziś uda się do świątyni Westy i, otulony płaszczem swej czarnej obłudy, udawać będzie, jakoby przybył dla uczczenia bogini... Ale niechaj się mnie strzeże, bo już go miłować przestałam!

— Nie kochałaś go nigdy... I dziś pokutujesz za to, że porzuciłaś swego męża...

Słysząc te śmiałe słowa Domiceli, żona cezara pożółkła z gniewu. Ukryła jednak szybko swą wściekłość pod maską udanej obojętności, zmieniła temat rozmowy

i poczęła opowiadać o nocnej przygodzie Parteniusza, napadniętego na moście palatyńskim. Ponieważ nie wspomniała nic o Sekstusie, Domicela była o jego los spokojna.

Ukończywszy rozmowę, patrycyuszka odprowadziła Domicyę aż do progu, poczem, powróciwszy do gości, ujrzała obie dziewczęta, zajęte pogawędką.

— Domicelo — rzekła Kornelia — chcę dziś udać się do domu, gdzie, jak mi mówi Floronia, Sekstus leży ranny.

— Musisz powrócić do świątyni, gdyż cezar chce dziś złożyć ofiarę bogini?

— Jesteś tego pewna?

— Mówiła mi o tem Domicya Augusta. Nie oddalaj się więc od świątyni i... aby cię dobry los uchronił od zasadzki, która ci zagraża...

— O jakiejże to mówisz zasadzce? Nie rozumiem cię...

— Obecnie muszę milczeć... Później się może o tem dowiesz... Ale nie obawiaj się! Matka twoja czuwa i modli się za ciebie.

— Nie obawiam się niczego. Jesteśmy nietykalne, a zresztą palladium chroni kapłanki Westy — dodała dumnie Kornelia.

— Occella i Veronilla były również nietykalne, a jednak zostały niesłusznie oskarżone i... osądzone — szepnęła Domicela, jakby do siebie.

— Dlaczego przywodzisz mi na pamięć te dwie przestępczynie? — zawołała westalka niezadowolona. — Cóż ja mam z niemi wspólnego? Czy przypuszczasz, Domicelo, że Kornelia może splamić się hańbą?... Nie własna wprawdzie wola, lecz obyczaj tylko zawiódł mnie dzieckiem jeszcze do świątyni. I być może, iż gdyby mnie pozwolono o moim losie samodzielnie zadecydować, to obrałabym sobie stan, bardziej odpowiadający memu upodobaniu. Jestem jednak westalką i tysiąc razy umrę raczej, aniżelibym miała przysięgę, złożoną przez siebie, złamać.

— Jaka ty piękna jesteś, Kornelio! Któżby mógł cię nie kochać? — wykrzyknęła Floronia, zachwycona majestatyczną postawą kapłanki.

Ten naiwny okrzyk dziewczęcia wywołał uśmiech na twarz Kornelii, która z właściwym jej, pełnym godności wdziękiem, zwracając się do Domiceli, rzekła:

— Niepojęte jakieś przywidzenie cię niepokoi. Ale nic mam ci tego za złe. Kochasz tak bardzo córkę twej zmarłej przyjaciółki, że ta miłość właśnie sprowadza na ciebie nieuzasadniony niepokój...

Słowa westalki przerwane zostały radosnymi okrzykami dwu chłopców, którzy w podskokach zjawili się wśród obecnych. Chłopcom towarzyszyło dziewczę o wyglądzie nadzwyczaj łagodnym i miłym. Byli to synowie patrycyuszki, towarzyszące im zaś dziewczę — siostrą Flawiusza Klemensa, noszącą również imię Domiceli.

Patrycyuszka przytuliła do serca synków i do każdego z nich przemówiła szeptem niedosłyszane przez resztę obecnych słowa. Błogosławiła ich w imię Syna Bożego.

Kornelia, przyglądając się temu pięknemu obrazkowi rodzinnemu, myślała w duchu nad niesprawiedliwością losu, który ją, posiadającą duszę tak wrażliwą, w kwiecie wieku skazał na osamotnienie w świątyni. Mimowoli westchnęła. Westchnienie to jednak odbiło się natychmiast w głębi jej duszy odczutym wyrzutem sumienia, albowiem kapłanka Westy winna być zadowolona ze swego stanu. Wstrząśnięciem głowy rozprószyła myśli, jeśli nie grzeszne w jej mniemaniu, to w każdym razie niebezpieczne. Następnie podeszła do Domiceli i wzięła jednego z chłopców na ręce, mówiąc:

— Jakie grzeczne są twe dzieci i jak dalece miłość twa ku nim czyni cię szczęśliwą!

To mówiąc, zapomniała o surowej powadze, obowiązującej kapłankę i podrzucając chłopca na kolanach, zabawiała się z nim wesoło.

— Być może, iż zanadto kocham swe dzieci i dlatego zbyt cenię życie — ozwała się matrona.

— Oby bogowie pozwolili ci ujrzeć ich siwe włosy i doczekać ci, jako szczęśliwej matce, jaknajpóźniejszej starości.

Domicela nic nie odpowiedziała. Wzruszona, wy-

ciągnęła rękę ku westalce, na znak podziękowania za jej życzliwość. Po krótkiej dopiero pauzie rzekła:

— Chciałabym żyć jeszcze tak długo, ażebym mogła wskazać swym synom drogę, jedynie wiodącą do wiecznej szczęśliwości... Niczego więcej ponadto nie pragnę.

— Przyjaciółki moje, muszę już was pożegnać — rzekła Kornelia, spuszczając chłopca z kolan. — Powracam do świątyni, ale dziś jeszcze przed zmierzchem odwiedzę Sekstusa.

Floronia pozostała jeszcze chwilę, aż wreszcie i ona poczęła szykować się do odejścia. Patrycyuszka odprowadziła ją aż do atrium, żegnając się zaś z nią rzekła:

— Módl się za Kornelię, ażeby Bóg rozświetlił ciemności jej duszy i zachował ją od zagrażającego jej niebezpieczeństwa.

VI.

Ofiara cezara.

Na południowo-wschodnim stoku wzgórza palatyńskiego dziś jeszcze oglądać można szczątki prastarej świątyni Westy, przekształconej przez papieża Hadriana I. w r. 774 na kościół katolicki, poświęcony czci św. Teodora. W świątyni owej za opisywanych czasów płonął ustawicznie święty ogień, utrzymywany i strzeżony przez kapłanki-dziewice, zwane westalkami.

W pobliżu świątyni wznosił się zamek królewski, Numy Pompiliusza, albo, ściślej mówiąc, skromne mieszkanie najmądrzejszego z pośród królów rzymskich, później powiększone i oddane na siedzibę westalkom. Długi westybul łączył świątynię z zamkiem Numy. Na zewnątrz rozciągał się otoczony murem lasek dębów stuletnich. Gmach świątyni był okrągły. Sklepienie jej opierało się na grubych, granitowych filarach. W pośrodku znajdowała się murowana cela, w której przechowywano palladium, czyli najwyższą świętość i gdzie ogłaszano wyrocznie. Ściany tej celi wyłożone były kosztownym mar-

murem, wewnątrz zaś mieścił się na prostokątnym ołtarzu złoty posąg bogini Pallady.

Nikomu poza najwyższą kapłanką i kapłanem, stojącym na czele najwyższej władzy duchownej, a mającym pieczę nad westalkami, nie wolno się było zbliżyć do palladium, gdzie, według wierzeń ludu, znajdował się przedmiot, gwarantujący bezpieczeństwo Rzymu. Świętość najwyższa otoczona była taką tajemnicą, że lud nie wiele zdawał sobie sprawy z tego, jak owo palladium właściwie wyglądało. Jedni sądzili, że w celi przechowywane są jakieś zdaleka sprowadzone do Rzymu symbole, inni zaś wierzyli, iż westalki przechowują tam świętego węża, któremu pierwszego dnia każdego miesiąca oddają swe pożywienie, a co pięć lat wyprawiają ucztę solenną.

Wprost bronzowych drzwi celi widać było ołtarz, w pobliżu którego na bardzo wysokim trójnogu płonął święty ogień, który rok rocznie pierwszego marca był odnawiany. Jeżeli ogień kiedy zagasł — co zdarzało się bardzo rzadko, gdyż westalka, strzegąca ognia, płaciła za to zaniedbanie życiem — rozpalano go znowu wśród wielkiego ceremoniału.

Między filarami świątyni wisiały swobodnie w powietrzu srebrne tablice z wyrytymi na nich portretami i wyobrażonymi czynami mężów, zasłużonych dla ojczyzny. Zewnątrz u drzwi wchodowych znajdowało się wielkie naczynie z wodą, służące do obmywania się wchodzących, zwane „delubrum“.

Liczba kapłanek, nie przekraczająca za Numy Pompiliusza czterech, podwyższona została przez Tarkwiniusza do sześciu. Skoro jedna westalka zmarła, najwyższy kapłan wybierał dwadzieścia dziewic, pochodzących z patrycyuszowskiego rodu, nie starszych nad lat dwanaście i nie liczących mniej niż sześć lat życia, z pośród których drogą losowania wybierano te, które się służbie kapłańskiej poświęcić miały.

Kapłanki zależne były w swem urzędowaniu od najwyższego kapłana, zwanego *pontifex maximus,* który to tytuł nosili także cesarze rzymscy. Ponieważ już za czasów panowania cezara Augusta najwyższa godność kapłańska połączona była z władzą cesarską, przeto i na-

stępcy jego, a więc i cezar Domicyan, był samą siłą rzeczy przełożonym westalek.

Gdy Kornelia, po wizycie, złożonej Domiceli, wkroczyła z powrotem do zamku Numy Pompiliusza, ujrzała ze zdumieniem wszystkie swe towarzyszki, w liczbie trzech, z wyjątkiem tych, które strzegły świętego ognia, zebrane w atrium. Jedna, którą widzieliśmy w amfiteatrze, zwała się Flawia i była naczelną westalką, dwie następne były to młode dziewczęta, liczące 14 i 20 lat życia. Od twarzy ich wiało jakimś nienaturalnym chłodem, oczy zaś ich nie błyszczały bynajmniej ogniem młodości.

Najmłodsza westalka, ujrzawszy Kornelię, przybiegła ku niej i rzekła z dziecięcym prawie wdziękiem:

— W nieobecności twej byłam w lasku i zebrałam dla ciebie bukiet rosnących dziko kwiatów.

Tymczasem Kornelia podeszła do dwóch kapłanek, stojących nieopodal.

— Powracasz późno, Kornelio! Nie wiesz nic o tem, że wkrótce już cezar przybędzie do świątyni złożyć ofiarę bogini — rzekła do niej na powitanie Flawia.

— Wiem o tem.

— W jaki sposób się dowiedziałaś?

Kornelia, znając ciekawość Flawii, była kontenta, iż może ją ukarać przez pozostawienie jej pytania bez odpowiedzi.

— Bawisz się tajemniczością, ale zastanów się; wszak postępowanie westalek musi być każdemu znane — oświadczyła Flawia głosem, drżącym z hamowanego gniewu.

Kornelia poczerwieniała.

Jakkolwiek była łagodnego charakteru, nie było w niej nic z tej małodusznej trwożliwości, którąby pozwalała, iżby mógł jej ktoś pierwszy lepszy imponować. Sumiennie spełniała obowiązki swego stanu, ale odmawiała towarzyszkom prawa do kontroli swych postępków. Dlatego rzekła wzburzona:

— Nie potrzebuję ci zdawać rachunku ze swych tajemnic.

— Piękność twoja czyni cię pyszną i nieznośną, ale twe piękne liczko nie zapewni ci szczęścia. W świą-

tyni tej jeszcze będę świadkiem jego zwiędnięcia... — mamrotała zgryźliwie Flawia.

To mówiąc, uśmiechnęła się złośliwie i poczęła spacerować pod arkadami gmachu.

Kornelia rozmawiała tymczasem z Fabiolą, wkrótce jednak najwyższa kapłanka przerwała tę rozmowę, polecając wszystkim westalkom udać się do świątyni.

Wzrost mały i szczupłość kształtów nadawały najwyższej kapłance wygląd ciała, spowitego w całun śmiertelny. Była ona ubrana podobnie, jak i jej towarzyszki, z tą tylko różnicą, iż złota obrączka, zgięta nad czołem w kształt dyademu, opasywała jej głowę.

Westalki, ustawione parami, kroczyły ku świątyni. Zanim jednak tam weszły, udały się do miejsca, gdzie znajdowały się naczynia, używane przy oddawaniu czci bogini. Tu najwyższa kapłanka poleciła Kornelii zabrać z sobą kadzielnicę oraz wiązkę pachnącego ziela, Fabioli zaś nieść kazała świecznik bronzowy. Flawia wzięła w swe ręce puhar, używany przy libacyach, czwarta zaś westalka zabrała naczynie z winem, zwane paterą. Następnie westalki udały się do świątyni, gdzie ustawiły się w dwa rzędy po obu stronach ołtarza, na którym płonął święty ogień.

Z milczącą powagą stały kapłanki obok siebie, podobne w swych białych płaszczach do widziadeł nocnych, odprawujących tajemnicze praktyki.

Wkrótce potem zbliżyła się ku świątyni, poprzedzana przez liktorów, karoca, zaprzężona w białe rumaki. Karoca ta spoczywała na czterech kołach, miała siedzenie podwyższone i urządzone na kształt tronu, łukowe oparcie którego pokryte było z tyłu złotą blachą. Koła i osie miały barwę jasno-niebieską, gęś zaś z pozłacanego metalu zdobiła dyszel. Niewolnik, prowadzący karocę, szedł obok koni, trzymając w prawej ręce lejce, w lewej zaś bat, zakończony snopem rzemieni.

W karocy tej siedział Domicyan w towarzystwie dwu chłopców, ubrany uroczyście, w czapce mającej wygląd kołpaka, jaki używany był przez najwyższych kapłanów rzymskich, zakończonego u szczytu bujnym, wełnianym chwastem.

Domicyan niezwykle raźnie opuścił karocę i, wszedłszy w towarzystwie obu chłopców do świątyni, zbliżył się do ołtarza. Naczelna kapłanka skinęła wówczas na westalki i te zbliżyły się do cezara.

Kornelia wrzuciła pachnące ziele do kadzielnicy i wkrótce cezar znalazł się w obłokach kadzidlanego dymu, po którego rozejściu się, cezar przystąpił do ołtarza, dotknął go dłonią, wymawiając przytem ku czci bogini jakieś zaklęcia. Wówczas jedna z kapłanek podała mu naczynie z winem, które cezar, pijąc po kilka kropel, poniósł trzykrotnie do ust, poczem resztę wylał na ołtarz.

Na tem ceremonia została zakończona. Cezar, w podobnie uroczysty sposób, jak się był zjawił, opuścił świątynię i zmierzał ku swej karocy. Nagle w świątyni rozległ się krzyk i wszystkie westalki zbiegły się dokoła Kornelii, która, blada ze strachu, stała wpatrzona w czerwoną plamę, odbijającą się jaskrawo na białem tle jej szaty.

Jeden z chłopców, towarzyszących cezarowi, wziąwszy od Domicyana wypróżniony kielich i wytrząsając zeń pozostałe krople, uczynił to tak niezręcznie, iż splamił białą szatę kapłanki.

Dopatrując się w tym wypadku zapowiedzi czegoś najgorszego, przerażone westalki spoglądały na Kornelię w milczeniu. Kornelia również była wypadkiem tym przejęta głęboko, gdyż krwawa plama oznaczać miała według ówczesnego przesądu, że i jej krew popłynie... Odrętwiała ze strachu i jak skamieniała spoglądała jeszcze na krwawe plamy, gdy stroskana o los przyjaciółki Fabiola, zbliżywszy się ku niej, rzekła:

— Chodź ze mną do źródła bogini, którego woda obmyje twą szatę i zachowa cię od wszelkiego nieszczęścia.

— Najmądrzejsze rady płyną niekiedy z najniewinniejszych ust — szepnęła Kornelia i wkrótce drobne rączki Fabioli wywabiły nad basenem winne plamy z szaty kapłanki.

— Nie obawiaj się niczego! Ofiara moja nie przyniesie ci nieszczęścia i, jak sama widzisz, wszystkie plamy dają się łatwo usunąć — rzekł Domicyan, który, usłyszawszy krzyk, powrócił, starając się ująć w swą rękę szatę Kornelii.

Dreszcz nagle przebiegł całe ciało westalki. Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, usunęła się raptownie, tak, iż ręka cezara, nie dotykając jej szaty, zawisła w powietrzu.

Domicyan zaśmiał się ironicznie i stłumionym głosem, powiedział:

— Zobaczymy się wkrótce, westalko! Pięknaś, niby bogini miłości!...

Rzuciwszy te słowa, obłudnik wyciągnął trzykrotnie rękę ku świątyni i, wsiadłszy do karocy, wrócił, skąd przybył.

Westalki udały się z powrotem do zamku Numy. Kornelia poszła do swej sypialni, siadła na skraju łoża i, zwiesiwszy głowę na piersi, zadumała się głęboko.

Fabiola, która wbiegła za nią, stanęła przy jej boku. Nie mogąc milczeć długo, przeniknięta nawskróś smutkiem przyjaciółki, przywarła się do jej łona, zarzuciła jej rączki na szyję i w beztroskliwej naiwności, przedrzeźniając cezara, powtórzyła jego słowa, które nie uszły jej uwagi:

— Dlaczego nie uśmiechasz się, westalko? „Pięknaś, niby bogini miłości“...

Kornelia na dźwięk tych słów ponownie zadrgnęła. Odsunąwszy dziewczę od siebie, powstała i chodząc po sypialni, mówiła wśród westchnień:

— To chyba straszny jakiś sen... Nikt mnie tu nie kocha z wyjątkiem tego niewinnego stworzenia... Do kogóż się zwrócić po radę?... O bogini, ratuj mnie, gdyż nawet Domicela przepowiada mi nieszczęście... Occella... Veronilla... czyż byłyście istotnie winne, czy też tylko złość ludzka zepchnęła was do grobu?...

To mówiąc, zakryła twarz rękoma. Wkrótce jednak wyprostowała się dumnie i rzekła z uśmiechem:

— Serce moje jest tak trwożliwe, jak serce afrykańskiej gazeli!... Być może, iż drżę bez żadnego powodu...

— Fabiola! — zakrzyknęła wreszcie, tuląc dziewczę do piersi. — Oczekuj mnie tutaj. Wkrótce będę z powrotem. Chcę poprosić przełożonej, aby pozwoliła mi odwiedzić pewną plebejuszkę, która wychowywała się wraz ze mną pod dachem mego rodzicielskiego domu.

Kornelia wyszła, a gdy powróciła wkrótce i zaczęła gwarzyć z Fabiolą, beztroskliwy uśmiech młodości znów igrał na jej ustach.

Nad wieczorem westalka opuściła mury zamku, ażeby odwiedzić Floronię. Czuła jakgdyby wyrzut sumienia na myśl, że idzie odwiedzić dom chrześcijanina.

Chrystyanizm, początkowo wzgardzany i odpychany lekkomyślnie przez wielkich tego świata, liczył swoich wyznawców prawie wyłącznie wśród klas uboższych. Z każdym dniem jednak rozszerzał swoje tryumfy i ta religia, która przyszła z kraju, zwanego przez dumnych Rzymian barbarzyńskim, krzewiona przez prostaczków, ożywionych duchem Bożym, takimi szybkimi krokami zbliżała się ku środkowemu punktowi ówczesnej cywilizacyi, że starzy bogowie na swych potężnych podstawach chwiać się poczęli.

Tylko wszechmoc oczywiście Boska była w stanie zburzyć ołtarze pogańskie Jupitera, Wenus i Bachusa, aby na ich miejscu wzniesiony być mógł krzyż — znak męczeństwa. Ale właśnie wskutek szybkich tryumfów nowej wiary, liczącej już wówczas wyznawców wśród sfer najwyższych, cezar i kapłani, przejęci obawą, wypowiedzieli jej walkę na śmierć i życie.

Wiedząc o tem, Kornelia prawie żałowała, iż postanowiła odwiedzić dom wyznawcy Chrystusa; myśl jednak, iż znajduje się tam Sekstus, wróciła jej pewność siebie i spokój, tak, iż z pogodnem obliczem zbliżyła się ku lektyce, oczekującej na nią przed atrium.

VII.

Ranny patrycyusz.

Gdy Kornelia opuszczała świątynię — Sekstus spoczywał w sypialni Aniceta, męczony jeszcze przez gorączkę. Chociaż odzyskał już zmysły, gorączkowe podniecenie, jakie go opanowało, nie pozwoliło mu na zebranie myśli. W tym właśnie momencie, pozostawiony

bez opieki, przyglądał się dziwnemu otoczeniu, nie wiedząc, w jaki sposób się tu znalazł.

Wkrótce rozwarły się drzwi i zdumienie Sekstusa wzrosło do najwyższego stopnia, gdy ujrzał przed sobą dziewicę, którą niedawno, jako na śmierć skazaną chrześcijankę, oglądał na arenie.

Sunąc na palcach, Floronia zbliżyła się ku rannemu i... oczy ich spotkały się wzajem. Dziewczę uśmiechnęło się łagodnie, a zdjęte obawą, że gorączka może znów wrócić, przytknęła do spieczonych gorączką ust rannego naczynie z chłodzącym napojem.

Sekstus wychylił mechanicznie kilka łyków, próbując następnie zawiązać z dziewczyną rozmowę. Ta jednak, odwróciwszy się odeń, rzekła:

— Proszę nic nie mówić... Staraj się usnąć... Ja... modlić się będę za ciebie...

To rzekłszy, poszła po Aniceta.

Pozostawiony w samotności, patrycyusz poprawił się na łożu. Zdawało mu się, iż jest ofiarą przywidzeń, stawiających mu wciąż przed oczy obraz chrześcijańskiego dziewczęcia. Starał się przywołać na pamięć wypadki z najbliższej przeszłości, chcąc zdać sobie sprawę z tego, w jaki sposób i wśród jakich okoliczności się tu znalazł.

Ale — daremnie.

Zatrudniony takiemi myślami, popadł wreszcie w niespokojne, gorączkowe majaczenie. Wkrótce jednak zbudziwszy się, począł wpatrywać się uparcie we drzwi, oczekując z natężeniem, czy znów się nie otworzą. Oczekiwanie to jednak go zawiodło. Drzwi pozostały — zamknięte.

Wtedy Sekstus z wielkim wysiłkiem siadł na krawędzi łóżka, a następnie, opierając się o ścianę, ruszył z trudem w kierunku drzwi. Nie zdawał sobie właściwie jasno sprawy z tego, co czyni. Cóż go zmuszało do podjęcia starań w celu ujrzenia Floronii? Chwiejąc się na nogach, doszedł do marmurowego filaru. Następnie, oparłszy się ręką o ścianę, uczuł, zdziwiony, jak się ta przed nim zlekka usuwa; przyjrzawszy się baczniej, dostrzegł małe, wpół otwarte już drzwiczki.

Począł nadsłuchiwać.

Ucha jego dobiegł jakiś śpiew monotonny. Płynął on od strony ciemnego korytarza, do którego prowadziło kilka stopni. Naglony ciekawością, a wzmocniony chwilowo podnieceniem, zstąpił ze schodków i znalazł się w długim korytarzu, na końcu którego przebłyskiwało jasne światełko. Krocząc zwolna naprzód, Sekstus dotarł wreszcie do progu małego, niskiego pokoju i oparty o futrynę drzwi, spoglądał do wnętrza.

Przed opisanym już ołtarzem, klęczał, ubrany w szaty kapłańskie, Anicet. Wśród jednej grupy klęczących kobiet znajdowały się Domicela i Floronia.

Pobożni śpiewali wspólnie psalmy nieszporne. Nikt nie spostrzegł młodego patrycyusza, który, stojąc w progu, z lekkomyślnością, jego charakterowi właściwą, wyśmiewał się w duchu z dziwnej, jak mu się wydawało, ceremonii.

Naraz zniknął szyderczy uśmiech z jego ust i odblask rozradowania przebiegł po twarzy patrycyusza. Ujrzał Floronię, która z wzniesionemi do góry oczyma zdawała się tonąć w modlitwie.

Wkrótce nieszpory skończono. — Wierni podnieśli się z kolan i zmierzali ku drzwiom przeciwległym. Nie doszedłszy jednak do drzwi, zatrzymali się nagle, gdyż w drzwiach ukazał się starzec, wsparty na ramieniu młodzieniaszka. Z głęboką pokorą rzucili się wyznawcy Chrystusa przed nim na kolana, a starzec wzniesioną prawicą udzielał im błogosławieństwa.

Po przyjęciu błogosławieństwa wszyscy powstali, a nowoprzybyły, ubrany w penulę i wysokie, aż do uszu sięgające nakrycie głowy, przemówił słabym, drżącym ze starości głosem:

— Przybywam w dom twój, Anicecie, gdyż mój jest już otoczony szpiegami... Chcę ci podać do zakomunikowania braciom za pośrednictwem kapłanów smutną wiadomość. Domicyan wydał rozkaz wypędzenia z Rzymu i wyszczucia, na podobieństwo dzikich bestyi, wszystkich żydów. Pod tem mianem władze rozumieją i chrześcijan...

— Niechaj się stanie wola Boża! — rzekł Anicet.

— Amen! — ozwały się jednocześnie wszystkie głosy.

— Tak... amen! — powtórzył twardo starzec i wzniósł w górę swą czcigodną głowę, która w tym momencie nimbem świetlanym zdawała się być otoczona. — Amen! — powtórzył raz jeszcze, poczem dodał z błyskami płomiennymi w oczach:

— Niechaj dzikie bestye kości nasze rozwłóczą... Niech krew nasza strumieniami popłynie po ulicach Rzymu... Wiara Chrystusowa pozostanie niewzruszoną... Okryta chwałą męczeństw bez miary, błyszczeć będzie zwycięsko, aż w najdalsze czasy... Znieście bracia, cierpliwie potwarze świata i męczeństwa... Nie szemrajcie! Albowiem chwalebnie jest umrzeć za wiarę świętą, która nienawidzona i prześladowana, odniesie wreszcie tryumf nad prześladowcami. Nie trwóżcie się! Bóg, który jest w niebie, czuwa nad nami! Jako mi rzekł to dziś Jan, przybyły z Efezu, tak i ja wam powtarzam. Padnijmy więc na kolana i chwalmy Stworzyciela nieba i ziemi.

Starzec ugiął kolana i zaintonował ze wzruszeniem pieśń pobożną. Zaledwie jednak pierwsze słowa pieśni uleciały z ust jego, gdy nagle od strony drzwi rozległo się echo, jakby upadku ciała ludzkiego...

Oczy wszystkich skierowały się w tamtą stronę. Ujrzano Sekstusa, leżącego na podłodze.

Domicela wraz z Floronią pospieszyły równocześnie ku młodemu patrycyuszowi, który, przeceniwszy swe siły, padł zemdlony.

— Któż to jest ten człowiek? — zapytał starzec.

— To jest młody patrycyusz, raniony przez Parteniusza, wyzwoleńca cezara. Przyjąłem go w dom swój, aby mieć o nim staranie.

— Postępujesz przytem, Anicecie, nie ze zwykłym rozsądkiem.

— Jeżelim wykroczył, przebacz mi! Gdyż co ty na ziemi rozwiążesz, będzie rozwiązane i w niebie — rzekł kapłan i pochylił się kornie ku ziemi.

— Nie wykroczyłeś bynajmniej, gdyż miłość nie zna zastanowienia, a ramiona twoje są otwarte nie mniej dla pogan, jak dla chrześcijan. Nie zachowałeś tylko

należytej ostrożności. W każdym razie — strzeż się tego człowieka! On słyszał moje słowa, może przeto zdradą ci się odpłacić. Mimo to jednak pielęgnuj go, jak brata...

— On nas nie zdradzi! — dał się słyszeć mimowolny okrzyk Floronii.

— Kto jesteś, dziewczę, że ważysz się wtrącać wówczas, gdy starsi mówią? — zagadnął ją surowo starzec.

— Jestto dziewica, zawleczona niedawno do amfiteatru za to, iż zbierała relikwie po naszych męczennikach — wyręczył w odpowiedzi Floronię Anicet.

— Niechaj więc Bóg ci błogosławi i uczyni cię godną męczeńskiej korony! - - rzekł starzec, kładąc swą błogosławiącą rękę na głowie dziewczęcia, które uklękło przed nim, czołem dotykając prawie ziemi.

Następnie starzec ciągnął dalej:

— Pokój wam, dzieci moje! Nie chcę, abyście mi towarzyszyli, znam sam dokładnie ukryte wyjście z tego domu. Dla większego bezpieczeństwa zostańcie tu lepiej aż do zmierzchu. I módlcie się, módlcie! Tak za przyjacioły, jak i za nieprzyjacioły nasze...

Raz jeszcze obecni padli na kolana przed starcem, a ten, jak był przyszedł, tak i opuścił dom wspólnej modlitwy, opierając się na ramieniu młodszego towarzysza.

W obecności Domiceli i Floronii ułożono Sekstusa z powrotem na łożu.

— Jakże gorąco dziękuję Wszechmocnemu, że pozwolił mi dzisiaj słuchać słów naszego papieża, Klemensa, ale o ile byłabym szczęśliwszą jeszcze, gdyby mi sądzono było ujrzeć Jana, błogosławionego ucznia Chrystusowego — rzekła Domicela. — Jakżebym jednak ja, nieumocniona jeszcze w wierze chrześcijanka, która z obawy przed rozłąką z dziećmi wzdraga się przyznać publicznie do swojej wiary, mogła uważać się za godną wysłuchania słów biskupa z Efezu.

— Biedna matko! Gdy przyjdzie pora na przyznanie się do wiary świętej, nie zaprzesz się z pewnością swego Boga... — oświadczył Anicet tonem współczucia.

Ciężkie westchnienie przerwało tę rozmowę

Było to westchnienie Sekstusa, który rzucał się niespokojnie na łóżku.

— On nie może tu pozostać — rzekła Domicela, wskazując na patrycyusza.

— Ale gdzież go w tym stanie zdrowia można umieścić?

— Jeśli uznasz to za możliwe, Anicecie, to przyślę wieczorem po niego swych niewolników i aż do zupełnego wyzdrowienia pielęgnować go będę u siebie wraz z mężem, jak gdyby był naszym własnym synem — odrzekła Domicela.

— W razie jednak rozpoczęcia poszukiwań znajdą go u ciebie rychlej, aniżeli tutaj — odezwała się Floronia, którą propozycya Domiceli niemile jakoś dotknęła.

— Żadnych poszukiwań nie będzie, gdyż kuracya Parteniusza, jako ciężej rannego, potrwa znacznie dłużej, a przytem także Domicyan, wskutek ciemności, nie poznał wówczas Sekstusa.

— Więc Kornelia nie przybędzie? — rzuciła nagle Floronia, ażeby uwagę matrony, obejmującą ją bystrem spojrzeniem, od siebie odwrócić.

— Mam więc usłuchać twej rady i powiadomić Kornelię o grożącem jej niebezpieczeństwie? — zapytała Domicela półgłosem, zwracając się do Aniceta.

— Tak, musisz ją ostrzedz w porę, stać się to jednak nie może ani tu, ani dzisiaj. Uczyń tak, według możności, ażebym sam mógł z nią mówić. Ona nie przypomni sobie mej osoby, była bowiem dzieckiem jeszcze, gdy mnie poznała. Chcę z nią pomówić o matce i jej cierpieniach.

Powiedziawszy to, opuścił Anicet izbę, wkrótce jednak powrócił w towarzystwie Kornelii.

Z tkliwem współczuciem zbliżyła się westalka do łoża chorego, a spoglądając nań, rzekła drżącym ze wzruszenia głosem:

— Czy życie jego jest w niebezpieczeństwie?

— Nie, bynajmniej; rana nie jest groźna. Anicet sądzi, że Sekstus niezadługo wyzdrowieje — odrzekła Floronia.

Kornelia obrzuciła Aniceta spojrzeniem, rozpoznając w nim starca w wyszarzanej penuli, który ją prosił w amfiteatrze o ratowanie życia Floronii.

Podała mu więc rękę i rzekła słodko:

— Znałeś moją matkę, nie jesteś mi więc już obcym.

Tymczasem Sekstus odzyskał zmysły.

Usłyszał on głos Kornelii i, podnosząc się z pościeli, zawołał radośnie:

— Czy to ty, Kornelio, czy też to nowy, złudny obraz, który fantazya moja podsuwa mi przed oczy?

— Ja to jestem, Sekstusie. Przybyłam tu, aby cię odwiedzić.

Sekstus umilkł.

Spojrzenie jego spoczęło na Floronii, stojącej obok Aniceta, ze spuszczonemi oczyma.

Nagle młody patrycyusz zakrzyknął:

— A więc nie śniłem wówczas, gdy ujrzałem to miłe dziewczę, świeżo ocalone na arenie przez Parysa?!

Floronia, miast odpowiedzi, przytuliła się trwożliwie do Aniceta. Kornelia jednak wzięła ją za rękę i podprowadziła do łoża patrycyusza, mówiąc:

— Czyż nie poznajesz, Sekstusie, Floronii? Owej dziewczynki, wzrastającej wraz z nami, która w atrium naszego domu rodzicielskiego była nam towarzyszką w zabawach dziecięcych?

— Floronia... Floronia... Jakże mogłem ją poznać, skoro lat tyle upłynęło od owych chwil, a przez cały ten czas nie słyszałem nigdy nawet jej imienia!

— Po śmierci Faustuli, matka moja opuściła dom Flawiusza Sabinusa, mną zaś zajął się Anicet — odrzekła Floronia z dziecięcą prostotą.

— Ale gdzież jestem? Dlaczego tu jestem? — pytał patrycyusz, tocząc zdziwionym wzrokiem dookoła i wskazując na obandażowanie swej głowy.

— Znajdujesz się w domu litościwego męża, który cię rannego znalazł na moście palatyńskim — oświadczyła Kornelia.

— Nie mogę sobie niczego przypomnieć... Któż to zadał mi tę ranę?...

— Pewien nieznajomy, znajdujący się wówczas w towarzystwie Parteniusza, ulubieńca cezara. Bądź ostrożny i, o ile możności, nie mów nikomu o tem zdarzeniu, jeśli nie chcesz paść ofiarą zemsty Domicyana,

gdyż, być może, iż tym, który cię zranił, był sam... cezar... — objaśnił patrycyusza Anicet.

— Cezar! — wykrzyknął Sekstus, z największym jednak spokojem natychmiast dodał:

— jeśli to prawda, to kres życia mego może być bardzo blizki, gdyż życie ludzkie ma dla Domicyana tyleż wartości, co życie muchy. Śmierć mnie jednak nie przestrasza. Żal mi tylko, że rozkoszy życiowych nie wyczerpałem do ostatka. Zresztą... jestem patrycyuszem, patrycyusz zaś potrafi uniknąć haniebnej śmierci...

— Tak, ale na drodze występku — wtrącił Anicet.

Sekstus spojrzał zdziwiony na starca, ważącego się na potępienie ulubionego wówczas sposobu śmierci. Każdy bowiem Rzymianin w owych czasach uważał, iż punkt honoru jego wymaga uprzedzenia wyroku przez własnoręczne odebranie sobie życia. Przypomniawszy jednak sobie pobożną ceremonię, której dopiero co był świadkiem, Sekstus zrozumiał jasno, że znajdować się musiał w domu jednego z tych, którymi w sceptycyzmie swym pogardzał.

Kornelia, pogwarzywszy jeszcze chwil kilka, zabierała się do odejścia. Chętnie pogawędziłaby jeszcze z Domicelą o wrażeniu, jakie pobyt cezara w świątyni na nią wywarł, ale żona Flawiusza przypomniała jej, że czas już powrócić do świątyni, dodając, że dnia następnego, wraz z Anicetem odwiedzi ją w zamku Numy.

Uszczęśliwiona tą zapowiedzią, opuściła kapłanka mieszkanie Aniceta, wkrótce zaś pospieszyła za nią i Domicela, obiecując ponownie, iż przyśle po Sekstusa swych niewolników.

Występując do oczekującej na nią przed domem lektyki, nie zauważyła, że w pobliżu znajdował się obserwujący ją pilnie mężczyzna.

Mężczyzną tym był Stefan, wyzwoleniec Domicyi, który, z polecenia swej pani, śledził bystrem okiem każdy krok żony konsula, Flawiusza Klemensa...

VIII.

Kornelia.

Słońce już wzeszło i ptaki śpiewać poczęły swoją pieśń poranną w gaju świątyni Westy, gdy Kornelia podniosła się ze swego posłania. Wyczerpana bezsenną nocą, podczas której w śnie przeżywała nieustannie pamięć przejmującej ją dreszczem ofiary cezara, blada, ze spuszczonemi w dół oczyma, wyszła do gaju, aby się zobaczyć z Fabiolą, jedyną istotą, którą naprawdę kochała. Nie posiadała ona bowiem żadnej przyjaciółki w świątyni, ani też po za nią nie posiadała nikogo takiego, iżby się doń ze swym afektem zwrócić mogła, oprócz chyba Domiceli i Floronii. Dla Domiceli jednak miała raczej szacunek, aniżeli skłonność, z Floronią zaś wiązało ją tylko miłe wspomnienie lat dziecięcych. Rodzice jej nie żyli już od wielu lat, jedynym zaś żyjącym jeszcze krewnym, był Sekstus. Młody ten jednak i lekkomyślny patrycyusz nie wiele się o nią troszczył i zrzadka ją tylko odwiedzał.

Kornelia stała chwilę, rozglądając się daremnie za przyjaciółką, wkroczyła wreszcie w głąb parku, ale nie mogąc i tu jej znaleźć, zwróciła swe kroki ku wyjściu.

Powróciwszy do zamku, udała się do pokoju Fabioli, gdzie ujrzała dziewczynę, siedzącą na łóżku i pilnie zajętą przymocowywaniem jakiegoś małego przedmiotu do złotego łańcuszka.

— Nad czem tak pracujesz, kochana Fabiolo? — zapytała Kornelia, biorąc dziewczę w ramiona.

Zaskoczona nagle, Fabiola, krzyknęła, opamiętawszy się jednak wkrótce, zarzuciła obie ręce na szyję przyjaciółki, ucałowała ją serdecznie, a pokazując jej łańcuszek z przyczepionym doń małym bronzowym wężem, zawołała:

— Spojrzyj, Kornelio, jaki to piękny amulet! Znalazłam go wśród biżuteryi, pozostałych po mojej zmarłej matce i właśnie przyczepiłam go do łańcuszka, ażebyś go mogła nosić na szyi...

— Ale dlaczego pozbawiasz się takiego pięknego klejnotu?

— Bo strzedz cię on będzie od złych wróżb — odrzekła Fabiola i zawiesiła klejnot na szyi Kornelii.

— Dziękuję ci! — powiedziała westalka i ucałowała rączkę Fabioli, ta zaś, poważniejąc nagle, dodała:

— Amulet ten, przedstawiający świętego węża, strzedz cię także będzie od złych spojrzeń Domicyana i Flawii.

— Dlaczego mówisz o złych spojrzeniach cezara? — zapytała Kornelia w najwyższym niepokoju.

— Ja mam także swoje tajemnice — odrzekło dziewczę z dziecięcą powagą.

— Objaśnij swe słowa, Fabiolo... Błagam cię! Być może, iż objaśnienie twoje ukoi niepokój, który mnie ogarnia. Mów, dziecko! Milczenie twoje może stać się dla mnie krytycznem.

Przerażona zaniepokojeniem przyjaciółki, Fabiola zerwała się z łóżka, na którem siedziała, siadła na kolanach Kornelii i rzekła z współczuciem:

— Niepotrzebnie się przestraszyłaś, najdroższa Kornelio. Widzę istotnie, iż jesteś przejęta większym strachem, aniżeli ja sama. Dlatego chcę ci wyjaśnić, z jakiego powodu mówiłam o złych spojrzeniach. Posłuchaj mnie — ciągnęła dalej, zadowolona, iż może o czemś poinformować przyjaciółkę.

— Wczoraj — mówiła Fabiola — podczas twej nieobecności ogarnęła mnie wielka nuda. Ponieważ nie miałam nic do czynienia i nie wiem wogóle, co z czasem robić, oczekując niecierpliwie twojego powrotu, błąkałam się dookoła zamku. Gdy mijałam pokój Flawii, którego drzwi były uchylone, usłyszałam wymówione twoje imię. Ciekawością zdjęta, zatrzymałam się i — nie łaj mnie — zajrzałam przez szparę do wnętrza. Ujrzałam tam wysoką matronę, która na nieszczęście była odwrócona do mnie plecami, tak, iż nie byłam w możności się jej przyjrzeć. I oto, co mówiła ona do Flawii: „Cezar przybędzie tu znów wkrótce złożyć ofiarę bogini, ażeby zobaczyć Kornelię. Śledź zatem jej zachowanie się, ażebym mogła w porę przyczynić się do jej zaguby“. Wtedy Flawia

ściągnęła usta takim grymasem, iż podobna była do tygrysicy z amfiteatru. Po chwili zaś odpowiedziała: „Spuść się na mnie. Oko moje najtajniejsze uczucia jej serca wyśledzi“. Pomyślałam więc, że złośliwe spojrzenie Flawii, może ci zaszkodzić, a to tembardziej, że i owa matrona zamierza cię zgubić. Jak gdyby kto istotnie mógł zgubić westalkę! Dlatego więc pospieszyłam natychmiast do swego pokoju, ażeby przygotować ten amulet, który cię od wszelkiej złośliwości ochroni.

Kornelia, słysząc opowiadanie Fabioli, zadrżała. Podejrzenie, które wzbudziły w niej słowa cezara, zamieniło się w pewność. Opuściła ją wszelka odwaga, to też, opierając swą głowę na ramieniu dziewczęcia, szepnęła:

— Do kogóż spieszyć po radę?...

Chwilę pozostawała w bezruchu, pozbawiona wszelkiej energii, zupełnie tem, co zaszło, przybita. Wkrótce jednak twarz jej rozjaśniła się i wyraz szlachetnej dumy zarysował się na jej licach. Cała szlachetność i siła jej charakteru, objawiająca się zazwyczaj w tak łagodnej formie, zbudziła się w niej z pełną mocą i uzbroiła ją w taką odwagę, iż sama była tą przemianą zdumiona.

Odsunęła nagle od siebie Fabiolę, obejmującą ją troskliwie w swych ramionach, skrzyżowała ręce na piersi i zawołała głośno, uroczyście:

— Nie obawiam się niczego! Zastawione sidła nie mogą mnie zaszkodzić! Domicyan jest tyranem, przed którym wszystko się korzy! Ale ja jestem Rzymianką w piersi mej bije serce, godne mych przodków! Nie do senatu zwrócę się o pomoc w grożącem mi niebezpieczeństwie, gdyż cezar uczyni z nim, co zechce. Zaapeluję do ludu rzymskiego! A ten lud, jak jeden mąż powstanie, by bronić kapłanki świętego ognia Westy!...

Płomienie biły z oczu Kornelii, gdy to mówiła. Blade jej policzki okrasił rumieniec. Stojąc tak w wyzywającej postawie, zdawała się być w swej białej szacie podobna do bogini Sybilli, przenikniętej nawskróś duchem proroczym.

Po chwili zwróciła się spokojnie ku łożu, przysiadła na jego krawędzi i ciągnęła dalej:

— Domicela jakoś nie przychodzi... Zaczyna mnie to niepokoić...

— Może przyjdzie dopiero pod wieczór? — wtrąciła Fabiola.

— To jest niemożliwe, gdyż ma ona przybyć w towarzystwie starca, który znał moją matkę, a jak ci wiadomo, nie wolno mężczyznom po zachodzie słońca przekraczać tego progu.

— Jeśli zechcesz, pójdę do atrium i tam oczekiwać będę ich przybycia?

Kornelia przyjęła propozycyę Fabioli, pragnąc zaś pozostać sam na sam ze swemi myślami, poszła do swej sypialni.

Pokoje westalek różniły się bardzo od skromnych cel klasztornych naszych czasów. Wyobrazić sobie tu należy bardzo mały pokoik, którego podłoga ułożona jest mozajkowo z kwadratowych kamieni. Na białem tle tej podłogi podskakiwało sobie wesoło różnorodne i różnobarwne ptactwo. Ściany były pociągnięte mieszaniną wapna i potłuczonego marmuru, co nadawało im niezwykle jasny połysk. Sufit zdobiły sztukaterye i wdzięczne arabeski. Umeblowanie składało się z dwóch łóżek, z których niższe używane było do siedzenia, wyższe zaś do spania i z wysokiej, ale wąskiej szafy, której drzwi wyłożone były hebanowem drzewem oraz srebrem. Z wierzchu szafę tę zdobiły płaskorzeźby z kości słoniowej. Na małym, podobnym do ołtarza, stoliku stała drogocenna lampa, rzucająca swe światło na stojące poza nią dwa wyobrażenia bóstw.

Przyszedłszy do swej sypialni, Kornelia położyła się wygodnie na jednem z łóżek i poczęła rozmyślać nad tem wszystkiem, co zaszło. Nie długo rozmyślała, gdyż Fabiola otworzyła wkrótce drzwi z pospiechem i zawołała radośnie:

— W tej chwili przybyła piękna matrona i jakiś starzec. Zmierzają już do twego pokoju!

Rzuciwszy te słowa, Fabiola zniknęła natychmiast, w progu zaś zjawiła się Domicela wraz z Anicetem.

Na widok gości blask radości padł na twarz Kornelii. Zerwała się z łoża, wskazała przybyłym miejsca

i zagadnęła ich o stan zdrowia Sekstusa. Domicela odrzekła, iż mąż jej czuwał całą noc nad patrycyuszem, śpiącym spokojnie i zwróciła następnie temat rozmowy na osobę cezara. Kornelia obojętnie słuchała opowiadania matrony, tak, iż ta, zdziwiona tem, zauważyła wreszcie:

— To, co powiedziałam, brzmi w twych uszach jako coś niewiarogodnego; nie zważasz wcale na moje słowa.

— Ależ wierzę ci niewątpliwie, ale nie obawiam się niczego. Kapłankę chroni święte palladium... Cały Rzym zresztą powstałby, jak jeden mąż, przeciw temu, ktoby się ważył dotknąć czci westalki!

— Miej się na baczności! — ozwał się Anicet. — Domicyan jest potężny i jako najwyższy kapłan ma prawo do świątyni dowolnie uczęszczać. Strzeż się zatem, powtarzam, strzeż się stale i wszędzie... czy będziesz u siebie, w jadalni, czy w ogrodzie... Strzeż się swych towarzyszek, każdego... Jestto boleśnie być zmuszonym do nieufności, ale jeżeli nieufność może przeszkodzić przestępstwu, staje się wówczas obowiązkiem.

— Ależ takie życie stanie mi się z czasem nieznośnem! — zawołała Kornelia.

— Chimery tyrana są zazwyczaj przelotne. Przez pewien więc okres czasu przynajmniej miej się na baczności! Nie przejmuj się zresztą zbytnią obawą, bo matka twoja modły śle za ciebie...

— Któż jesteś ty, co mówisz mi wciąż o mej matce. Czy znałeś ją?...

Anicet skłonił głowę i nagle wzruszenie odbiło się na jego twarzy. Po chwili milczenia ozwał się rzewnie:

— Niechętnie pozwalam myślom swym wracać ku dniom mojej młodości. Ale serce wierzącego chrześcijanina nie da zapanować nad sobą ani radości, ani smutkowi. Ponieważ życzysz sobie, abym ci mówił o dawno minionych czasach, więc słuchaj:

— Jako syn żołnierza, który walcząc podczas pochodu Germanów przy boku dziadka twego, Pompejusza Voluryusza, dzielnego trybuna wojskowego, śmierć znalazł, wzrastałem wraz z mą siostrą, matką Floronii, w rodzicielskim domu Faustuli. Starszy od niej o lat kilka,

czuwałem nad jej zabawami dziecięcemi, a gdy w cnocie i niewinności wzrastała, porównywałem ją w mej fantazyi młodzieńczej z cnotliwą boginią Dyaną. Ale czas biegnie szybko i jego nieubłagane koło za jednym obrotem porywa wszystko za sobą. Tak też minął piękny okres młodości twej matki. W dniu, w którym skończyła dwudziesty rok życia, była już zaślubiona z Flawiuszem Sabinusem. Zaślubiny siostry mojej odbyły się również w kilka dni później. Udała się ona wraz z Faustulą do jej nowej ojczyzny, a gdy Floronia przyszła na świat, stała się towarzyszką twego dzieciństwa.

— Wkrótce po zaślubinach twojej matki — ciągnął dalej Anicet — opiekun mój, Pompejusz Voluryusz, wrócił do domu swych ojców. Nie mogłem już dłużej pod jego dachem przebywać i wskutek tego obrzydł mi Rzym. Zaciągnąłem się do szeregów i walczyłem pod Wespazyanem, podczas oblężenia tego przez Boga wyklętego miasta, z którego, według woli Wszechmocnego, nie miał pozostać kamień na kamieniu. Wówczas byłem jeszcze poganinem, ale wiara moich przodków nie dawała mi żadnego pokoju, przeciwnie, darzyła mnie niepokojem i zwątpieniem. Serce moje tęskniło ku najwyższej Istocie, objawiającej się w tajnikach mej duszy, brutalny zaś materyalizm pogaństwa odstręczał mnie od siebie. Pewnego razu doszły mego ucha wieści o wysłańcu Bożym, który całą Judeę wprowadził w podziw cudami swymi. Widziałem, iż szydzili zeń mędrcy, zapierali się go żydzi. Ale właśnie to wszystko przekonywało mnie coraz bardziej o wszechpotędze tego cudownego męża. Bo widocznem było, iż szyderstwa te i oszczerstwa żydów były wynikiem obawy przed spełnieniem się proroctw, mówiących o przyjściu Mesyasza. Tymczasem zapoznałem się ze starym żydowskim rabinem, który mnie wyjaśniał tajemnice swej religii. Pewnego dnia zagadnąłem go, co sądzi o Nazarejczyku. Milczał przez chwilę, poczem oświadczył:

— Człowiek ten musi być Bogiem, gdyż tylko Bóg może to czynić, co on czyni...

— Jesteś więc chrześcijaninem? — spytałem.

— Nie! — odrzekł. — Chrzest święty jeszcze mnie

nie obmył, bo długo opierałem się łasce Bożej, a serce moje pozostawało głuche na najbardziej nawet uderzające świadectwa prawdy. Ale wyrokiem Bożym, ciążącym nad Syonem, duch mój oświecony został. Nie wątpię już, wierzę i... wkrótce sam stanę się Nazarejczykiem.

— Słowa rabina — ciągnął swą opowieść Anicet — głęboko utkwiły mi w sercu. Widząc go potem oświeconego w wierze Chrystusowej, stałem się jego uczniem, a po powrocie do Rzymu i ja wierzyłem już w Tego, który rzekł: „Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą, módlcie się za tych, przez których prześladowani i spotwarzani jesteście“. Uwierzyłem w Niego, gdyż Bóg tylko jeden podobną naukę mógł głosić i podobne cuda stwarzać, jakie On stwarzał.

— Jesteś więc Nazarejczykiem i mimo to ważysz się przestępywać próg świątyni Westy? — zawołała Kornelia gniewnie, zrywając się z miejsca.

— Tak, jestem kapłanem chrześcijańskim — odparł spokojnie starzec i z wyrazem niebiańskiej radości dodał:

— Za Wespazyana prześladowanie chrześcijan nieco sfolgowało, gdy zaś przez dwa lata przetrwałem w swej wierze, następca apostoła Piotra wyświęcił mnie na kapłana.

— Precz! Nie kalaj dłużej swą obecnością ziemi, poświęconej bogini! — wybuchnęła Kornelia z wściekłością.

Starzec obrzucił ją spojrzeniem, pełnem przyjaźni i politowania, pozostał jednak na miejscu i dalej mówił:

— Nie pogardzaj mną, moja córko, gdyż i twoja matka umarła chrześcijanką...

— Kłamiesz, starcze! — krzyczała westalka, blada z gniewu.

— Nie kłamię bynajmniej, bo przepisy wiary mojej zabraniają mi kłamać. Powtarzam więc: matka twoja zmarła, będąc chrześcijanką. Powróciwszy do Rzymu, odnalazłem ją, a serce jej było już wówczas gotowe do przyjęcia prawd naszej wiary. Rozmawiałem z nią o wierze Chrystusowej, a słowa moje przekonały ją. W bólu i rozpaczy, że ciebie poświęciła służbie bogini, zeszła z tego świata...

— Rozkazuję ci wyjść stąd... Precz! Nie spotwarzaj dłużej pamięci Faustuli, jeśli nie pragniesz mej zemsty! — krzyczała Kornelia w najwyższem wzburzeniu, wskazując drzwi starcowi.

Anicet powstał, a spoglądając z politowaniem na drgające nerwowo oblicze westalki, rzekł łagodnie:

— Lituję się nad tobą, córko Faustuli i... przebaczam ci! Jeśli będziesz kiedy potrzebowała rady doświadczonego starca, to... wiesz, gdzie mieszkam. Mimo wszystko słać będę rano i wieczorem modły do Wszechmocnego, aby cię łaską swoją oświecił...

— Zaczekaj, Anicecie! Wychodzę wraz z tobą — rzekła Domicela, ruchem swym świadcząc, iż chce pójść śladem zmierzającego ku drzwiom starca.

— Czemuż tak rychło chcesz mnie opuścić? — zapytała Kornelia.

— Także i ja jestem chrześcijanką. Ponieważ wypędzasz Aniceta, uczyń to samo i ze mną — odrzekła matrona z godnością.

Po raz to pierwszy przyznała się Domicela do swej wiary, potwierdzając w ten sposób słowa Aniceta, który rzekł był do niej: „Gdy przyjdzie pora — nie zaprzesz się swej wiary“...

Przy ostatnich słowach chrześcijańskiej matrony, Kornelia wydała okrzyk zdumienia i zakryła sobie twarz obu rękoma, ażeby nie widzieć Aniceta, za którym pospieszała również Domicela.

Zostawszy potem sama, westchnęła głośno.

Spokój starca i jego pełne godności zachowanie się wywarło na niej głębokie wrażenie. W duszy jej zbudził się żal prawie na myśl, iż obraziła go tak ciężko. Udała się następnie do świątyni, aby przed ołtarzem bogini zebrać myśli i natchnąć swe serce nową odwagą.

Modły pogańskie były tem osobliwe, że modlący się największą wartość przypisywali słowom, wymawianym możliwie wyraźnie. Myśleć przytem mogli, o czem im się tylko żywnie podobało. Wierzono natomiast, że najlżejsze wykroczenie przeciw dobrej wymowie, czyniło modlitwę bezskuteczną. Cezar oraz większość patrycyuszów modliła się nawet według wygodniejszej i osobliw-

szej jeszcze metody. Jeśli wierzyć mianowicie Pliniuszowi, to kapłan czytał w ich obecności odpowiednią formułę wiary, inny kapłan czuwał pilnie nad wymawianiem formuły, trzeci zaś grał tymczasem na flecie, ażeby modlący się kapłan nie słyszał innych odgłosów, jak tylko ton fletni.

Gdy Kornelia weszła do świątyni — zamieniła tam kilka słów z westalką, strzegącą świętego ognia. Zbliżyła się następnie do ołtarza i utkwiwszy weń oczy, rzucała usty ku bogini jakieś zaklęcia. Po ukończeniu modlitwy, Kornelia ucałowała swą prawą rękę i wyszła z świątyni, obchodząc, stosownie do przepisów Numy Pompiliusza, trzykrotnie ołtarz dookoła, zaczynając od prawej strony ku lewej, gdyż według ówczesnych pojęć astronomicznych w takim właśnie kierunku obracało się słońce dookoła ziemi.

Przed opuszczeniem świątyni, Kornelia usiadła jeszcze na posadzce, na znak zaufania, że modlitwa jej przez boginię przyjętą została, poczem udała się do mieszkania Fabioli. Po spożyciu wspólnie z westalkami wieczerzy, Kornelia udała się do swego pokoju, po zapadnięciu zaś ciemności, wyszła do gaju, w nadziei, że nocne powietrze ukoi nieco jej rozigrane nerwy.

Dookoła panowała cisza zupełna. Słychać tylko było szmer liści, strącanych wiatrem jesiennym. Przejrzyste obłoki rozsnuły się po firmamencie, matując żywy gwiazd połysk. Tylko smutne wołanie puszczyka, budującego sobie gniazdo w dziupli dębu, przerywało ciszę nocną. Była to noc tak smutna i melancholijna, jak pożegnanie puszczającego się na morze żeglarza. Nie słysząc nawet ani głosu puszczyka, ani szmeru zeschłych liści, szeleszczących pod jej stopami, Kornelia, trapiona myślami, krążyła bezustannie dookoła.

Zmęczona spacerem, siadła wreszcie i zapatrzyła się w niebo. Nie dostrzegłszy swej ulubionej gwiazdy, spuściła głowę na piersi i łza goryczy pełna stoczyła się po jej policzku. Pustka i smutne milczenie nocy stanęło przed nią niby obraz jej własnego życia...

Nagle — spojrzała przestraszona dokoła siebie.

Zdawało się jej, że usłyszała jakieś głębokie, bo-

lesne westchnienie i ogarnięta strachem przypomniała sobie starego Nazarejczyka, który kazał jej mieć się na baczności, zarówno w gaju, jak i w mieszkaniu. Kornelia zerwała się z ziemi, chcąc uciec, ale kolec gałęzi cierniowej uchwycił ją za kraj płaszcza.

Drżąca ze strachu, Kornelia chciała wołać o ratunek, ale ze ściśniętego strachem gardła nie mogła dobyć głosu. Wreszcie uwolniwszy płaszcz od cierni, niby ścigane przez myśliwego stworzenie, pobiegła ku zamkowi.

Widać jeszcze było wśród drzew białą szatę kapłanki, gdy z krzaków, w pobliżu miejsca, gdzie siedziała przedtem Kornelia, wyłoniła się pochylona postać mężczyzny, który, patrząc za uciekającą, mówił stłumionym wskutek silnego wzruszenia głosem:

— O, nie uciekaj przedemną, lube marzenie nieszczęśliwego! Ty nie wiesz nawet, że ja, chcąc cię choćby ujrzeć z daleka, chcąc odetchnąć jednem z tobą powietrzem, narażam się na śmierć okrutną... Ale cóż znaczy życie niewolnika, wyrzutka ludzkości!

To mówiąc, Parys, gdyż był to właśnie ów gladyator, westchnął boleśnie, poczem chyłkiem przemykając się wśród drzew, dotarł do wysokiego muru, okalającego świątynię. Ze zręcznością i zwinnością dzikiego kota, korzystając z wszelkich luk, będących w murze, opuścił on miejsce odwiedzane przezeń z narażeniem własnego życia i późną już godziną udał się do kwatery, przeznaczonej dla gladyatorów.

IX.

W ogrodzie Sekstusa.

Od dwóch już tygodni przebywał Sekstus w swej willi, położonej na wzgórzu Viminalis, jednem z siedmiu wzgórz starego Rzymu. Rana jego zagoiła się już zupełnie i nie potrzebował się on już obawiać dłużej gniewu cezara, gdyż dowiedział się za pośrednictwem Flawiusza Klemensa, że Parteniusz, który również wyzdrowiał,

oświadczył, iż nie byłby w stanie rozpoznać obu mężczyzn, znajdujących się pamiętnej nocy na moście palatyńskim.

Zamieszkiwana przez Sekstusa willa była właściwie przepysznym podmiejskim pałacem. Zarówno kosztowne, a olbrzymie posągi, jak również cudne fontanny świadczyły o zamożności jej posiadacza. Przed willą roztaczały się świetnie pielęgnowane ogrody, ozdobione gęsto arcydziełami z marmuru.

Tu zatrzymywał się zazwyczaj młody patrycyusz. Jakkolwiek bowiem posiadał jeszcze jednę, równie cudną willę u stóp Janiculum (wzgórze na prawym brzegu Tybru, po zachodniej stronie Rzymu), przekładał jednak ponad pobyt w tamtej willi, rozkosz, płynącą z pobytu w ogrodach na Viminalis. Tu także przyjmował swych przyjaciół, których często na bankiety i pijatyki zapraszał.

Jakkolwiek słońce już wzeszło wysoko, Sekstus nie opuścił jeszcze łoża. Z oczami, zwróconemi na złoconą powałę, i z rękoma, założonemi pod kędzierzawą głowę, leżał jeszcze na miękkiem wezgłowiu.

Oblicze jego miało to wesoły, to znów posępny wyraz. Uśmiechał się, gdy luba postać Floronii mignęła w jego wyobraźni; pochmurniał natomiast, gdy przyszły mu na myśl nieprzebyte prawie zapory, przeciwstawiające się jego skłonnościom. Ta właśnie okoliczność zaogniała bardziej jeszcze miłość patrycyusza. Przywykłemu do łatwych sukcesów, postać chrześcijańskiej dziewicy miała dlań wszelki urok nowości.

Jakkolwiek przeczuwał, iż Floronia odwróciłaby się odeń ze wstrętem, to z drugiej jednak strony ufał nietylko swej sztuce uwodzenia, lecz także i to przedewszystkiem swej piękności, uznawanej przez wszystkie znane mu niewiasty, a to tem więcej, że nie spotkawszy się nigdy z cnotą prawdziwą, uważał ją za idealną niemożliwość, za utopię.

Zmęczony rozmyślaniem, usiadł na łożu, klasnął w dłonie, poczem opadł z powrotem na posłanie, jakgdyby znużony tym małym wysiłkiem. Lenistwo było naturalnym wynikiem rozpustnego i miękkiego żywota, prowadzonego przez ówczesnych Rzymian.

Na dany znak wkroczył natychmiast niewolnik nu-

midyjski i stanął pośrodku sali, oczekując pokornie na rozkazy patrycyusza. Nie patrząc nań wcale, ani nie przemawiając doń ani słowa, Sekstus podniósł prawą rękę, dając mu w ten sposób do zrozumienia, iż chce powstać. Niewolnik wyszedł, lecz powrócił zaraz z dwoma innymi towarzyszami. Jeden z nich przyniósł mięciuchną, wełnianą tunikę, którą miał natychmiast po opuszczeniu łoża okryć patrycyusza, drugi zaś niósł srebrny kubek, napełniony mięszaniną wina i miodu.

Sekstus wychylił kilka kropli tego porannego napoju, poczem siadł na krawędzi łoża i oparł nogi na okrywającem posadzkę tygrysiem futrze. W tej właśnie chwili niewolnik okrył go tuniką. Wtedy niewolnicy ponieśli go na rękach do małej salki, zwanej *cella tepidaria,* której podłoga i ściany ozdobione były białym marmurem. Sufit tego pomieszczenia tworzyła pięknie wykonana żelazna krata, przepuszczająca do wnętrza, wypełnionego gorącą, mile pachnącą parą, świeże powietrze.

Pod ścianą stała tu marmurowa wanna, do której spływała woda z ruchomej bronzowej rury. Sekstus wszedł do wanny, przebył w niej kilka minut, poczem niewolnicy odnieśli go znów do jego pokoju, gdzie jeden z niewolników namaścił ciało patrycyusza pachnącą mięszaniną niedźwiedziego łoju, octu winnego i benzoesu, wcieraną w skórę przy pomocy gąbki. Przeszło godzinę trwał Sekstus w słodkiej drzemce, poczem zszedł z łoża, wypił resztę przyniesionego napoju i przy pomocy niewolnika począł się ubierać. Włożył najpierw rodzaj togi, zwanej *subucula,* wyrabianej wówczas z wełny, obecnie zaś z płótna, a służącej ówczesnym Rzymianom za koszulę. Wdział potem na siebie togę rycerską, spiętą w pasie, a sięgającą do kolan.

Ukończywszy w ten sposób tualetę, wyszedł Sekstus do ogrodów. Początkowo spacerował w cieniu drzew wiśniowych, których gałęzie tworzyły nad nim zasobny w liście baldachim, później zaś usiadł na krawędzi marmuru, otaczającego fontannę i muskając ręką wodę, popadł w lekkie zamyślenie.

Myślał o Anicecie, a jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, iż swojemi lekkomyślnymi, jeśli nie karygodnymi

zamiarami co do Floronii — źle się im za uzyskaną gościnę odpłaca. Dusza jego, pod złym wpływem epikurejskiego systemu wychowania, była nadpsuta, lecz nie zepsuta zupełnie. Na dnie jego serca tkwiły jeszcze jakieś szlachetne skłonności, które tylko potrzebowały bodźca z zewnątrz, aby w całej pełni rozkwitnąć. Występne jednak nawyknienia łatwo w jego duszy nad szlachetniejszymi popędami odnosiły tryumf, a to wskutek miękkości charakteru, pozbawionego hartu przez przyjemnostki wszelkiego rodzaju, których z rozkoszą zażywał.

Potrząsając głową, Sekstus mamrotał pod nosem:

— Nie życzę nic złego temu staremu Nazarejczykowi; przeciwnie, będę mu zawsze wdzięczny za to, co uczynił był dla mnie. Ale co się tyczy Floronii, to jest ona zbyt piękną, aby miała więdnąć w swem ponurem mieszkaniu lub wyjść za mąż za plebejusza, który ją prędzej lub później powlecze do amfiteatru na karm dla dzikich bestyi. Chcę ją uszczęśliwić, pragnę ją nauczyć tego, co zwie się życiem. Wszak życie w ubóstwie jest wegetacyą! Otoczę ją bogactwy i w ten sposób wynagrodzę jej stratę starego opiekuna.

Tak prawiąc do siebie młody patrycyusz roześmiał się głośno i starał się szyderstwem uspokoić swe wyrzuty sumienia.

Właśnie chciał znów oddać się tym samym rozmyślaniom, gdy stanął przed nim niewolnik numidyjski, donoszący o przybyciu czterech młodych rycerzy.

— Są to bez wątpienia moi przyjaciele, którzy, nie słysząc nic o mnie od pewnego czasu, przybyli w odwiedziny — zawołał Sekstus i polecił niewolnikowi zaprosić gości do pobliskiego, wiązowego gaju. W pośrodku tego gaju stał na polance stół bazaltowy, otoczony dokoła kamiennemi, lecz wygodnemi ławkami.

Sekstus ruszył właśnie w tamtym kierunku, gdy ujrzał zbliżających się doń przyjaciół. Wszyscy czterej goście byli to ludzie młodzi. Jeden z nich, witając się z Sekstusem, rzekł doń żartobliwie:

— Sądziliśmy, że zamieniłeś się już w popioły i dziwiliśmy się tylko, że nie wysłano nam zaproszenia na twój pogrzeb.

— Dlaczego, Publiuszu?

— Ponieważ w ciągu ostatnich dni dziesięciu conajmniej dziesięciokrotnie zapytywaliśmy o ciebie, a niewolnicy twoi zawsze nam odpowiadali, żeś nieobecny.

— Byłem obecny, ponieważ jednak składałem ofiary bogom domowym, pragnąłem to czynić w samotności.

— Jacyż to są twoi bogowie domowi? — zapytał beztroskliwie jeden z młodzieńców, udając, iż bierze pretekst Sekstusa za dobrą monetę.

— Dziwne pytanie! Gdzież niema bóstwa, któregoby nie czcił epikurejczyk? — odrzekł Sekstus, śmiejąc się ochoczo.

Młodzi patrycyusze wybuchnęli śmiechem, najstarszy zaś z pośród nich, poważniejąc nieco, powiedział:

— Ponieważ mówisz o epikurejczykach, to powiem ci, że cezar wydał rozkaz, ażeby wszystkich filozofów, bez względu na to, do jakiej sekty należą, wypędzić z Rzymu. Nie słysząc nic o tobie, sądziliśmy już, że i w twej osobie wywęszono filozofa i wygnano cię z kraju.

— I dlaczegóż to filozofowie zostali skazani na banicyę? — spytał zaciekawiony Sekstus.

— Mieli nieszczęście nie spodobać się żonie cezara — ozwał się jeden z patrycyuszów ironicznie.

— Cicho! — zawołał drugi kompan, rozglądając się trwożliwie dookoła. — Straciłeś zmysły, że w podobny sposób wyrażasz się o Domicyi? Drzewa mogą mieć uszy i oskarżyć cię o zdradę.

— Tu możecie mówić bez ogródki. Gdyby nawet moi niewolnicy usłyszeli, co mówicie, to każdy z nich umarłby raczej, aniżeliby miał zdradzić mego przyjaciela. Wracając jednak do sprawy filozofów, czy istotnie cezar kazał ich wygnać z Rzymu?

— Niema w tem ani słowa przesady. Wszyscy cynicy, skeptycy, epikurejczycy, stoicy i pytagorejczycy zostali z Rzymu wypędzeni.

— Miej się na baczności Sekstusie, gdyż i ciebie czuć nieco filozofem — rzekł z uśmiechem Publiusz.

— Na Jupitera, pogardzam nimi! Prawdą jest, że system epikurejski odpowiada zarówno mym upodobaniom, jak i nawyknieniom, ale co się tyczy samych filo-

zofów, to mało mi na nich zależy. I jeżeli cezar uznał za stosowne wypędzić ich z Rzymu, to świat jest dość przecie wielki, ażeby zbrakło na nim miejsca i dla nich. Zresztą ich równowaga filozoficzna sprawi, że nie trudno im będzie czuć się wszędzie, jak u siebie w domu.

— Masz zupełną racyę — rzekł jeden z młodszych gości. — Idąc dziś rano do Publiusza, spotkałem właśnie pewnego filozofa, który mi oświadczył, iż u Daków poszuka sobie schroniska i że czytaniem dyalogów Platona lub przemówień Demostenesa będzie umiał koić ból rozłąki z Rzymem.

— Ale! — przerwał mówiącemu Publiusz — Domicyan nietylko filozofom, lecz także żydom poprzysiągł nienawiść, o ile w odpowiednim terminie nie uiszczą się z podatków. Ci będą znacznie ostrzej prześladowani, aniżeli filozofowie, a wraz z nimi także trzeci rodzaj ludzi, zwących się Nazarejczykami, podlegnie prześladowaniu...

Ostatnie te słowa przestraszyły Sekstusa, który, przypomniawszy sobie Floronię, zapytał drżącym głosem:

— Czy jesteś tego pewny, Publiuszu?...

— Zupełnie pewny. Zresztą dość już często widzieliśmy w amfiteatrze dzikie bestye, chrupiące kości tych biednych istot, które szły na śmierć, śpiewając hymny, jak gdyby w czasie jakiejś uroczystości. Cóż myślisz? Senat troszczy się tylko o formalności, posiedzenia zaś jego do niczego nie prowadzą. Przecież Domicyan wydaje codziennie wyroki śmierci na obywateli, pełnych zasługi, gdyż prześladuje nietylko filozofów i żydów, lecz także wszystko, co zasługuje na podziw. A tak plebejusze, jak i patrycyusze przyjmują to milczeniem.

— Filozofowie nie wzbudzają we mnie współczucia, gdyż często przewracają w głowach tym, którzy im dają posłuch i wreszcie sami często nie rozumieją tego, o czem pouczać chcą innych. Ale współczuję natomiast spokojnym Nazarejczykom, którzy dobrem za złe odpłacają — rzekł Sekstus tonem współczucia, myśląc o Anicecie i Floronii.

— Na Jupitera! Nie mów mi o nich! — zawołał jeden z patrycyuszów i byłby długo jeszcze na chrze-

ścijan pomstował, gdyby nie to, iż niewolnicy wnieśli właśnie wino i pomarańcze.

Sekstus zaprosił gości do spożycia posiłku i wręczył im następnie kostki. Dwaj patrycyusze zasiedli zaraz do gry. Ten, który pierwszy rzucił kości, zawołał: „*Aut omnia, aut nihil*“, co znaczyło: „albo wszystko, albo nic“. Inni, wyciągnąwszy członki na rozłożonych na podłodze futrach tygrysich, poczęli również zabawiać się grą, będącą wówczas w użyciu.

Sekstus nie zwracał uwagi na grających. Siedział on przy stole, z głową, opartą na dłoni. Na wesołą zazwyczaj twarz jego padł cień smutku. Przyszło mu na myśl, iż może już w najbliższych dniach Floronię znów zawloką do amfiteatru i że może nie znajdzie się tam żaden zbawczy Parys. Przeklinał w duchu grających gości, którzy gwarem swym zamącali tok jego myśli.

Wreszcie goście przerwali grę, podnieśli się z miejsc i pożegnawszy się z Sekstusem, odeszli.

Sekstus zadumany powrócił wawrzynową aleją do domu, udał się do swego pokoju, gdzie polecił niewolnikowi numidyjskiemu z możliwym pospiechem przygotować lektykę. Wkrótce też siedział już, wsparty na poduszkach, w lektyce i polecił się nieść we wskazanym przez siebie kierunku. Po przybyciu do świątyni bogini Fortuny, Sekstus pozostawił na straży przy lektyce niewolników, sam zaś udał się pieszo ku domowi Aniceta.

X.

Cud.

Sekstus pragnął przedewszystkiem odszukać Floronię, ażeby skłonić ją do zamieszkania w jego willi, gdzie, jak sądził, byłaby przed prześladowaniem Domicyana bezpieczna. W pomieszaniu swem nie pomyślał o tem, że przyjęcie jego propozycyi przez Floronię byłoby w istocie rzeczy zaparciem się wiary chrześcijań-

skiej i że w takim razie nie potrzebowałaby się ona właściwie przed prześladowaniem ukrywać.

Przyspieszając kroku, znalazł się Sekstus w atrium, daremnie jednak szukał tam wzrokiem ludzkiej istoty. Cały dom był jakby wymarły. Ponieważ po owej przygodzie nocnej, wniesiono go tam nieprzytomnego, wyniesiono go zaś z tego domu w zamkniętej lektyce, nie znał on wewnętrznego rozkładu pokojów, stał przeto w miejscu, nie wiedząc, w którą ma się zwrócić stronę. Wreszcie zbliżył się do pewnych, jak mu się zdawało, wpół otwartych drzwi i wkrótce znalazł się w małym pokoiku, którego ściany i podłoga zdawały się być jednem rumowiskiem. Minąwszy ten pokój znalazł się w innym, jeszcze mniejszym, ale owładnięty głębokiem, trudnem dla niego samego do wytłómaczeniem wzruszeniem, zatrzymał się w progu...

W kącie siedziała Floronia przy kądzieli. Jej miła twarzyczka w ciągu ostatnich dwu tygodni przybladła, wychudła nieco i miała wyraz melancholii, której Sekstus dotychczas u Floronii nie zauważył. Zwróciwszy mechanicznie oczy ku swej robocie, modliła się ona półgłosem.

Sekstus, ujrzawszy ją, nie ruszył się z miejsca. Zaledwie odważył się oddychać. Osobliwe! Lekkomyślny patrycyusz czuł się zażenowanym wobec słabego dziewczęcia, znajdującego się zresztą bez towarzystwa w opustoszałym domu.

Wreszcie dziewczę podniosło głowę i z okrzykiem podziwu, odkładając na bok robotę, pospieszyło z wesołym uśmiechem naprzeciw patrycyusza.

— Modliłam się za ciebie, nie przeczuwając nawet, że się tak blisko mnie znajdujesz — rzekła Floronia z prostotą. — Wiedzieliśmy już o twem wyzdrowieniu, bo Domicela codziennie słała nam wiadomości o tobie. Dlatego, chociaż naszym obowiązkiem jest odwiedzać chorych, Anicet ciebie nie odwiedził. Zresztą ma on teraz wobec naszych biednych, prześladowanych braci, większe niż kiedykolwiek zobowiązania i więcej pracy przy wykonywaniu swego świętego urzędu.

Wesoły uśmiech zaigrał na ustach młodego patrycyusza. Przyjazne usposobienie dziewczęcia powróciło mu

jego śmiałość, wobec czego począł snuć przed nią swą propozycyę.

— Proszę cię, zechciej zrozumieć tylko przyczynę, która mnie tu przyprowadza — mówił. — Jak ci wiadomo, Domicyan wydał edykt przeciw Nazarejczykom, który od tej pory będzie z największem okrucieństwem wykonywany. Twoje życie jest więc w niebezpieczeństwie... Jeżeli stanie się głośnem, że trwasz jeszcze przy wierze w jedynego Boga, to znów zawloką cię do amfiteatru. Tu znajdujesz się w ciągłem niebezpieczeństwie. Zamieszkaj więc u mnie, gdzie nikt za tobą poszukiwań czynić nie będzie i gdzie możesz zażywać rozkoszy, jaką dają spokój i bezpieczeństwo, zamiast więdnąć w murach tego smutnego domu. Błagam cię, chodź do mnie! Jesteś zbyt piękną, aby cię w dwudziestej wiośnie życia ofiarować na pastwę głupiej chimery.

Sekstus mówił tonem łagodnym i łechcącym. Z założonemi na piersiach rękoma, stał przed Floronią, patrząc błagalnie w jej oczy. Serce dziewczęcia rozpierało uczucie wdzięczności. Poruszona do głębi tem, co uważała jedynie za głos dobrego serca patrycyusza, Floronia rzekła z westchnieniem:

— Dziękuję ci za twą życzliwą propozycyę, Sekstusie, ale obawiam się, że Anicet tego domu nie opuści, gdyż nasi bracia zbierać się tu zwykli na modlitwę.

— Anicet nie może nic o tem wiedzieć... — odrzekł bezmyślnie Sekstus.

Słowa te objaśniły Floronii cel propozycyi patrycyusza. Patrycyusz chciał więc wyrwać ją z pod opieki Aniceta, pozbawić ją styczności z współwyznawcami i chciał może później skłonić ją do zaparcia się wyznawanej przez nią wiary.

Floronia, blada z wewnętrznego wzburzenia, zmierzyła Sekstusa spojrzeniem, pełnem wyrzutu i, przezwyciężając właściwą sobie pokorę, oświadczyła stanowczo:

— Jak możesz mnie uważać za tak dalece pozbawioną charakteru, Sekstusie? Jeżeli sądzisz, że w godzinie niebezpieczeństwa opuszczę ojca i braci mych, to się mylisz. Członki moje są wprawdzie wątłe i słabe, ale mogę je bez szemrania na ławie tortur rozciągnąć. Śmierć

mnie przestrasza, ale jestem w stanie ponownie spojrzeć jej w oczy, jeśli to okaże się jeszcze koniecznem. Nie obawiam się niczego... Wiem przecież, iż Ten, w którego wierzę, doda memu wątłemu ciału sił, aby znieść nawet najokrutniejsze tortury.

— Ach, nie ulegaj ślepo swej naiwności, strzeż się grożącego ci prześladowania! W moim domu będziesz zupełnie bezpieczna i będziesz mogła z wszystkich bogactw moich wraz ze mną korzystać!

— Sekstusie, towarzyszu dzieciństwa mego, pozostaw mnie w spokoju i wyzbądź się tego haniebnego zamiaru. Jeśli chcesz mnie jednak istotnie do wdzięczności zobowiązać, to bierz udział w naszych zgromadzeniach i przysłuchaj się choćby raz jeden słowom naszego papieża Klemensa lub naukom, głoszonym przez Aniceta.

— Głupie słowa i czcze sofizmaty nie przekonają mnie nigdy! — rzekł tracący cierpliwość Sekstus. — Nie wierzę w waszego Boga, a chcąc przekonać się o istnieniu tej wymarzonej przez ciebie istoty, musiałbym być świadkiem widowiska, przekraczającego granicę sił natury.

— Domagasz się cudu — przerwała Floronia żywo, a rzuciwszy pełne wiary spojrzenie ku niebu, ciągnęła dalej:

— Dobrze więc, skoro coś, co leży poza naturalnym porządkiem rzeczy, może ciebie skłonić do przyjęcia prawdziwej wiary, to... będziesz świadkiem cudu... Bóg nie odmawia niczego tym, którzy, w pełnem zaufaniu w potęgę modlitwy, błagają go o jakąś łaskę.

Patrycyusz czuł się wzruszonym do głębi. Przypomniały mu się teraz słowa, słyszane pamiętnego dnia w amfiteatrze, ale tłumiąc ogarniające go wzruszenie, ozwał się szorstko:

— Módl się za mnie, jeśli chcesz. Będę ci za to zawsze wdzięczny, ale teraz przyjmij mą propozycyę...

Sekstus nagle urwał, gdyż w progu stanął Anicet, mierzący surowem spojrzeniem lekkomyślnego młodzieńca.

Patrycyusz zbladł i zadrżał, jak przestępca, postawiony przed sędzią. Kapłan zaś zwolna zbliżył się ku niemu i rzekł tonem gorzkiego wyrzutu:

— Oto wdzięczność bezbożników, nieszczęście i smu-

tek przynoszących tym, którzy ich gościnnie pod dach swój przyjęli. Ja to jednak ponoszę winę, nie powinienem był bowiem dopuścić do tego zbliżenia.

— Z korzyścią będzie dla ciebie, jeżeli zabiorę cię z tego domu, gdzie, trwając egoistycznie w głupstwie, narażasz się na pewną śmierć — odrzekł Sekstus, który ochłonął już z chwilowego wrażenia, jakie wywarł nań pojawiający się nagle Anicet.

— Milcz, młodzieńcze, i nie kłam! Nie chęć to wyrwania jej z paszczy śmierci skłoniła cię do podjęcia próby, aby ją stąd uprowadzić. Przenikam twe myśli na wylot. Moich siwych włosów nie jesteś w stanie oszukać. Śmierć nie jest nieszczęściem dla sprawiedliwych, żyjących według przykazań boskich. Jedynem nieszczęściem jest hańba grzechu. Oskarż to dziewczę, iż jest chrześcijanką i otwórz przed nią w ten sposób wrota niebios, ale nie staraj się zatruć jej serca, gdyż nie wiesz, jak strasznego rachunku zażąda Wszechmocny od tych, którzy na niewinność i cnotę nastają. Uśmiechasz się! Słowa moje zdają ci się być niedorzecznością! Jakże jednak może je przyjąć inaczej taki lekkoduch, jakim ty jesteś!

— Sekstus nie wie, że męczeństwo jest uważane przez nas za szczęście i dlatego stara się mnie przed niem uchronić — ozwała się Floronia, litując się w duchu nad młodym patrycyuszem.

— Strzeż się swego nad nim politowania. Ta litość może cię w błąd wprowadzić. Człowiek ten, nalegający teraz na cię, ażebyś poszła za nim, wkrótce porzuciłby cię bezlitośnie. Tak... Deptałby cię nogami, nie bacząc na twe łzy, gdybyś nie zechciała uledz jego pragnieniom i zejść z drogi cnoty.

Zwracając się do Sekstusa, starzec ciągnął dalej:

— A teraz opuść ten dom i nie przekraczaj nigdy jego progu. Oto pokuta za twoje grzechy. Jeżeli chcesz jednak się na mnie pomścić, to powiedz, gdzie należy, że jestem wyznawcą Chrystusa...

— Gdybym nie litował się nad twą słabością, starcze! — skruszyłbym cię pod mojemi stopami! — wrzasnął Sekstus w przystępie najwyższej wściekłości. —

Teraz odchodzę, ale na przekór tobie, wyrwę ja Floronię z pod twej tyranii. Zobaczymy się wkrótce...

— Idź więc! Widziałem bezbożnika, jak głowę swą wznosił wysoko, na podobieństwo cedrów, rosnących w górach Libanu, ale przyszła burza i powaliła go na ziemię.. — rzekł Anicet, patrząc za odchodzącym Sekstusem.

Floronia rzuciła się na kolana, złożyła ręce i głośno poczęła się modlić:

— Chwała i dzięki Tobie, mój Boże! Miej litość nad nami!...

Sekstus, wzburzony niezmiernie, zasiadł w lektyce i polecił niewolnikom nieść się z powrotem do willi. Opanowany gniewem, przeklinał chrześcijańskiego kapłana, którego wpływowi przypisywał to, iż Floronia nie przychyliła się do jego życzeń. Snuł w myśli tysiące planów, prowadzących do wydobycia Floronii z pod opieki Aniceta. W umyśle jego powstał zamiar zgromadzenia dokoła siebie przyjaciół, przypuszczenia nocą szturmu do domu Aniceta i uprowadzenia Floronii. Wkrótce jednak porzucił ten zamiar, gdyż przyszła mu do głowy myśl inna, jeszcze bardziej szalona...

W sercu jego wrzała cała burza sprzecznych uczuć. Gniew i miłość, uczucie zemsty i szlachetne instynkty wiodły zawrotny taniec. Ażeby nieco ochłonąć, kazał po przybyciu do willi zaprządz do wózka rumaki i sam dzierżąc lejce, puścił się z wichrem w zawody. Zmierzał w kierunku *Via latina,* gdzie miał zamiar odwiedzić swego przyjaciela, Lucyusza Kwintyliusza, którego przepiękna willa była punktem zbornym dla najrozrzutniejszych patrycyuszów ówczesnego Rzymu.

Sekstus spodziewał się, że szybka jazda uspokoi go nieco i rozerwie, ale — daremnie. Obraz Floronii ścigał go nieustannie. I zdawało mu się, że swym słodkim głosem szepcze mu ona coś do ucha, coś dotychczas dlań niezrozumiałego. Zdawało mu się, że słowa, szeptane przez nią, były przeniknięte nawskróś taką cnotliwością i wiarą, iż Sekstus chwilami uczuwał mimowolnie wstręt do złego czynu...

Jadąc co koń wyskoczy, ujrzał nagle na zakręcie drogi, ku której zwrócił swe rumaki, człowieka z ludu

kroczącego spokojnie naprzód. Rumaki, rwące niby wicher, doścignęły go w mgnieniu oka i już... już miały go roznieść na swych kopytach, gdy nieznajomy odwrócił się nagle, schwycił je za cugle, herkulesową swą siłą zatrzymał na miejscu i usunął się im potem spokojnie z drogi.

Sekstus wprawdzie także w tym momencie ściągnął lejce, ale uniesiony swą pychą patrycyuszowską, pragnął teraz poskromić plebejusza i wymierzył w jego stronę cios batem. Nieznajomy z nieporównaną zręcznością uniknął ciosu, skrzyżował ręce na piersiach i spoglądając pogardliwie na patrycyusza, rzekł:

— Oto szlachetność patrycyusza, który ćwiczy batem plebejusza za to, iż tenże nie pozwoli się roztratować kopytami końskiemi. Zresztą żadnego innego objawu wdzięczności nie mogłem się po tobie spodziewać...

Słowa te dotknęły niemile patrycyusza. Po raz drugi już tego dnia zarzucano mu niewdzięczność. Gniewnem spojrzeniem obrzucił plebejusza, którego jasne włosy i twarz o rysach regularnych nie były mu obce i po chwili rozpoznał w nim gladyatora Parysa. Nie mógł w żaden sposób zrozumieć, jaką Parys miał podstawę do wytykania mu jego niewdzięczności, gdyż ani mu przez myśl nie przeszło, że Parys był tym, który, walcząc z wyzwoleńcem cezara, ocalił go od niechybnej śmierci.

Gladyator prosił Aniceta o zatajenie swego nazwiska przed patrycyuszem, Anicet zaś tajemnicy tej skrupulatnie dochował.

Sekstus chętnieby zażądał wyjaśnienia od Parysa, ale ten odwrócił się już doń plecami i udał się szybkim krokiem w swoją drogę.

— Cóż mi zależy na słowach jakiegoś nędznego niewolnika! — rzucił gniewnie Sekstus i jechał dalej, Niedługo jednak zatrzymał konie, gdyż oczy jego uderzył niezwykły widok. Oto w pobliżu t. zw. „wrót łacińskich“ znajdował się stos płonący, nad którym umieszczone było na żelaznym trójnogu wielkie naczynie miedziane w kształcie kotła. Z kotła tego rozchodziła się dookoła niemiła woń wrzącego oleju. Nieopodal ustawione były drewniane

schody, prowadzące na szczyt wspartego na czterech słupach rusztowania, z którego można było zajrzeć do wnętrza kotła.

Trzech półnagich oprawców podsycało nieustannie ogień, chcąc doprowadzić olej do najwyższego stopnia temperatury. Dokoła gromadził się liczny tłum, śledzący z natężoną uwagą te przygotowania.

Naprzeciw wspomnianego rusztowania, wzniesiona była trybuna dla pretora i członków senatu, którzy w oczekiwaniu na rozpoczęcie widowiska, śmiejąc się, gwarzyli pomiędzy sobą.

Sekstus zeskoczył na ziemię i zapytał pewnej kobiety z ludu, do czego przeznaczony jest umieszczony nad stosem kocioł.

— Będą w nim gotować Nazarejczyka... — objaśniła go niewiasta, rada, iż mogła jego ciekawość zadowolić.

Sekstus zadrżał i chciał już z powrotem chwycić za lejce, gdy szmer tłumów, zapowiadający przybycie ofiary, ponownie przykuł jego uwagę.

Oto od strony mamertyńskiego więzienia zbliżał się, otoczony przez gwardyę pretoryańską, cześć wzbudzający starzec w poszarpanej odzieży.

Był to Jan Ewangielista.

Od 66 roku epoki chrześcijańskiej biskupia siedziba jego znajdowała się w Efezie, w Azyi Mniejszej. Na rozkaz Domicyana sprowadzono go do Rzymu i wtrącono do mamertyńskiego więzienia, miejsca tortur i udręki apostołów Piotra i Pawła. Święty ten starzec zbliżał się teraz do progu najokrutniejszej, jaką tylko złość ludzka wymyślić może, śmierci.

Naokół panowała niezmącona cisza. Wszystkich ogarnął głęboki nastrój oczekiwania... Tłumy bez rozkazu usuwały się z drogi świętemu mężowi, kroczącemu wśród straży pogodnie i wesoło, jak gdyby wesele wielkie miało być kresem jego wędrówki.

Po przybyciu na miejsce, rzucili się nań oprawcy i wciągnęli go na szczyt rusztowania. Tam pozrywali zeń szaty i, uniósłszy go na swych ramionach, wrzucili żywcem do kipiącego wrzątku.

Słychać było dokładnie upadek ciała. Gęste, językami ognia prześwietlone słupy dymu wzniosły się ku niebu, przesłaniając oblicza katów.

Oczy wszystkich zwróciły się ku kotłowi.

Każdy, w najwyższem napięciu ciekawości, oczekiwał na ostatni jęk ginącego straszną śmiercią męczennika.

Nagle — o dziwo!

Ponad powierzchnią wrzącego oleju, sięgającego Ewangieliście aż do piersi, ukazały się wzniesione, jak do modlitwy, ręce męczennika.

Glorya olśniewającego światła otaczała jego głowę, zdumienie zaś tłumów wzrosło do najwyższego stopnia, gdy z piersi ofiary, wpatrzonej pełnym rozmiłowania wzrokiem w niebo, miast oczekiwanego jęku, wydobył się hymn chwały, śpiewany z przejęciem ku czci Wszechmocnego.

Zdumieni widzowie obrzucili się spojrzeniami, jakby pytając: co się stało?... Strach zdawał się paść na oprawców. Wreszcie tłum wrzasnął jednogłośnie:

— Olej jest zimny!

— Nie gotuje się wcale! — rzekł Sekstus i torując sobie drogę wśród tłumów, zbliżył się do kotła, poczem zanurzył śmiało palec w oleju.

Nagły okrzyk bólu uleciał z ust Sekstusa. Wzniósł rękę wysoko, ukazując otoczeniu opaizony palec.

Ta próba patrycyusza przekonała tłum, który wrzeszczał:

— To jest czarownik!

Wielu jednak świadków tego, co się działo, uwierzyło w cud i zawołało w prostocie serca:

— Bóg Nazarejczyków jest prawdziwym Bogiem!

Sekstus był jakby ogłuszony tem, co zaszło.

Cud, zapowiedziany przez Floronię — spełnił się...

Mimo to jednak Sekstus, na podobieństwo wyczerpanego z sił zapaśnika, po raz ostatni próbującego natężyć muskuły, aby się nie dać pokonać — walczył jeszcze z pukającą do jego serca i umysłu wiarą.

Postanowił czemprędzej opuścić to miejsce, gdy jednak zbliżał się już do koni, potknął się o klęczącego na ziemi mężczyznę.

Spojrzał...

Był to Parys — gladyator.

Cud tak dalece rozświetlił ciemności duszy gladyatora, że pochyliwszy się kornie nad ziemią — uznał wszechpotęgę chrześcijańskiego Boga.

— Ten życie stawia na kartę! — mruknął Sekstus i, owładnięty współczuciem nad wybawicielem Floronii, potrząsnął go za ramię, mówiąc:

— Wstań i chodź ze mną!

Parys udał się mechanicznie za Sekstusem. Był tak przejęty cudem, iż bezwiednie poddał się woli patrycyusza.

Niezauważeni przez tłum, darzący świętego całą swoją uwagą, wsiedli do powozu, w którym Parys zajął miejsce niewolnika, odesłanego do domu piechotą. Sekstus nie myślał już o odwiedzeniu Lucyusza Kwintyliusza, lecz pragnął się co rychlej znaleść u siebie w domu.

Tu dopiero Parys, ochłonąwszy z przeżytych wrażeń, zapytał:

— Czemu mnie tu przywiodłeś?

— Słuchaj, Parysie! — odrzekł Sekstus. — Dotychczas nienawidziłem Nazarejczyków, wyśmiewałem ich i gardziłem nimi. Teraz ich podziwiam! Ty uratowałeś życie Floronii, teraz ja chcę ciebie od lanisty wykupić.

— Lanista zażąda za mnie wysokiego okupu — odrzekł Parys, niezbyt zachwycony swą wysoką pieniężną wartością.

— Jestem w stanie go wynagrodzić, ty zaś masz być moim wyzwoleńcem.

— Będę ci wtedy wiecznie za to wdzięczny i nie wrócę już nigdy do amfiteatru, chyba jako męczennik... Ale muszę teraz wrócić do lanisty, rano zaś odszukam Aniceta i poproszę go o zaliczenie mnie do rządu neofitów.

Walcząc następnie z jakiemś wzruszeniem, Parys, którego twarz powlokła nagle bladość, ciągnął drżącym głosem dalej:

— Westalka Kornelia jest twą krewną. Powiedz jej, że zastawiają na nią sidła i że ktoś czyha na jej zgubę. Co jej grozi — nie wiem, ale świeżo, błąkając

się po tej części ogrodów świątyni, do której wstęp jest zakazany, widziałem znów westalkę o obliczu jędzy, zatopioną w rozmowie z Parteniuszem i słyszałem kilkakrotnie wymówione imię Kornelii... Ach... bywaj zdrów, patrycyuszu! Na mnie już pora...

Podczas gdy Sekstus zagłębił się myślą w nadzwyczajne wydarzenia dnia ubiegłego, gladyator zmierzał już ku Forum. Tu ujrzał z pewnego oddalenia Jana Ewangielistę, odprowadzanego z powrotem, na polecenie pretora do więzienia mamertyńskiego.

XI.

Stracenie patrycyusza.

Domicya podniosła się z posłania, na którem ułożyły ją niewolnice po gorącej kąpieli i otulona w miękką, wełnianą tunikę, usiadła na przygotowanem dla niej krześle, aby pozwolić służebnicom dokończyć swej toalety.

Przygotowano już wszystko, co było do wykonania tego zadania potrzebnem. Jedna z służebnic przygotowała tunikę i płaszcz purpurowy, druga postawiła obuwie, trzecia wniosła szkatułkę z kosztowną biżuteryą Domicyi, czwarta rąbkiem swej tuniki przecierała stalowe zwierciadło, podczas gdy piąta i szósta stały w pogotowiu, z grzebieniem z kości słoniowej i różnymi przyborami do toalety.

Żona cezara popadła na chwilę w głęboką zadumę. Nagle potrząsnęła głową, roześmiała się do własnych myśli z zadowoleniem i dała niewolnicy, trzymającej grzebień, znak, aby przystąpiła do zwykłych czynności.

Z największą ostrożnością rozpuściła dziewczyna włosy swej pani, opadające w nieładzie na ramiona, natarła je kosztownemi esencyami i poczęła lekko muskać je grzebieniem. Domicya tymczasem, trzymając przed sobą zwierciadło, przyglądała się troskliwie swej twarzy, niezwykle tego dnia przybladłej. Nagle wydała przenikliwy okrzyk i zerwawszy się z krzesła, chwyciła złotą

szpilkę, spinającą jej tunikę pod szyją i zatopiła ją w ręce niewolnicy. Miała to być kara za jej bagatelną jakąś niezręczność. Przywykła do tego niewolnica, w milczeniu zniosła ból, spowodowany ukłuciem, ale łzy perliste stanęły jej w oczach.

— Spiesz się, gdyż chcę wyjść jak najrychlej — rzekła Domicya, zajmując ponownie miejsce na krześle.

Ręce niewolnicy drżały do tego stopnia, iż znów dotknęła się zbyt silnie włosów swej okrutnej władczyni, za co otrzymała ukłucie jeszcze boleśniejsze od poprzedniego.

Wreszcie fryzura cesarzowej ujęta została w tysiące loków, wśród których, niby rosa, błyszczały łzy niewolnicy. Domicya wdziała na siebie purpurową tunikę i ozdobiła szyję oraz ramiona sznurami przepięknych, wschodnich pereł, poczem odesłała niewolnice, polecając im na tychmiast przywołać Stefana.

— Czy spełniłeś moje rozkazy? — zapytała wchodzącego zarządcę.

— Z całkowitą ścisłością — odparł Stefan. — Śledziłem Domicelę i mogę teraz z całą stanowczością donieść, że tak Flawiusz, jak i jego małżonka są wyznawcami Chrystusa.

— Domyślałam się... Niczego się nie dowiedziałeś o Kornelii Sabinie?

— Kornelia rzadko kiedy opuszcza progi świątyni Westy, ale przyjmuje natomiast często u siebie krewnego swego, Sekstusa.

— Bacz, kiedy patrycyusz znów się do niej uda i daj mi o tem znać natychmiast — rozkazała Domicya po krótkim namyśle.

Wydawszy to polecenie, kazała odejść Stefanowi, a zostawszy samą, wsparła się łokciami na wielkim, kamiennym stole i pogrążyła się w chwilowej zadumie. Dumała nad swym ponurym planem, który wymyśliła, chcąc się pomścić na Domiceli. Wreszcie powstała z miejsca i udała się do Domicyana, ażeby plan swój urzeczywistnić.

Cezar był, jak zwykle, zatrudniony uśmiercaniem much. Domicya weszła do jego komnaty właśnie w chwili, gdy, zadowolony z siebie, trzymał świeżą ofiarę w swej

garści. Udając, iż nie spostrzega obecności małżonki, cezar wypuścił muchę na wolność, schwytał ją ponownie, wyrwał skrzydełka i zasiadłszy przy małym stoliku, śledził z największem napięciem uwagi jej niezgrabne ruchy.

Domicya przygryzała wargi z wściekłości, aż wreszcie zniecierpliwiona zbliżyła się do stołu i z despotyczną śmiałością kobiety, wierzącej zawsze w swój panujący wpływ nad mężem, którego niegdyś wdziękami swymi oczarowała, zrzuciła okaleczoną muchę ze stołu, przydeptała ją nogą i rzekła wyniośle:

— Posłuchaj mnie i nie trać czasu na takich głupich igraszkach! Przychodzę tu, aby ci donieść o czemś, co honoru twego domu dotyczy.

Domicyan nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na słowa małżonki. Zgniewany jej postępkiem, utkwił w Domicyi srogie spojrzenie, a następnie wyciągnął się na pobliskiem łożu, głośno, swoim zwyczajem, ziewając.

— Czy chcesz więc mnie wysłuchać? — pytała Domicya, tłumiąc z wysiłkiem gniew, rozpierający jej piersi.

— Mów, ale krótko, bo czas jest mi drogi...

— Bądź spokojny, nie będę nadużywała udzielonej mi łaski — odrzekła Domicya z ironią. — Nienawidzisz Nazarejczyków i każesz ich bezlitośnie prześladować, a nie wiesz, że mnożą się oni na podobieństwo hydry stugłowej i że nawet twojej familii zagraża ta zaraza...

— Na Plutona! Nic mi nie mów o tej nikczemnej rasie, jeśli nie chcesz, ażebym wypadł z równowagi! — zawołał cezar. — Moja wola jest wobec nich zupełnie bezsilna. Ich sztuka czarodziejska drwi sobie ze wszelkich tortur. Dopiero wczoraj, pewien starzec, gorliwy krzewiciel tej wiary, wrzucony został z mego polecenia do kotła z wrzącym olejem i — doprawdy to niepodobne! — pozostał nietknięty... Gdyby pretor i senatorzy nie widzieli tego na własne oczy i nie przysięgli mi na to, nigdybym czemuś podobnemu nie uwierzył. Nie mam odwagi skazać go po raz wtóry na śmierć, ale już wiem, w jaki sposób go ukarzę... Na morzu Egejskiem znajduje się wyspa, zwana Patmos. Tam go ześlę, ażeby, pozbawiony ludzkiego towarzystwa, zginął z samotności

i nędzy! Widzisz sama, iż mam liczne powody do bezwzględnego postępowania z Nazarejczykami. Milcz zatem i nie zatruwaj mi tych krótkich chwil, w których się mym drobnym przyjemnościom oddaję.

— Dobrze więc! Cierp chrześcijan w swojej własnej rodzinie i ochraniaj Flawiusza i Domicelę, którzy również są wyznawcami Chrystusa... — odrzekła chłodno Domicya.

— Na Plutona! Nie może być! — zawołał cezar gniewnie i dodał zaraz spokojniej:

— Czy jesteś tego zupełnie pewną?

— Oboje są Nazarejczykami! Jeżeli jednak chcesz się osobiście o tem przekonać, to zapytaj ich o to, a przekonasz się, że nie zaprą się swej wiary.

— Wiem o tem, gdyż chrześcijanie zwykli odważnie się do swej wiary przyznawać. Wczoraj upłynął roczny termin urzędowania Flawiusza Klemensa, jako konsula. Dotychczas nigdy lud rzymski nie widział patrycyusza, zawleczonego na arenę cyrkową. Sprawię mu takie widowisko, iż upamiętni się ono w historyi mego panowania na wieki.

To mówiąc, Domicyan wyprostował się z miną człowieka, zadowolonego z siebie; nagle jednak utkwił nieruchomo wzrok w głowie małżonki... Na lokach jej przysiadła — mucha. Opanowany swym nałogiem, cezar wyciągnął rękę, ażeby ją schwytać, przyczem potargał kunsztownie upiętą fryzurę Domicyi. Pierwszą jej myślą było ująć za szpilkę, którą zwykła była karać niezręczność swych niewolnic, ale Domicyan odwrócił się żwawo i swoim zwyczajem, wyrwawszy musze skrzydła, mruczał pod nosem:

— Zamęczę cię tak, jak od tej pory i Nazarejczyków męczyć będę.

To rzekłszy, wyszedł i polecił bezzwłocznie przywołać przed siebie Flawiusza Klemensa wraz z małżonką.

W godzinę później, wezwani, nie przypuszczając nawet, co ich czeka, stanęli przed obliczem tyrana.

— Pragnąłem z tobą chwilę porozmawiać — zwrócił się Domicyan z udaną grzecznością do patrycyusza. — Powiedz mi tylko, czy pozostałeś wierny ojczyźnie i bogom?

Słysząc te słowa, Domicela zbladła z lęku. Przed oczyma stanęła jej okrutna śmierć, grożąca mężowi. Ten jednak nie okazał ani śladu trwogi, lecz odpowiedział spokojnie:

— Tysiąckrotnie oddam moje życie z radością za ojczyznę i nigdy nie zaniedbałem obowiązków dobrego obywatela.

— Czy jesteś równie wierny bogom?

Flawiusz milczał chwilę i spojrzał przelotnie na Domicelę — przez wzgląd na nią, obawiał się śmierci. Wkrótce jednak wzniósł oczy w górę, prosząc myślą Przedwiecznego, o dar siły i wytrwania dla małżonki, poczem rzekł:

— Moim Bogiem jest Wszechmocny, który stworzył niebo i ziemię i Syn Boży, który dla naszego zbawienia stał się człowiekiem.

— Nie rozumiem cię! Wypowiedz się jaśniej, w co wierzysz? — odrzekł przyjaźnie na pozór Domicyan, który pragnął wydobyć z ust patrycyusza tylko jedno słowo, to słowo, które stanowiłoby dlań wyrok śmierci.

— Mógłbym się zaprzeć swej wiary, cezarze! Wiedz jednak: jestem chrześcijaninem! Wydaj więc bez dłuższych wybiegów rozkazy, ażebym chrztem krwi swojej mógł się obmyć z grzechów. Umrę, przebaczając ci zbrodnię...

Z wielką godnością wyrzekł Flawiusz te słowa. Nie porywał go bynajmniej zapał, ale wiara w Boga i świadomość, iż spełnia obowiązek, sprawiły, iż wydawał się zadowolonym, a nawet wesołym.

Przejmujący okrzyk wydarł się z piersi Domiceli. Naraz jej się zdało, iż widzi już swego męża w amfiteatrze, w szponach dzikich bestyi. Jakgdyby chcąc go własnem bronić ciałem, ujęła męża za rękę i zwróciła błagalnie łez pełne oczy ku Domicyi. Ale żona cezara zajęta była właśnie poprawianiem swych loków i nie zwracała uwagi na pełne bólu i troski spojrzenia nieszczęsnej patrycyuszki. Domicya zwróciła wtedy spojrzenie na cezara, ten jednak śledził w tej chwili z największą uwagą lot muchy.

— Nie martw się, najdroższa moja! Jeśli Bóg w do-

broci swej nas oboje skazał na męczeństwo, to chwalmy jego świętą wolę — rzekł Flawiusz, tuląc pieszczotliwie do piersi głowę małżonki, która, łkając, ujęła go za rękę i oblewała ją łzami.

— Jakto!? Więc i ty, Domicelo, także i ty wypierasz się bogów? — pytał Domicyan, przerywając swe zajęcie.

— Odpowiedz! — dodał zaraz natarczywie.

— Wiara mego męża jest także moją wiarą i jeżeli chcesz cezarze wspaniałomyślność mi okazać, to pozwól mi z nim razem umrzeć — odrzekła matrona. — Okrucieństwo ludzkie może nas oczywiście na tym świecie rozdzielić, ale w niebie, gdzie nie dosięga żadna złość ludzka, gdzie nie masz ziemskich tyranów, będziemy na wieki z sobą złączeni.

Okrutny uśmiech cezara był odpowiedzią na te słowa, wkrótce jednak błyski ponure zaigrały mu w oczach. Wyszedł na chwilę, a wróciwszy, rzekł, zwracając się do Flawiusza Klemensa:

— Los twój jest już rozstrzygnięty... Wyprzyj się swej wiary, a będziesz ocalony...

— Kto, jak ja, tysiące razy zaglądał śmierci w oczy na polach bitew, kto, jak ja, orły rzymskie do zwycięstwa prowadził, ten nie zawaha się, gdy przyjdzie mu umrzeć za swoją wiarę — odrzekł Flawiusz.

— A ty, Domicelo?

— Pragnę wraz z mężem umrzeć, chwaląc wyroki Boże.

— Nie, nie umrzesz, Domicelo... Ponieważ pragniesz śmierci, przeto będę umiał ukarać cię w inny sposób — oświadczył Domicyan i, wskazując drzwi, dodał:

— Uchodźcie czemprędzej i nie kalajcie dłużej mego domu waszą hańbą. Wstręt budzicie we mnie! Tak... Obawiam się nawet, że gromy Jupitera rozległyby się nademną, gdybym was dłużej miał tu przed oczyma.

Patrycyuszowska para opuściła progi Domicyana. Gdy jednak małżonkowie znaleźli się na dziedzińcu, przystąpił do Flawiusza centuryon gwardyi pretoryańskiej i polecił mu iść za sobą do wrót mamertyńskiego więzienia.

To rozstanie wydało się Domiceli okrutniejszem, niż śmierć sama, ale, pokrzepiona wiarą, poddała się zupełnie woli Opatrzności i tak dalece zapanowała nad sobą, że, ściskając na pożegnanie rękę męża, zdołała wyrzec:

— Bywaj zdrów, Flawiuszu! Do widzenia w raju!

— Tak... w raju! — powtórzył Flawiusz. — Gdzie będziemy już na wieki połączeni z Bogiem. Pociesz się przeto i raduj się, że dusza moja, obmyta we krwi Niepokalanego Baranka, zażywać będzie wiecznych rozkoszy. Tam — dodał, wskazując niebo — modlić się będę za ciebie i dzieci, tam oczekiwać cię będę...

To rzekłszy, udał się Flawiusz za centuryonem, podczas gdy stroskana jego małżonka udała się do Aniceta po pociechę i ukojenie.

Ten z bólem wysłuchał opowiadania o uwięzieniu patrycyusza i dziwił się tylko niezwykłej wspaniałomyślności, okazanej przez cezara Domiceli. Następnie Anicet począł pocieszać matronę, mówiąc jej o weselu niebiańskiego żywota, nie znającego żadnych cierpień, lecz stanowiącego błogie wytchnienie po troskach i smutkach ziemskiego padołu.

Jak kojący balsam spływały jego słowa na zranione serce Domiceli, wlewając do jej duszy siłę — wytrwania.

Floronia starała się wspólnie ze starcem pocieszyć patrycyuszkę. Szlachetne dziewczę chętnie ofiarowałoby własne życie dla uratowania Flawiusza. To też, biorąc w uściski patrycyuszkę, mówiła:

— Los twego męża będzie także naszym losem. Dlatego chwalmy Wszechmocnego i z hymnem dziękczynnym na ustach idźmy ku wrotom śmierci.

Wsparta na ramieniu dziewczęcia, Domicela długo zanosiła się cichym płaczem, aż wreszcie wróciła do domu, gdzie siostra jej męża, ani dzieci nie przeczuwały nawet, jak bliskiem jest męczeństwo ich brata i ojca. Zdecydowana popłakać wraz z niemi, udała się do bawialnego pokoju, gdzie dzieci swawoliły pod dozorem swej ciotki i zakomunikowała im smutną nowinę.

Dziewczę, które w kilka lat później zostało przez

Kościół w poczet świętych wliczone — wybuchnęło płaczem, lecz podniósłszy wkrótce głowę — zawołało:

— Niech pochwalony będzie Bóg, który głowę brata mego uznał za godną męczeńskiej korony!

Nadziemska radość rozbłysła przy tych słowach na jej obliczu i uśmiech niebiański okrasił jej usta. Chłopcy natomiast wybuchnęli głośnem łkaniem, rozlegającem się w tym cichym jeszcze przed chwilą domu, smutnem echem.

W trzy dni później zawiadomiono Domicelę, siostrzenicę cezara, o śmierci męczeńskiej jej męża, dodając zarazem, że Domicyan obejmuje opiekę nad dziećmi, ją zaś samą oraz młodą Domicelę skazuje na wygnanie na dwie odludne wyspy, leżące na morzu Tyrenejskiem.

Żona męczennika zajęta była jeszcze przygotowaniami do podróży, gdy kazano jej się z dziećmi pożegnać.

Przeniknięta żywą wiarą, zawołała wtedy:

— O Jezu, Zbawco litościwy, dobroć Twoja jest większa od wszelkiej podłości ludzkiej! Nie możesz nie wysłuchać modłów męczennika i matki niewinnych dzieci, wierzę przeto, że zwrócone mi będą dziatki moje!

Raz jeszcze powiodła spojrzeniem po mieszkaniu, do którego wstąpiła kiedyś jako szczęśliwa małżonka, a które opuszczała obecnie jako matka siłą nieubłaganego wyroku pozbawiona dzieci.

Milcząc, podała rękę otaczającym ją i tłumiącym łkania niewolnikom, a gdy miała już wsiadać do oczekującego na nią pojazdu, jakiś mężczyzna z twarzą, zasłoniętą końcem swej tuniki, przystąpił do niej i, wtykając jej chustkę w rękę, rzekł:

— Śmierć jego była pełna chwały... Zmarł, sławiąc wyroki Boże...

Domicela spojrzała na podaną jej chustkę, a widząc na niej krwawe plamy, przywarła do tej relikwii ustami. Zwróciwszy następnie wzrok ku wysłańcowi — rozpoznała w nim Parysa.

— Niechaj cię Bóg błogosławi, mężu szlachetny! — rzekła, spoglądając z wdzięcznością na gladyatora, poczem dodała z cicha:

— Ciało jego znajduje się na Scalae Gemoniae

i tej jeszcze nocy, gdy już będę daleko od Rzymu, wrzucone będzie do Tybru...

— Tej nocy sprawimy Flawiuszowi chrześcijański pogrzeb, jutro zaś Parysa nie będzie już wśród żyjących... — oświadczył gladyator i oddalił się szybko.

W tej chwili pojazd ruszył w drogę, unosząc wraz z sobą dwie wygnanki.

XII.

Pogrzeb w katakumbach.

Parys nie zapomniał o przyrzeczeniu, uczynionem Domiceli; naradzał się przeto z duchowieństwem chrześcijańskiem nad tem, w jaki sposób plan ten należy wykonać. Ponieważ Sekstus wykupił go od lanisty, Parys nie był już skrępowany służbą, pełnioną w amfiteatrze, mógł więc działać swobodnie.

Instytucya gladyatorów, czysto rzymskiego pochodzenia, była hańbą narodu, który szczycił się tak wielkimi postępami swej cywilizacyi. Barbarzyński zwyczaj dawania ludowi krwawych widowisk zwolna uzyskiwał sobie prawo obywatelstwa. Początkowo walki gladyatorów odbywały się tylko z okazyi pogrzebów jakichś znakomitych osób, później jednak stały się — modą. Skarb państwowy łożył na te widowiska, a jego organizatorzy musieli się starać, ażeby krwawa kąpiel odpowiadała gustowi tłumu. Wraz z mnożeniem się liczby gladyatorów, powstał specyalny przemysł gladyatorski, polegający na kształceniu i sprzedawaniu lub wynajmowaniu gladyatorów przez poszczególnych przedsiębiorców. Do igrzysk poczęto przykładać stopniowo tak wielką wagę, iż każdy cezar starał się pod względem przepychu i kosztowności igrzysk przewyższyć swych poprzedników. Historya podaje naprzykład, iż cezar Trajan urządzał igrzyska, które trwały nie mniej, jak cztery miesiące i w których brało udział po dziesięć tysięcy gladyatorów.

Nieszczęśliwcy ci byli zazwyczaj jeńcami wojennymi, często zaś niewolnikami poszczególnych osobistości, różnych stanów, którym sprzedawali się dobrowolnie, ażeby zyskami, osiągniętymi w ten sposób, opłacić koszta swych lichych upodobań i skłonności.

Kapua i Rawenna posiadały szkoły, kształcące gladyatorów, a fechmistrza lub, ściślej mówiąc, przedsiębiorcę, który ich werbował, zwano lanistą. Ten miał nieograniczoną nad gladyatorami władzę. Mógł nimi handlować, jak mu się żywnie podobało. Nie trudno też było Sekstusowi wykupić Parysa za wysoką sumę. Przyszło to mu tem łatwiej, że lanista spostrzegł, iż Parys od pewnego czasu nie okazywał w toku walk dawniejszej zręczności. Obawiając się, że może Parysa stracić wskutek choroby, której przypisywał jego ociężałość w walkach, był nawet zadowolony, iż może się go pozbyć za wysoką zapłatę.

Sekstus Sabinus, stosownie do panujących ówcześnie zwyczajów, ogłosił Parysa wobec pretora za wolnego obywatela. Formalność, towarzysząca temu aktowi, polegała na tem, iż wyzwalający ujmował prawicę niewolnika, odwracał go i dawał mu policzek, mówiąc: „Chcę, aby ten człowiek wolnym był“. Pretor kładł wówczas kółko z kości słoniowej na głowę niewolnika i ogłaszał w krótkich słowach, iż jest już wyzwolony. Następnie liktor uderzał dwukrotnie w głowę niewolnika, obwołując go potem jako wyzwoleńca.

Po dopełnieniu tej formalności, Parys udał się do domu patrycyusza. Udawał się on codziennie stamtąd do Aniceta, który go o zasadach wiary chrześcijańskiej pouczał. Od Aniceta też dowiedział się Parys o skazaniu na śmierć Flawiusza Klemensa, a jako byłemu gladyatorowi, nie trudno mu było znaleść się na miejscu stracenia i unieść stamtąd krwią przesiąkniętą chustkę patrycyusza, oddaną następnie Domiceli.

Umówiwszy się z Anicetem co do sposobu zdobycia ciała męczennika, Parys udał się do swego pana. Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi swemu, Sekstus jeden jedyny raz tylko odwiedził przez ten czas świątynię Westy. Spędzał on czas na bezustannem rozmyślaniu. Cud, któ-

rego był świadkiem, stał mu wciąż przed oczyma. W duszy jego światło wiary pasowało się z nałogami, nabytymi przez sposób wychowania.

W chwili takiego właśnie zamyślenia zjawił się przed Sekstusem Parys i rzekł:

— Tej nocy opuszczę willę, a gdybym rankiem nie zjawił się, to wiedz, że albo nie żyję, albo też znajduję się w więzieniu.

— Dokądże chcesz iść i dlaczego mówisz mi o tem? — zapytał z żywem zaciekawieniem patrycyusz.

Parys zwlekał z odpowiedzią. Nie miał odwagi do wyjawienia całego planu. Przypomniawszy sobie jednak, że Sekstus był przyjacielem Flawiusza, oraz, że współczuł bardzo jego męczeństwu, opowiedział mu o przyrzeczeniu, danem Domiceli i zwierzył się z powziętego planu wykradzenia zwłok patrycyusza.

— Towarzyszyć ci będę i w miarę sił dopomagać w tej wyprawie, aby się tem pewniej zamiar twój udał — oświadczył Sekstus.

Daremnie Parys namawiał Sekstusa, aby nie narażał swego życia; daremnie przedstawiał mu, iż w razie niepowodzenia Domicyan bezlitosną wymierzy im karę. Chęć oddania przyjacielowi ostatniej posługi opanowała go tak dalece, iż nie widział zupełnie niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Znajdował się zresztą w stanie duchowego podniecenia, lekceważącego sobie wszystkie trudności i przeszkody.

Gdy noc zapadła, Sekstus i Parys opuścili Viminalis, zmierzając szybkim krokiem ku rzymskiemu Forum. Za nimi postępowali w pewnem oddaleniu dwaj niewolnicy, niosący lektykę. Noc była pochmurna. Na niebie nie było widać żadnej gwiazdy. Głęboka cisza panowała dokoła Forum, tak, iż idący słyszeli tylko odgłos własnych kroków. To też pospieszali coraz bardziej, wiedząc, iż ciało, które było w ciągu dnia wystawione na Scalae Gemoniae na widok publiczny, w dwie godziny po północy miało być wrzucone do Tybru.

Przedsięwzięcie ich było w najwyższym stopniu niebezpieczne, jakkolwiek Anicet upewnił Parysa, iż pełniący straż pretoryanin, mający matkę chrześcijankę,

nie będzie przeszkadzał zabraniu zwłok, przed zwierzchnikami zaś tłómaczyć się będzie, iż zwłoki zabrane zostały siłą. Ale obiecanki żołnierza nie były zbyt pewne. Mogło się też zdarzyć, że kto inny postawiony będzie na straży i stawi w takim razie bezwątpienia opór. Licząc się z taką możliwością, Sekstus zaopatrzył się w pieniądze, celem przekupienia żołnierza, jakkolwiek Parys był zdania, że można, nie czyniąc żołnierzowi wielkiej krzywdy, uniemożliwić mu zrobienie alarmu.

Minąwszy *Via sacra,* uczestnicy niebezpiecznej wyprawy znaleźli się wobec murów mamertyńskiego więzienia. Wejście do Scalae Gemoniae, gdzie składano przed wrzuceniem do Tybru trupy ofiar igrzysk cyrkowych, było stale otwarte. Tam też znajdowało się, rozciągnięte na ziemi, a poszarpane kłami dzikich zwierząt, ciało Flawiusza. Płonąca pochodnia rzucała migotliwe światło na ten smutny obraz, odbijając się w halabardzie pretoryańskiego strażnika. Stał on, odwrócony tyłem, w pewnem oddaleniu od ciała.

— Pozostań tu — rzekł Parys do patrycyusza, wstępując na schody. Znalazłszy się zaś wyżej, zbliżył się do pretoryanina, pytając z cicha:

— Czy ty jesteś synem Praksedesa?

— Tak jest, ale nie trać chwili czasu! Już jest późno... — odrzekł żołnierz i odrzuciwszy halabardę, wziął z kąta powróz i wełnianą płachtę.

Parys związał go wtedy powrozem, płachtą zatkał mu usta i wziąwszy następnie trupa na ręce, zbiegł szybko do Sekstusa, z którym wkrótce dotarli szczęśliwie do lektyki.

Głęboko wzruszony tą smutną sceną, patrycyusz polecił niewolnikom wracać do Viminalis. Parys tymczasem ułożył ciało Flawiusza w lektyce, poczem, wziąwszy ją wraz z Sekstusem na ramiona, oddalili się szybko z tego niebezpiecznego miejsca.

Minąwszy Forum, zwrócili się w kierunku *Porta Capena.* Zanim jednak tam dotarli — zatrzymali się chwilę. W oddali dostrzegli pochodnie i liczne grupy osób, zbierające się przed pewnym domem. Parys, pozostawiwszy Sekstusa przy lektyce, pobiegł zamieszać się

w tłum, aby zbadać powód tego ożywienia się ruchu. Dowiedział się wkrótce, iż przyczyną zbiegowiska była zwykła w Rzymie ceremonia weselna. Właśnie świeżo zaślubiona oblubienica udawała się do domu swego męża. Nie chcąc przeciskać się przez tłum z lektyką, Parys postanowił przeczekać, tembardziej, że ten okres ceremonii zazwyczaj rychło się kończył.

Uwieńczona świeżymi kwiatami para, ująwszy się za ręce, stała przed progiem weselnego domu. Obok pięciu młodzieńców przyświecało pochodniami, za nimi zaś stały niewolnice, z których jedna trzymała kądziel, druga — wrzeciono, trzecia — wiązkę lnu, chłopiec zaś, znajdujący się w pobliżu, niósł naczynie okrągłe z różnymi przyborami, potrzebnymi do toalety panny młodej. Uroczystości tej towarzyły, śpiewane przez krewnych i wygrywane na flecie, hymny weselne.

Gdy flet umilkł, panna młoda namaściła próg domu wilczym łojem, aby wypędzić zeń złe duchy. Wkroczywszy następnie do przedsionka, przyjęła od najbliższych krewnych męża klucz, który sobie zaraz zawiesiła u boku, na znak, iż od tej chwili dom będzie jej jedyną troską. Wreszcie oblubienica wraz z mężem zniknęła w atrium... Pochodnie zagasły, śpiewy umilkły i goście weselni rozeszli się do domów.

— Dla nich radość pod girlandami kwiatów i wesołe życie, dla mnie... śmierć! — rzekł Parys z westchnieniem, wracając do oczekującego nań patrycyusza.

— Na Wenus! Akurat tę noc musieli sobie ci głupcy wybrać na wesele, ażeby nas przyprawić o stratę czasu! — zawołał zniecierpliwiony Sekstus.

Wziąwszy znów lektykę na ramiona i wypoczywając od czasu do czasu, obadwaj nasi znajomi żwawo przebiegali ulice. Ostatnio wypoczęli w tym punkcie drogi appijskiej, gdzie, według podania, św. Piotr, uszedłszy z więzienia, ujrzał Chrystusa, obwieszczającego mu na zapytanie: „dokąd idziesz, Panie?“, iż idzie dać się ponownie ukrzyżować, co św. Piotr zrozumiał jako nakaz nie uchylania swej głowy od męczeńskiej korony.

W tem właśnie miejscu, gdzie dziś znajduje się kaplica, Sekstus i Parys postawili lektykę, poczem gladya-

tor wybiegł na środek ulicy i począł się wśród ciemności rozglądać.

— Wkrótce osiągniemy cel naszej wędrówki — rzekł, wróciwszy.

— Błogosławiona niech będzie Fortuna! Albowiem siły mnie już opuszczają i dłużej iśćbym już nie mógł.

— Jeszcze trochę cierpliwości, a wypoczniemy.

— Więc pospieszajmy — odrzekł Sekstus i znów, wzdychając, uniósł lektykę.

Tam, gdzie droga rozdzielała się na dwa ramiona, z których jedno zbiegało się z *Via Ardeatina*, drugie zaś stanowiło przedłużenie drogi appijskiej, ujrzeli w pewnem oddaleniu mały domek. Była to posiadłość wdowy po pewnym senatorze rzymskim, prowadzącej tam wraz z kilku niewolnikami całkiem odosobniony żywot. Ku temu domkowi właśnie obadwaj zwrócili swe kroki, a gdy wkrótce znaleźli się przed furtką willi, zjawił się, oczekujący tam już na nich niewolnik i przystąpiwszy do nich, rzekł:

— Bracia są już oddawna zebrani.

— Zastąp w niesieniu lektyki mego towarzysza — wydał polecenie gladyator, gdy się zaś to stało, wkroczył do atrium, a za nim wszedł Sekstus.

Tu Parys wziął na ręce ciało Flawiusza, a zmierzając ku drzwiom, prowadzącym na nieuprawne pole, zwrócił się do patrycyusza, mówiąc:

— Anicet polecił mi zwłoki Klemensa pogrzebać. Jeśli chcesz mi towarzyszyć — dobrze, jeżeli nie, to oczekuj na mnie tutaj. Wrócę tu natychmiast, skoro tylko zwłoki męczennika spoczną w poświęcanej ziemi.

— Idę wraz z tobą — odrzekł Sekstus.

Obadwaj więc przeszli skrawek pola, stanowiącego niegdyś przepiękny ogród, teraz zaś zupełnie zniszczony i zarosły przez ciernie i osty. Gdy zbliżyli się do końca alei, obsadzonej po obu stronach bukami, ujrzeli statuę, wyobrażającą senatora w postawie siedzącej, przybranego w togę, zwaną „toga praetexta“. U stóp statuy spoczywał duży, jakby przypadkowo tu rzucony, kamień.

Towarzyszący im niewolnik klasnął w dłonie i na znak ten ukazała się z poza statuy niewolnica, przy po-

mocy której kamień ten, wydający się lżejszym na pozór, ruszono z miejsca. Pod kamieniem ukazał się mały otwór, przez który można się było przy pomocy drabiny przedostać do podziemnego pomieszczenia.

Jeden z niewolników, zapaliwszy pochodnię, podał ją Sekstusowi i, wskazując na wejście do podziemi, rzekł:

— Schodź na dół i przyświecaj pochodnią Parysowi.

Sekstus się zawahał.

Nie miał on najmniejszej chęci zagłębić się w te ciemności, a to tem więcej, że z otworu buchała woń zgnilizny, która jemu, przywykłemu do miłych, kadzidlanych zapachów, wydawała się wprost nieznośną.

Po chwilowem niezdecydowaniu, Sekstus, przezwyciężając się, wstąpił jednak na drabinę, tak przyświecając pochodnią, iż Parys ze swoim drogim ciężarem mógł się udać za nim. Drabina miała niewiele stopni i wiodła do niskiego, ciasnego korytarza, którego ściany pokryte były czerwonym tufem wulkanicznym i saletrą. Wydzielały one wilgoć, powodującą nieznośny zaduch. Od tego korytarza rozbiegały się inne, krzyżując się ze sobą w tysiącznych kierunkach, tak, iż można było w tym labiryncie zabłądzić. Parysowi jednak, odwiedzającemu je często wraz z Anicetem, nie trudno było się tu oryentować.

Sekstus domyślił się zaraz, że znalazł się w kopalni, oddawna nieużywanej, o istnieniu której nikt nie wiedział, oprócz właścicieli willi, którzy, nie będąc w stanie wybudować sobie grobowca rodzinnego, zwykli w takich miejscach grzebać swoich członków.

Patrycyusz z trudem chwytał w płuca powietrze, mimo to jednak, przy czerwonawem świetle pochodni, której dym wskutek braku powietrza zgęszczał się coraz bardziej, kroczył żwawo naprzód, rozglądając się z żywem zaciekawieniem dookoła. Wreszcie spostrzegł w oddali światło, a jednocześnie głębokie tony pieśni chrześcijańskiej uderzyły jego uszy.

Serce patrycyusza poczęło bić żywiej... Kto wie? Może w chórze słyszanych przezeń głosów znajduje się także głos Floronii?...

Przyspieszył kroku i wkrótce znalazł się u wyjścia

korytarza, skąd roztoczył się przed jego oczyma osobliwy widok. Miał przed oczyma wykopaną w gruncie wulkanicznym niską salę, której ściany, mimo pociągnięcia ich białem wapnem, pożółkły wskutek wilgoci. Girlandy kwiatów i liści stanowiły całkowitą jej ozdobę. Wprost miejsca, gdzie znajdował się Sekstus, w przeciwległym końcu sali, wznosił się, ozdobiony kwiatami i liśćmi, ołtarz, oświetlony dwoma srebrnymi kandelabrami, w pośrodku których widniał krzyż drewniany. Po jednej stronie tej skromnej świątyni stali mężczyźni, po drugiej — kobiety, na czele zaś pobożnych siedział na kamiennym fotelu znany nam już z mieszkania Aniceta starzec, nazywany papieżem Klemensem.

Bystry wzrok patrycyusza natychmiast w ciżbie modlących się kobiet odnalazł Floronię, ale Parys odsunął go łagodnie na stronę, wkroczył z ciałem męczennika do wnętrza sali i ułożył je na rozciągniętym w tym celu na ziemi grobowym całunie. Z głęboką czcią spoglądali chrześcijanie na krwawe szczątki męczennika, do których przystąpił wkrótce Anicet, ubrany w szaty liturgiczne, okadził je i odmówił następnie drżącym głosem modlitwę, powtarzaną chórem przez wszystkich. Po ukończeniu modlitwy, dwie matrony spowiły ciało w całun, dwaj zaś mężczyźni ponieśli je w głąb jednego z kurytarzy, poczem za nimi ruszyli procesyą wierni z papieżem na czele.

W połowie wysokości ściany uczyniony był długi, niski otwór. Tam wsunięto zwłoki, składając na nich dwie gałęzie palmowe, znak męczeństwa, u stóp zaś nieboszczyka postawiono lampę. Wtedy przystąpili do grobu, poprzedzani przez papieża, wierni, i każdy z nich, rzucając na zmarłego garstkę ziemi, mówił: „Śpij w pokoju aż do dnia zmartwychwstania“.

Jeden Sekstus nie ważył się na razie naśladować wiernych, ale pragnąc pożegnać się z przyjacielem, przezwyciężył swą niechęć i, rzucając do wnętrza grobu garść ziemi, powiedział: „Żegnaj!“

Kamień, dostosowany do wielkości otworu, zawarł wreszcie grób rzymskiego bohatera.

Wierni wrócili w milczeniu do podziemnego ora-

torium, a gdy Anicet dał każdemu z obecnych na pamiątkę po kawałku zakrwawionej tuniki męczennika, papież Klemens zasiadł w fotelu, aby wypowiedzieć do zgromadzonych przemowę.

Słowa jego były proste, ale pełne niebiańskiej wymowy. Wierni przysłuchiwali się im z najpilniejszą uwagą, oprócz jednego tylko Aniceta, który spoglądał pełen troski na patrycyusza i ganił w duchu Parysa, iż go tu przyprowadził.

Gdy papież umilkł, wierni znów padli na kolana i poczęli śpiewać. Głębokie, łagodne tony pieśni wtargnęły do duszy Sekstusa tem łatwiej, iż przekonywująca mowa najwyższego pasterza chrześcijańskiego, którą słyszał poprzednio, uczyniła go wrażliwszym na światło wiary chrześcijańskiej.

Wkrótce potem wierni opuścili parami miejsce zgromadzeń i rozprószyli się w różnych kierunkach. Sekstus, który aby uniknąć zwrócenia uwagi, zamieszał się wśród obecnych, opuścił podziemia ostatni. Znalazłszy się na zewnątrz, wciągnął w piersi z rozkoszą świeże, nocne powietrze i z lekkomyślnością epikurejczyka, nie bacząc na przeżyte poważne momenty i szydząc w duchu z całej tej nocnej awantury i z Chrystusa, zmierzał ku willi wdowiej, którą wraz z Parysem opuścił. Chcąc się nieco rozerwać, starał się zawiązać z Parysem wesołą rozmowę. Daremnie jednak usiłował odepchnąć od siebie miły obraz Floronii, stojący w jego wyobraźni. Zjawiał się on ustawicznie i pociągał go ku religii, której pojąć jeszcze nie chciał, ale którą pogardzać już nie mógł.

Nad świtem dopiero Sekstus znalazł się wraz z Parysem w ogrodach swojej willi.

XIII.

Szał prześladowczy cezara.

Domicya, zadowolona ze skazania na śmierć konsula, Flawiusza Klemensa, i z wygnania jego małżonki, którą znienawidziła z powodu utrzymywania przez nią przyjaznych stosunków z Kornelią — poleciła westalkę bezustannie śledzić. Dowiedziawszy się zaś, że Sekstus Sabinus stale odwiedza zamek Numy, przeniosła swą nienawiść na niego, podszczuwając przeciw młodemu patrycyuszowi i tak źle usposobionego ku niemu Domicyana.

Cezar z każdym dniem stawał się posępniejszy i okrutniejszy. Także jego uczucia miłosne, żywione ku westalce, zamieniły się rychło w nienawiść. Mimo swego despotyzmu nie ważył się jednak wydać dekretu na Kornelię. Wiedział on, że niekiedy jedna kropla może przepełnić naczynie i obawiał się nie bezpodstawnie, żeby lud rzymski nie podniósł buntu przeciw niemu i nie pomścił westalki. Ufał wprawdzie, jak zwykle, swemu sprytowi, ale i ten, bez jakiejś sprzyjającej okoliczności, nic nie był w stanie zdziałać przeciw niewinnej Kornelii, odpychającej stale dumną wzgardą zalecanki cezara.

Nieukontentowanie cezara miało jeszcze inny powód. Oto Domicyan był przesądny, a jeden z współczesnych przepowiadaczy przyszłości, zapytany przez cezara o datę jego śmierci, przepowiedział mu zgon rychły i straszny. Ta przepowiednia sprawiła, iż cezar stał się wprost groźnym dla swego otoczenia, w stosunku zaś do poddanych przebrał wszelką miarę okrucieństw.

Senat stał się zaledwie cieniem dawnego senatu. Cezar panował siłą oręża, którym rozporządzał. Skinienia jego czekała wszak każdej chwili 350-tysięczna armia, a gwardya pretoryańska była mu całkowicie oddana. Lud rzymski zabawiano igrzyskami. Pewnych pupilów swoich cezar obsypywał ogromnemi bogactwy, ażeby ich do swej osoby przywiązać. Niskie, poziome instynkta zatruwały wszystkie warstwy społeczne, niwecząc resztki moralnego poczucia. Zezwierzęceni wyzwoleńcy i znikcze-

mniali denuncyanci sprzyjali we wszelki sposób tyrańskim rządom.

Rzym, stolica ówczesnego świata, był zbiorowiskiem wszelkich narodowości. Syryjczycy, Grecy, Egipcyanie uprawiali tu filozofię, krzewili zamiłowanie do zbytku i marnotrawstwa, lub też występowali w roli kapłanów przeróżnych sekt pogańskich. Największe zaś zło wnosili niewolnicy, spędzani z różnych stron świata: wszedłszy bowiem w stosunki z młodzieżą najwykwintniejszych domów, demoralizowali ją złymi obyczajami swymi i szkodliwymi podszeptami.

Stosunki tego rodzaju utrudniały, rzecz oczywista, rozwój chrześcijaństwa; mimo to jednak nie brak było dowodów szalonej odwagi i wielkiego samozaparcia się t. zw. Nazarejczyków. Świeżo naprzykład dokonane wykradzenie ciała Flawiusza doprowadziło cezara do wściekłości. Pragnął on się na kimś pomścić, a że sprawców tego czynu nie wykryto, więc ofiarą gniewu Domicyana miał paść ten, którego cezar najbardziej w danej chwili nienawidził, mianowicie — Sekstus...

Cezar wydał rozkaz osadzenia Sekstusa w więzieniu. Była to samowola, ale na samowolę mógł sobie pozwolić — despota. W razie potrzeby nie trudno było wynaleźć jakiś pretekst, ba! — można było nawet postawić fałszywych świadków i polecić im oskarżyć Sekstusa o zdradę stanu, o lekceważące wyrażanie się o Domicyanie, a wreszcie o niezłożenie pokłonu — portretowi cezara...

Świtać zaledwie zaczęło, gdy Domicyan pewnego razu polecił centuryonowi gwardyi pretoryańskiej, ażeby najbliższej nocy uwięził patrycyusza. Cezar wydał ten rozkaz w sali, gdzie oddawał się zwykłym swoim zajęciom, nie zważając nawet na obecność niewolnika, który właśnie napełniał trójnóg świeżem kadzidłem.

Niewolnik ten należał do nowonawróconych przez Aniceta chrześcijan; widział nawet Sekstusa, w czasie jego choroby, w domu Aniceta, postanowił przeto zagrożonego uwięzieniem ostrzedz. Nie chcąc się jednak ze względu na ostrożność, bezpośrednio do Sekstusa udać, odwiedził Aniceta, a ponieważ tego w domu nie zastał,

więc poprosił Floronię, aby młodego patrycyusza co rychlej o grożącem mu niebezpieczeństwie zawiadomiła.

Dziewczę zrozpaczone, bezradne, w najwyższym niepokoju oczekiwało na powrót Aniceta, wylewając gorzkie łzy na myśl, że może już się nie uda uratować od śmierci nieszczęsnego Sekstusa.

— Gdyby przynajmniej — myślała — Sekstus był chrześcijaninem, to miałaby przynajmniej nadzieję, że zobaczy się z nim na tamtym świecie, ale towarzysz jej lat dziecięcych był przecież poganinem...

Modliła się więc o dobrą radę, jak możnaby było ocalić życie przyjaciela.

Naraz łagodne, dziewczęce jej oblicze nabrało wyrazu męskiego zdecydowania. Zerwała się z miejsca i rzekła z mocą do siebie:

— Anicet nie rychło wróci, a jego opóźnienie może zadecydować o śmierci człowieka... Sekstus przed wieczorem nie będzie uwięziony, a zatem jest jeszcze pora go ostrzedz... Ukryty w podziemiach przed prześladowcami, może on słuchać kazań naszego papieża Klemensa, a gdyby nawet podziemia nie uchroniły go od śmierci, to jednak być może, iż umrze jako chrześcijanin...

To rzekłszy, wybiegła z domu, zamykając drzwi za sobą. Nagle zastanowiła się... Jakiś głos wewnętrzny radził jej, aby nie udawała się sama do znanego z pustoty młodzieńca. Niepewna, co ma czynić, zawahała się chwilę, lecz wkrótce, uśmiechnąwszy się, przyspieszyła kroku, udając się przez pustą, zaniedbaną ulicę, ku małej, nędznej chacie.

Gdy Floronia zapukała, wnet drzwi stanęły otworem i ukazała się w progu poważna, chrześcijańska matrona. Dziewczę powiadomiło ją rychło o swoim planie i wkrótce Prakseda, gdyż takie było jej imię, otuliwszy się w ciemną, wełnianą tunikę, noszoną przez sfery najuboższe, udała się wraz z Floronią w drogę, gdyż sama nie wiedziała, gdzie znajdują się ogrody Sekstusa.

Floronii serce biło w piersiach, jak młotem, z obawy, iż mogą przybyć na miejsce za późno. Idąc tak, bez zwracania na przechodniów uwagi, obie niewiasty na-

tknęły się naraz na przechodzący ulicą liczny kondukt pogrzebowy.

To odprowadzano, niesione na stos, zwłoki pewnego senatora.

Tego rodzaju pogrzeby były zazwyczaj tłumne, gdyż lud rzymski był na nie specyalnie przez heroldów publicznie zapraszany. Według zwyczaju, po siedmiodniowem wystawieniu ciała w domu na widok publiczny, składano je wieczorem na stosie, aby je dnia następnego spalić.

Floronia z Praksedą przyglądały się z niecierpliwością konduktowi, który zagradzał im drogę.

Zwłoki senatora, ubrane w uroczystą togę, leżały w trumnie, podobnej z wyglądu do łoża. Za trumną niesiono figury, wyobrażające przodków zmarłego, oraz dary, otrzymane przez niego za życia. Trumnę otaczali, sądząc ze strojów, aktorzy, tancerze, a wreszcie płaczki, czyli kobiety wynajęte do... opłakiwania zgonu senatora. Łzy swoje zbierały one w naczynia *lacrimatorium* zwane. Płaczki te znajdowały się najbliżej trumny. Z chwilą, gdy przerywały swe szlochy, zaczynały natychmiast przy towarzyszeniu licznych fletów, zawodzić pieśni żałobne.

Kondukt żałobny poprzedzali wyzwoleńcy, którzy zmarłemu senatorowi obdarowanie ich wolnością zawdzięczali, za nimi zaś postępowali liktorzy z halabardami, opuszczonemi w dół na znak żałoby. Na końcu szli, z głowami smutnie zwieszonemi i z rękami skrzyżowanemi na piersiach, krewni i przyjaciele zmarłego.

W najwyższym niepokoju oczekiwała Floronia końca tego pochodu. To też okrzyk rozradowania wyrwał jej się z ust mimowolnie, gdy wśród patrycyuszów, idących za trumną, dostrzegła Sekstusa, którego głowa, strojna w bujne loki, wyrastała ponad tłum.

Floronia wspięła się na palcach, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Napróżno! Sekstus, nie przeczuwając nawet jej obecności, przeszedł mimo, nie pozostawało więc Floronii nic innego, jak tylko przedrzeć się przez tłum ku niemu.

Tymczasem pochód się zatrzymał przed trybuną, na którą wszedł mówca w celu wygłoszenia mowy po-

grzebowej. Gdy ten dawał pełne ujście swym krasomówczym zdolnościom, uczestnicy pogrzebu odsunęli się przeważnie od trumny, dzięki czemu nie trudno było Floronii dotrzeć do patrycyusza, który zdawał się być zasłuchanym w przemowie.

Nagle Sekstus uczuł, iż ktoś go pociągnął za togę. Odwrócił się i patrzał oniemiały ze zdumienia i radości, na Floronię, stojącą obok z policzkami, zarumienionemi wskutek pospiechu, i szepczącą doń z cicha:

— Pójdź za mną, patrycyuszu! Muszę z tobą pomówić...

Zdziwiony jeszcze bardziej tem zaproszeniem, Sekstus, nie słuchając już dalszych wywodów mowcy, udał się za Floronią, przyznając w duchu racyę tym, którzy twierdzą, iż serce najmądrzejszej nawet i najcnotliwszej niewiasty jest zmienne i słabe. Tysiąc myśli, uwłaczających cnocie i niewinności Floronii, w jednym momencie przebiegło mu przez głowę.

Podobnemi myślami zajęty, szedł on za pospieszającą żwawo naprzód Floronią, aż do przedsionka, pewnego napoły zrujnowanego domu. Wszedłszy tu, zatrzymał się niezdecydowany. W tejże właśnie chwili ukazała się w progu Prakseda i zaprosiła go do wnętrza domu, gdzie już oczekiwała nań Floronia.

— Patrycyuszu! — zaczęło dziewczę z pospiechem. — Życie twoje jest w niebezpieczeństwie. Tej nocy masz być z rozkazu cezara uwięziony i właśnie szłam do ciebie, aby cię ostrzedz, gdy szczęście chciało, żem się z tobą spotkała.

Groźne niebezpieczeństwo nie przeraziło Sekstusa; myśl natomiast, że Floronia z litości tylko i z chrześcijańskiego poczucia miłości bliźniego starała się go przed niem uchronić, napełniła Sekstusa goryczą. W rozczarowaniu tem nie znalazł dla niej nawet słowa podzięki, lecz, jak odrętwiały, patrzał nieruchomo przed siebie.

— Czy nie zrozumiałeś mnie, Sekstusie? Czy nie wiesz, że z więzienia poprowadzą cię może na stracenie?— zawołała Floronia, zaskoczona i zasmucona jednocześnie obojętnością patrycyusza.

— Więc cóż?... Nie będę się z tego powodu odda-

wał rozpaczy! Cezar dowiedział się zapewne, że pomagałem wykraść zwłoki Flawiusza i ukarze mnie za to śmiercią. Uprzedzę go w tem jednak i uchronię się w ten sposób od hańby. Dzięki ci, Floronio, za to, coś dla mnie uczyniła! Przyjmij moje ostatnie pożegnanie... Ja... wracam do domu...

To mówiąc, Sekstus, nie patrząc nawet na Floronię, zbliżał się wolnym krokiem ku drzwiom.

Floronia szła w ślad za nim blada i drżąca, aż nagle, chwytając go za togę, zawołała:

— W tej chwili gwardya pretoryańska znajduje się już pod twymi ogrodami!

— Nie obawiam się jej wcale — odrzekł patrycyusz pogardliwie. — Cezar może zawładnąć mem ciałem i może popioły moje rozrzucić na wszystkie cztery strony świata, ale nie doczeka się tej radości, aby ręka kata kres kładła memu życiu! Albo zabiją mnie, na mój rozkaz, właśni moi niewolnicy, albo... sam sobie żyły otworzę...

Floronia wydała okrzyk pełen rozpaczy i, składając ręce, jak do modlitwy, poczęła wołać błagalnie:

— Sekstusie! Na przyjaźń, która nas w latach dziecięcych łączyła, nie czyń tego, co mówisz! Nie dopuść do tego, abym cię na tamtym świecie musiała widzieć w liczbie potępionych... Nie twoja wola cię na świat wydała, nie możesz więc własnowolnie świata tego opuszczać. Nić naszego życia spoczywa w ręku Boga i On tylko jeden ma prawo ją przerwać...

Ton rozpaczy i prośby, w jakim były rzucone te słowa, dotarł do głębi serca Sekstusa. Myśl, że to może nie samo współczucie wyciskało Floronii łzy z oczu, ta myśl sprawiła, iż Sekstusowi uśmiechnęło się z powrotem życie i, że wzdychając głęboko, odrzekł:

— Nie mogę ujść losowi swemu.. Ramię cezara rozciąga się nad całą ziemią i gdziekolwiek się schronię, wszędzie mnie dosięgnie. Nie pozostaje mi nic innego, jak uledz losowi...

— Mógłbyś się uratować, ukrywając się tak długo dopóki gniew nie opuści cezara.

— Gdzież więc mógłbym się ukryć?...

— Willa, gdzie Flawiusz został pochowany, jest własnością Tulioli, wdowy po senatorze Tuliuszu. Służyła ona już nieraz braciom naszym, jako miejsce ucieczki. Jeśli chcesz, mogę cię tam zaprowadzić. Tuliola przyjmie cię z radością, wysłańcy zaś Domicyana w żadnym razie nie zapędzą się tam w poszukiwaniu za tobą.

Myśl spędzenia pewnego okresu czasu w wilgotnych podziemiach przestraszyła Sekstusa, który przekładał śmierć ponad takie życie. Już miał propozycyę odrzucić, gdy, spojrzawszy na zasmucone oblicze Floronii, zmienił postanowienie i wyraził swą zgodę.

— Czy siedząc samotnie w tym ciemnym grobie będę mógł cię chociaż ujrzeć czasami? — zapytał.

— Będziesz mnie widział zawsze, ile razy tylko bracia nasi tam się zgromadzą, a gdyby prześladowcy i tam wpadli na nasze ślady, to zdamy się wówczas na wolę Bożą.

— Dobrze więc, prowadź mnie tam! Gotów jestem iść za tobą, dokąd zechcesz.

Floronia ruszyła ku drzwiom, ale nagle, zatrzymawszy się, rzekła smutnie:

— Nie mogę ci towarzyszyć, niestety! Aniceta od rana niema w domu, muszę więc oczekiwać na niego i donieść mu, co w twojej sprawie uczyniłam. Prakseda jednak cię tam zaprowadzi i w mojem imieniu porozumie się z Tuliolą.

Sekstus wzruszył niecierpliwie ramionami i spojrzał na starą Praksedę, będącą niemym świadkiem całej tej rozmowy, poczem rzekł:

— Także i ja chcę zaczekać na powrót twego opiekuna. Niedawno wprawdzie wypędził mnie ze swego domu, ale teraz żałuję tego, co powiedziałem mu wówczas i chcę go za to przeprosić.

— Już ja się z nim za ciebie rozmówię, ale nie zwlekaj już dłużej, gdyż każda chwila jest cenna — nalegała Floronia.

Bardzo niechętnie rozstał się patrycyusz z Floronią, która mu obiecała, iż wkrótce wraz z Anicetem odwiedzi go u Tulioli.

Floronia powróciła do domu, aby oczekiwać nadal

powrotu Aniceta, gdy zaś godzina mijała za godziną, a starca nie było widać, niecierpliwość Floronii zamieniła się w obawę. Anicet bowiem wyszedł o świcie z zamiarem przedostania się do wnętrza mamertyńskiego więzienia. Miał on udać się do jednego z więźniów z pociechą religijną. Wykonanie tego zadania było bardzo trudne i niebezpieczne.

Niepokój dziewczęcia rósł z minuty na minutę. Nie mogąc znieść dłużej tego oczekiwania w samotności, Floronia wyszła przed dom na ulicę i poczęła się rozglądać. Naraz dostrzegła w oddali syna Praksedy, który też wkrótce ją zawiadomił, że Anicet został aresztowany w pobliżu mamertyńskiego więzienia i tam osadzony.

Ta wieść hiobowa przejęła serce Floronii najgłębszym bólem. Najpierwszą jej myślą było podać się samej za chrześcijankę i razem z Anicetem śmierć ponieść. Gdy jednak zastanowiła się, że kroku takiego uczynić nie może bez pytania się o radę starszych i doświadczonych, powołanych do tego osób, płacząc, opuściła dom Aniceta i udała się do willi Tulioli, aby tam braciom, zbierającym się dnia tego na modlitwę, donieść o tem smutnem wydarzeniu.

Około północy, podczas gdy Floronia w katakumbach modliła się i płakała, straż pretoryańska stawiła Aniceta przez oblicze cezara. Gdy bowiem Domicyan dowiedział się, iż schwytano pewnego Nazarejczyka, zapragnął go ujrzeć, a to tem więcej, iż według opowieści, miał on cieszyć się opinią czarodzieja.

Z ciekawością i przesądną obawą zarazem spoglądał cezar na długą, siwą brodę chrześcijańskiego kapłana, który stanął przed nim pod strażą dwóch gwardzistów.

Po chwili cezar zapytał:

— Czy jesteś Nazarejczykiem?

— Rzekłeś, cezarze, a ja się nie wypieram — brzmiała odpowiedź Aniceta.

— Czy chcesz się wyprzeć swej wiary i złożyć bogom rzymskim ofiarę?

— Prawdziwy sługa Chrystusa nie zapiera się nigdy swej wiary; jest gotów za nią umrzeć i nawet w chwili śmierci sławi wszechmoc Bożą! — mówił dalej Anicet,

a z tonu słów jego nie przebijał się ani gniew, ani samochwalstwo.

Domicyan tupnął nogą z wściekłości.

Odwaga i spokój starca w momencie, gdy chodziło o jego życie, wyprowadziła cezara z równowagi. Chętnieby widział u stóp swych chrześcijanina, zalewającego się łzami i żebrzącego o litość; dotychczas jednak nic podobnego się nie zdarzyło.

Przeszedłszy kilkakrotnie salę tam i z powrotem, cezar stanął przed Anicetem i rzekł:

— Umrzesz! A twoje suche kości zwierzęta dzikie rozniosą!

— Wola Boga niechaj się spełnia! — odrzekł spokojnie starzec.

Cezar znów począł przechadzać się po sali. Nagle... stanął w miejscu. Myśl osobliwa przyszła mu do głowy. Powiedziano mu mianowicie, iż chrześcijanie umieją przepowiadać przyszłe wydarzenia, bardzo mu więc zależało na tem, aby się dowiedzieć, jaki będzie rodzaj jego śmierci. Obawiając się, że proroctwo źle dlań może wypaść, zawahał się chwilę. Ciekawość jednak przemogła. Zdecydowawszy się po chwili na postawienie pytania, przystąpił do Aniceta i rzekł niepewnym głosem:

— Zapomocą sztuki czarodziejskiej wy, Nazarejczycy, umiecie tak dobrze przepowiadać przyszłość, jak to czynią wróżbici... Powiedz mi więc: jaki będzie mój koniec?... A jeżeli... — dodał — jeżeli przepowiednia twoja wypadnie dla mnie szczęśliwie, to... daruję c życie...

— Przyszłość jest Bogu jednemu tylko wiadoma — odrzekł Anicet.

To rzekłszy, pochylił głowę na piersi i pogrążył się w myślach. Po chwili dopiero, wzniósłszy uduchowione spojrzenie w górę, zaczął mówić:

— Przyszłość jest Bogu jednemu tylko wiadoma, ale jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że niegodziwość nie zawsze bezkarnie chadza po ziemi i że Pan Niebios zgruchocze królów ziemskich, jak gliniane garnki, jeśli sprawiedliwości gwałt zadawać będą... Cezarze! Gdy wypełni się miara twej niegodziwości — zamordowany bę-

dziesz przez tych, którym sam do zła i występków wskazałeś drogę!...

Domicyan pobladł śmiertelnie.

Drżenie nerwowe przebiegło jego członki, oczy zaś, pełne strachu, zawisły na osobie Aniceta. Przez wzgląd tylko na obecnych gwardzistów, wobec których nie chciał się okazać trwożliwym, zapanował nad strachem i udając odwagę, której przeczył wyraz jego twarzy, rzekł drwiącym tonem:

— Dobrze więc, proroku nieszczęścia! Skoro znasz rodzaj mej śmierci, to zapewne odgadniesz także własne losy? Powiedz mi więc teraz, w jaki sposób zostaniesz stracony?...

Spojrzenie starca było tak przenikliwe, jak gdyby patrzał na jakiś niewidzialny dla innych przedmiot. Usta jego otwierały i zamykały się kilkakrotnie, nie wydając żadnego głosu. Po chwili jednak, pod wpływem wizyi proroczej, rzekł, przerywając chwilami:

— Noc będzie ciemna... Deszcz lunie strumieniami... Psy rozrywać będą me kości... Duch mój wzniesie się wysoko... wysoko... ku Najwyższemu Sędziemu i wespół z aniołami śpiewać będzie: Hosanna!...

— Sądzisz więc, że przez psy rozerwany będziesz? — zagadnął Domicyan.

Anicet nie dał żadnej odpowiedzi.

Spojrzał na cezara, jak gdyby pytania jego całkiem nie rozumiał i nie słyszał, lub jak gdyby zapomniał już o wyrzeczonych właśnie słowach.

Domicyan przystąpił doń i, potrząsając jego ramię, rzekł z okrutnem szyderstwem:

— Proroctwo twoje okaże się fałszywem... Zginiesz na stosie, a prochy twoje, na mój rozkaz, rozrzucone będą na wszystkie strony świata!

Anicet, pełen poddania się, zwrócił wzrok ku niebu i skrzyżował ręce na piersiach.

W wściekłości i gniewie najwyższym Domicyan polecił gwardzistom odprowadzić Aniceta z powrotem do mamertyńskiego więzienia. Miał tam pozostać aż do chwili poprowadzenia go na stos płonący, który następnego dnia miał być wzniesiony.

XIV.

Straszna uczta.

Jakkolwiek wróżba Aniceta przeraziła cezara, to jednak starał się on uspokoić swe nerwy myślą, że ten, który własnego sposobu zejścia ze świata nie był w stanie określić, nie okaże się też nieomylnym prorokiem co do osoby cezara. Poza wróżbą chrześcijańskiego kapłana, męczył go jeszcze także obraz Kornelii, który dniem i nocą stawał przed oczyma jego wyobraźni, pełen czaru i ponęty. Niejednokrotnie cezar udawał się do świątyni Westy pod zbożnym pozorem, iż pragnie złożyć ofiarę bogini, zawsze jednak surowe, pełne powagi zachowanie się westalki, wymuszało na nim, wbrew jego woli, szacunek.

Rankiem dnia tego, kiedy Anicet miał ponieść śmierć męczeńską, cezar wstał niezwykle wcześnie i zaczął się zabawiać w zwykły sobie sposób. I to go jednak już przestawało bawić, rzucił się przeto na posłanie, przymknął oczy i począł rozmyślać nad ową przepowiednią, która go taką przejęła obawą.

Pragnąc zatrzeć wrażenie tego proroctwa, starał się czemś rozerwać, ale wszystkimi rodzajami rozrywek był już tak przesycony, iż tylko nowość jakaś mogła mieć dlań chwilowy urok. Po pewnej więc chwili cezar klasnął w dłonie i wydał przywołanemu w ten sposób Parteniuszowi szereg poleceń. Wyzwoleniec z takiem zdziwieniem spoglądał na wydającego z cicha rozkazy cezara, jak gdyby zaczął powątpiewać o jego zdrowych zmysłach. Tak te rozkazy wydały mu się osobliwemi. Nie odrzekłszy jednak nic, Parteniusz oddalił się, aby wykonać polecenia władcy.

Wkrótce potem zauważono bieganinę w kurytarzach pałacu. Niewolnicy wchodzili i wychodzili, znosząc gałęzie bukszpanów i cyprysów, niewiadomo w jakim celu. Inni niewolnicy przygotowywali w wielkich wazach jakąś maź czarną. Słowem, wśród służby we wszystkich salach, zwłaszcza zaś w tryklinium, panowało niezwykłe ożywienie.

Domicya, ciekawością wiedziona, odwiedziła cezara, ale ten przyjął ją jeszcze gburowaciej, niż zwykle, oświadczając jej wreszcie, iż pragnie wydać bankiet na cześć szczególnie mu oddanego patrycyusza. I rzeczywiście dnia tego rankiem wielu senatorów oraz liczną młodzież ze stanu rycerskiego zaproszono na ucztę do cezara.

Stosownie do zwyczaju, patrycyusze zjawili się o zachodzie słońca. Podczas gdy towarzyszący im niewolnicy pozostawali w przedsionku pałacu, zaproszeni goście wchodzili do sali, poprzedzającej jadalnię, gdzie zrzucali obuwie i przywdziewali używane przy stole tuniki. Następnie służba cezara podawała każdemu z nich wieniec, który, ku ogólnemu zdumieniu i wbrew powszechnie przyjętemu zwyczajowi, upleciony był nie z kwiatów, lecz z gałązek cyprysu...

Wśród obecnych zapanował nastrój melancholijny, spotęgowany jeszcze dniem pochmurnym. Spojrzeniami, w których czaił się przestrach, goście obrzucali się wzajemnie, gdy rozwarły się drzwi sali i w progu ukazał się Domicyan, z głową, opasaną również gałązką cyprysu, ubrany w czarną tunikę.

Oblicze cezara miało wyraz groźniejszy, niż zwykle. Okrywała je trupia bladość.

Stanąwszy z boku pod drzwiami, Domicyan skinieniem zaprosił gości, aby weszli do przygotowanej już na ich przyjęcie sali, ale tam oczekiwała ich nowa, dreszczem przejmująca niespodzianka.

Ściany obwieszone tam były czarnemi draperyami i przyozdobione gałązkami bukszpanów i cyprysów. Z sufitu zwieszała się bronzowa lampa, rzucając blade światło na czarne nakrycie stołu. Odpowiednio do liczby gości wzdłuż ścian ustawione były małe filarki, na każdym zaś z nich płonęła lampa, jaką zwykle stawiano w grobowcach. Przy każdym słupku stały też, z płonącemi pochodniami w rękach, nieruchome postacie posmarowanych czarną mazią chłopców, mających przedstawiać geniuszów śmierci.

Zaskoczeni takim niezwykłym obrazem, goście nie przypuszczali nic innego, jak tylko, że cezar, postanowiwszy ich wszystkich rzucić w ramiona śmierci, wy-

prawia im ucztę przedśmiertną, byli więc odrętwiali ze strachu, gdy cezar w te do nich przemówił słowa:

— Senatorowie i rycerze! Zasiądźcie wraz ze mną do uczty, którą wyprawiam dla przejednania cieniów tych bohaterów, którzy padli śmiercią bohaterską za ojczyznę na polu walki z Dakami!

Słowa te nie mogły oczywiście przyczynić się do uspokojenia ogarniętych trwogą patrycyuszów. Spełnili oni wprawdzie życzenie cezara, zasiadając gremialnie do uczty, ale myśl oddania się rozkoszy trawienia, była od nich daleką. Zaledwie zajęli swe miejsca, gdy chłopcy, wyobrażający geniuszów śmierci, milcząc, puścili się w taniec, poczem, ustawiwszy się poza plecyma gości, zaczęli nalewać im wino.

Na stół wnoszono takie potrawy, jakie zwykle podawano w czasie uczt pogrzebowych. Mimo to goście wzięli się w milczeniu zupełnem do jedzenia. Jeden tylko Domicyan nie miał ust zamkniętych. Rozochocony chwilowo tem, iż współbiesiadników swych takiego strachu nabawił, począł im prawić z zadowoleniem o śmierci tych legionów ludzi, których sam wydał na stracenie.

Straszna ta uczta trwała dwie godziny.

Domicyan, znudziwszy się wreszcie, wyprawił gości, sam zaś ułożył się wygodnie na posłaniu.

Patrycyusze tymczasem w grobowym nastroju powracali do domów. Jakież jednak było ich zdumienie, gdy wkrótce po powrocie przed każdym z nich zjawił się wysłaniec cezara, oddając w prezencie srebrne naczynia, któremi się każdy z nich w czasie uczty posługiwał i chłopca, występującego przed chwilą w roli geniusza śmierci...

Po raz to pierwszy w życiu cezar wspaniałomyślnym się okazał, po raz pierwszy nagrodził sowicie strach wobec — śmierci.

Podczas gdy patrycyusze sławili wielkoduszność cezara, tenże, leżąc na swem wezgłowiu w jadalni, z okrutnem zadowoleniem rozmyślał nad przestrachem patrycyuszów, którzy dnia następnego stać się mieli przedmiotem szyderstw całego Rzymu, gdy jednocześnie imię cezara otaczać miały kadzidła zachwytów, pochwał i entuzyazmu.

Uśmiechając się co chwila szyderczo i wychylając od czasu do czasu szklankę wina, cezar trwał w pozycyi leżącej i po niejakiej dopiero chwili, zwracając się do Parteniusza, oczekującego na dalsze rozkazy, rzekł:

— Współbiesiadnicy moi nie rychło zapomną o uczcie, którą im wyprawiłem... Nie uwierzysz, jak się ubawiłem, widząc ich tak bladych i wystraszonych! Od wielu lat nie miałem takiej, jak dziś, przyjemności! Żałuję tylko, że nie zaprosiłem także Domicyi. Ale ona zabawia się w inny sposób... Zresztą... nie długo już zabawiać się tak będzie... Domicya już mi się znudziła...

Parteniusz słuchał ostatnich słów cezara z największą uwagą. Ponieważ był w zmowie z żoną cezara, postanowił powtórzyć przed nią te groźne dla niej słowa.

Domicyan, przeciągając się leniwie, ziewał, jak zwykle. Nagle jednak wzdrygnął się całem ciałem... Oto echo potężnego grzmotu, oraz odgłos lejącego się strumieniami deszczu wtargnął do wnętrza sali.

— Jaka burzliwa noc! — wykrzyknął cezar, rozglądając się z trwogą po kirem obitej sali.

W tej właśnie chwili stanęła przed oczyma jego wyobraźni postać starego kapłana, skazanego przezeń na śmierć męczeńską. Zdawało mu się, iż widzi jego dumnie wzniesioną głowę i siwowłosą brodę; zdało mu się nawet, że łagodne spojrzenie starca skierowane jest na niego z głębokim wyrzutem...

Rozgorączkowana grobowemi nastrojami dnia tego wyobraźnia igrała dowolnie. Cezarowi zdało się nagle, iż słyszy szeptane doń przez kogoś słowa: ...„a psy rozrywać będą me kości“...

Zimny pot wystąpił na czoło cezara i drżenie przebiegło mu członki. Chwiejnym krokiem przystąpił do Parteniusza i, oparłszy się na jego ramieniu, przestąpił próg sali.

Cezar przymknął oczy, aby nie widzieć cienia Aniceta, ale cień ten sunął za nim i gdziekolwiek cezar się ruszył, wszędzie widział jego straszne, wyrzutu pełne oczy...

Znalazłszy się w swym pokoju, cezar, starając się ukryć swój niepokój, ozwał się do Parteniusza:

— Późno już i znużone me członki wołają o spo-

czynek. Gdy więc będę wypoczywał, udaj się tymczasem na miejsce, gdzie spalone być miały zwłoki Aniceta i zobacz, czy wiatry już rozwiały prochy tego Nazarejczyka.

Rozkaz ten nie przypadł do gustu Parteniuszowi, który chętniejby udał się na spoczynek, aniżeli na zalecone przez cezara zwiady. Wyzwoleniec próbował skłonić cezara do cofnięcia tego rozkazu.

— Pragnąłbym cię usłuchać, cezarze — oświadczył — ale stos już został zagaszony, a i noc jest tak ciemna, iż trudno będzie nawet znaleźć miejsce, gdzie ten pies chrześcijański został spalony.

— Nic to... Ja... chcę! Jeśli się boisz, to weź ze sobą niewolników z pochodniami i otocz się eskortą gwardyi pretoryańskiej.

— Uczynię, co rozkazałeś, cezarze! — odrzekł Parteniusz i z źle ukrytem niezadowoleniem wyszedł, aby wykonać rozkaz.

Deszcz lać już przestał. Chwilami tylko błyskawice przedzierały chmury i echo grzmotów dochodziło z oddali, gdy Parteniusz, w towarzystwie dwóch gwardzistów, opuścił pałac. Wściekły i milczący kroczył w tę ciemną i burzliwą noc przez opustoszałe ulice miasta. Nienawidził cezara, choć był jego ulubieńcem. Łaskom, jakiemi darzył go cezar, towarzyszyło tyle upokorzeń, tyle szyderstw i poniewierki, iż już oddawna zrodziło się w sercu Parteniusza pragnienie zemsty. Ktoby mógł spojrzeć w twarz jego w tej chwili, przy świetle niesionych pochodni, odskoczyłby z przerażenia, tyle się na niej malowało mściwości i złości.

Noc była tak ciemna, iż tylko w promieniu pochodni można było cośkolwiek dostrzedz, długo więc szukał daremnie wyzwoleniec cezara jakichkolwiek śladów wzniesionego tam stosu.

— Woda musiała spłukać resztki stosu. Wracajmy więc i donieśmy cezarowi, że popioły Nazarejczyka rozniesione zostały przez wicher i deszcz — odrzekł Parteniusz.

— Zbadajmy przedewszystkiem ściślej to miejsce — odpowiedział jeden z gwardzistów, pragnący dokładnie wykonać polecenie cezara.

Parteniusz wzruszył niecierpliwie ramionami i, przeklinając w duchu upór pretoryanina, ruszył przyspieszonym krokiem naprzód.

Nagle uszu idących doszło ujadanie psów. Wyzwoleniec chwycił pochodnię i ruszywszy w kierunku, skąd dochodziło szczekanie, rzekł po chwili stłumionym głosem:

— Założyłbym się, że Nazarejczyk prawdę przepowiedział i że właśnie teraz psy rozszarpują jego kości.

Przysunąwszy się bliżej, Parteniusz przekonał się, że domysł jego nie był mylny. Ujrzał on niedopalone wskutek deszczu resztki rusztowania stosu, rozrzucone dookoła, a jednocześnie dostrzegł gromadę psów zgłodniałych, które z wściekłem wyciem i szczekaniem wyrywały sobie wzajemnie kości męczennika.

Proroctwo Aniceta spełniło się więc dosłownie: noc była ciemna... deszcz lał strumieniami... psy rozrywały jego kości... a duch męczennika wraz z aniołami śpiewał — Hosanna!...

Stos, ułożony z drewien, dopiero późnym wieczorem podpalono i Anicet wśród straszliwych męczarni oddał swoje życie. Burza jednak rozrzuciła płonące polana i oprawcy, widząc, że z ich ofiary pozostały zaledwie opalone z mięsa kości, ukryli się przed burzą z tem postanowieniem, że wrócą tam rankiem dnia następnego, w celu spalenia pozostałych resztek, ale psy bezdomne, błąkające się wszędy, głód swój tymczasem zdołały zaspokoić.

— Na Olimp! Nazarejczyk prawdę wyprorokował!... — mruczał wyzwoleniec, patrząc trwożnie na roztaczający się przed nim obraz.

— Co czynić? — pytali gwardziści.

— Nic... tylko wracać, skąd przyszliśmy. Rano opowiem cezarowi, cośmy widzieli — oświadczył Parteniusz tonem, świadczącym o okrutnem zadowoleniu, odczuwanem na myśl o strachu, jaki owładnie rano cezarem.

Podczas gdy wyzwoleniec wraz z gwardzistami opuszczał to smutne miejsce stracenia, ukazały się w pobliżu cztery postacie.

Byli to Floronia, Parys, Sekstus i jakiś starzec.

Kiedy Floronia dowiedziała się, iż jeden z chrześcijan

ma spłonąć na stosie, domyśliła się, że skazańcem tym jest nie kto inny, tylko Anicet. Jeden z jej współwyznawców, wysłany na miejsce stracenia, potwierdził ten domysł; Floronia więc, dawszy upust swemu żalowi, powzięła myśl zbożną zebrania relikwii po zmarłym. Daremnie Tuliola, tudzież inni chrześcijanie, odradzali jej wykonanie tego planu, daremnie jeden z kapłanów pragnął, aby mu pozwoliła się w tem zastąpić — na upór dziewczęcia nie było rady.

Sekstus Sabinus, który chciał dzielić z Floronią niebezpieczeństwo, udał się także na miejsce egzekucyi. Szedł on w pewnem oddaleniu za Floronią, tak, iż dziewczę zauważyło jego obecność dopiero wtedy, gdy stanęło nad rozrzuconemi szczątkami zwłok Aniceta.

Łkając z cicha, Floronia zbliżyła się do stosu, Parys zaś, zaopatrzony w kij sękaty, rozpędził psy, uciekające z wściekłem wyciem, poczem wszyscy, z wyjątkiem Sekstusa, padli na kolana.

Księżyc, jak gdyby czekając na ten moment, wychylił się nagle z za chmur i rzucił srebrne światło na modlących się chrześcijan.

— Nie zapomnij o mnie, Anicecie, gdy będziesz już w Królestwie Niebieskiem! — westchnęła Floronia, wznosząc ręce ku niebu.

— Spieszmy się, gdyż będzie za późno! — rzucił z boku Sekstus, pragnąc położyć kres tej rozdzierającej serce scenie.

Zastosowano się do uwagi Sekstusa. Parys wydobył z fałdów swej penuli małą lampkę i, przyświecając nią tu i owdzie, zebrał w białą chustę, z pomocą Sekstusa i obecnego kapłana, rozrzucone dookoła kości męczennika.

O świcie relikwie te spoczywały już w podziemiach, obok miejsca, gdzie pochowano niedawno zwłoki Flawiusza.

Na drugi dzień rano, Domicyan, obudziwszy się niezwykle wcześnie, przywołał natychmiast Parteniusza.

— Czy rozkaz mój wykonany? — zapytał wchodzącego.

— Z całkowitą ścisłością, cezarze!

— Czy prochy tego czarownika zostały rozniesione przez deszcz i wichry?

— Nie, cezarze! Psy roztargały jego kości...

To rzekłszy, wyzwoleniec począł opowiadać z wewnętrznem zadowoleniem o tem, czego ubiegłej nocy był świadkiem.

Cezara ogarnął gniew straszliwy.

W tej chwili kazał stracić pretoryanina, który miał czuwać nad ścisłem wykonaniem egzekucyi, poczem, zerwawszy się z posłania, zawołał w szalonym przestrachu:

— A więc śmierć moja już bliska... Kto wie? Może będę zamordowany przez mych niewolników, przez Domicyę, albo... albo nawet przez ciebie, Parteniuszu?!...

To mówiąc, cezar wytrzeszczył swe krwią nabiegłe ślepia na wyzwoleńca.

Parteniusz drgnął niespokojnie i... w tej właśnie chwili kiełkujący w jego sercu zamiar, dojrzał zupełnie...

Wkrótce po rozegraniu się tej sceny, gdy cezar jeszcze biegał, jak szalony, po pokoju, doniesiono mu o przybyciu wysłańca z zamku Numy, przynoszącego list od westalki Flawii. Z żywem zaciekawieniem porwał cezar w ręce pergamin, przewiązany czerwoną wstążką i opieczętowany skrupulatnie, a przeczytawszy kilka słów, które zawierało pismo, śmiejąc się konwulsyjnie, zawołał:

— Skoro śmierć moja już tak bliska, muszę się jeszcze nacieszyć! Poślę Plutonowi wielu jeszcze przyjaciół swych i wrogów, ażeby miał mnie kto witać, gdy i ja ciemny Styks przepłynę...

Zaledwie cezar wypowiedział swe słowa, gdy kazał się już nieść do kąpieli, zapowiadając przedtem Parteniuszowi, aby się nic nie ważył mówić Domicyi o swej nocnej wycieczce, przewidywał bowiem radość małżonki z tego powodu, iż proroctwo Nazarejczyka tak się co do joty spełniło.

XV.

Nocna wizyta cezara.

Z bólem głębokim przyjęła Kornelia wiadomość o skazaniu Sekstusa na śmierć. Żyła ona w ustawicznym strachu o życie patrycyusza, gdyż cezar, do najwyższego stopnia rozwścieczony jego ucieczką, we wszystkich kierunkach wysłał za nim gońców. Sekstus był jedynym krewnym Kornelii, to też obawa, iż zginie on śmiercią okrutną, wyciskała jej łzy z oczu.

Właśnie w dniu śmierci męczeńskiej Aniceta westalka była w smutniejszym nastroju, niż zwykle. Dręczyły ją jakieś niedobre przeczucia. Chcąc się nieco rozerwać, wyszła do gaju i poczęła się przechadzać po jednej z cienistych alei. Po niejakiej chwili siadła u stóp majestatycznego dębu, którego rozłożyste gałęzie zdawały się tworzyć nad nią zielony baldachim i poczęła przyglądać się wibrującemu wysoko nad ziemią ptactwu. Chwilami zazdrościła mu losu. Jakże pragnęłaby, tak, jak i one, mieć skrzydła i ulecieć wysoko w przestworza, oderwać się od tej okrutnej ziemi — na zawsze!

Gdy następnie zwróciła wzrok swój na mury zamku, ujrzała wśród drzew, idącą ku niej z pośpiechem, młodą przyjaciółkę.

— Szukam cię wszędzie, aż wreszcie tu cię znajduję — rzekła Fabiola, siadając obok na darni.

Dziewczę zerwało kilka kwiatków, rosnących dookoła, poczem ciągnęło dalej:

— Mam ci o wielu rzeczach opowiedzieć, ale zacznę przedewszystkiem od tego, co mnie najbardziej interesuje. Tej nocy, jak ci wiadomo, na mnie przypada kolej strzeżenia świętego ognia, ale Flawia, wiedząc dobrze o tem, iż przy pełnieniu tej funkcyi sen mnie często morzy, tobie powierza na noc dzisiejszą straż nad świętym ogniem. Jeżeli ta zamiana ci się nie podoba, to będę domagać się utrzymania swojej kolei.

Fabiola spojrzała na przyjaciółkę tak, jak gdyby prosiła o odrzucenie tej propozycyi.

Kornelia zaśmiała się i, kładąc maleńką swoją rączkę na jasnej główce Fabioli, rzekła tonem, pełnym macierzyńskiego nieledwie uczucia:

— Nie obawiaj się, Fabiolo. Chętnie godzę się na tę zamianę. W twoich latach sen jest tak słodką rozkoszą, iż byłoby grzechem ciebie tej przyjemności pozbawić. Powiedz mi jednak, dlaczego tak bardzo obawiasz się pozostawać na noc w świątyni? Ja twej obawy pojąć nie mogę.

— Obawiam się usłyszeć kiedy płynący od ołtarza głos bogini, czyniącej mi wyrzuty — odrzekła skromnie Fabiola.

— Nie wiem, dlaczego bogini miałaby ci czynić wyrzuty, skoro z pośród nas wszystkich jesteś najlepsza i najniewinniejsza, a także najgodniejsza zbliżenia się do ołtarza.

— Bogini zapewne ma mi to za złe, że współczuję ofiarom, zabijanym ku jej czci... Nie uwierzysz, jak mnie to boli, gdy widzę młode jałówki lub białe jagnięta, prowadzone przed ołtarz na ofiarę... Biedne te stworzenia zwracają zawsze na mnie swe wystraszone oczy i kiedy kapłan chwyta za topór, aby im zadać cios śmiertelny, spuszczam wtedy powieki, aby nie widzieć tej krwi, Kornelio, tej krwi...

Twarzyczka Fabioli, czyniącej to wyznanie, zasępiła się.

— Twoje współczucie jest całkiem naturalne — rzekła Kornelia, starając się przyjaciółkę pokrzepić na duchu. — Gdybyś tak często, jak ja, widziała krew, przelewaną u stóp ołtarza, nie wywierałoby to na ciebie tak silnego wrażenia, gdyż serce ludzkie może przywyknąć do wszystkiego... Ale o czemże to jeszcze miałaś mi opowiedzieć? Słucham z największem zaciekawieniem.

— Ponieważ Domicyan czuje się dziś osłabionym, nie chce więc opuszczać pałacu. Ale wydał Flawii polecenie, aby tajny kurytarz, łączący zamek Numy ze złotym pałacem, był stale od tej pory trzymany otworem.

Słysząc to, Kornelia zadrżała ze strachu. Rozumiała ona, że polecenie to nie wydane zostało przez Domicyana

bez celu. Nie ujawniła jednak swego niepokoju wobec Fabioli, wobec czego ta ciągnęła dalej:

— Ale mam jeszcze jedną nowinę, o której cały Rzym mówi. Oto wczoraj spalono na stosie pewnego starego Nazarejczyka, ale deszcz zagasił ogień, a kości starca rozszarpała sfora psów zgłodniałych, o żarzących się ślepiach, która wyrosła jakby z pod ziemi.

Westalka małą dawała wiarę przesadnym zazwyczaj wieściom, ale naraz przyszła jej na myśl Floronia, przyjaciółka z lat dziecięcych, będąca również chrześcijanką, Domicela, której los gorzko opłakiwała, a wreszcie matka rodzona, która również miała się wyprzeć wiary swych przodków...

Wbrew woli ogarnęło westalkę współczucie dla chrześcijan.

— Ileż to już ofiar padło ku czci bogom! A jednak wiary Nazarejczyków ani mieczem, ani ogniem wytępić nie można... Krew to męczenników zapala serca żyjących płomieniem entuzyazmu i czyni z nich naśladowców.

To rzekłszy, Kornelia zwiesiła smutnie głowę i zamilkła. Fabiola, nie mogąc w żaden sposób rozweselić przyjaciółki, klasnęła wreszcie w dłonie i zawołała ochoczo:

— Splotę dla ciebie wianek z liści dębowych, droga Kornelio, który zdobić będzie tej nocy twą głowę.

Fabiola zabrała się żwawo do wicia i wkrótce już wianek z liści dębowych leżał na kolanach Kornelii. Nagle jednak dziewczę porwało z kolan wianek, rzuciło go na ziemię i podeptało nogami.

— Dlaczego niszczysz swą pracę? — spytała zdziwiona Kornelia.

— Czyż nie widzisz skorpiona wśród liści? Ten wstrętny robak jest zapowiedzią nieszczęścia... Ale nie obawiaj się! Splotę ci wieniec z rozmarynu i żeleźniaku, aby cię ustrzegł przed wszelkiem nieszczęściem.

Kornelia uśmiechem przyjęła przesądy Fabioli i rzekła:

— Muszę teraz odwiedzić Flawię. Chodź ze mną, Fabiolo!

Właśnie obie przyjaciółki wychodziły z gaju, gdy natknęły się na Flawię.

— Tej nocy ty czuwać będziesz w świątyni Kornelio! — oświadczyła Flawia.

— Zawiadomiła mnie już o tem Fabiola...

— Niechże bogowie za to czuwają nad tobą — dodała Flawia tak szyderczym tonem, iż Kornelia wzburzona odrzekła ostro:

— Zachowaj swe życzenia dla tych, którzy tego pragną!

— Ty ich oczywiście nie potrzebujesz, gdyż młodość i piękność znajdują zawsze obrońców... — zakończyła ironicznie rozmowę Flawia i odeszła.

Szyderstwo niezasłużone zraniło głęboko Kornelię. Chętnieby odparła ostremi słowy atak Flawii, ale zapanowała nad sobą i, podniósłszy dumnie głowę, ruszyła w swoją drogę.

— Flawia jest równie zła, jak brzydka! — oświadczyła zagniewana Fabiola.

Kornelia nic nie odrzekła i po rozstaniu się z Fabiolą, pozostawała aż do wieczora u siebie.

Słońce już zaszło, gdy Kornelia wziąwszy na siebie biały płaszcz, sięgający jej aż do stóp i ozdobiwszy wiankiem głowę, udała się w otoczeniu westalek do świątyni. Wraz z zbliżaniem się nocy smutek jej wzrastał, tak, iż gdy przestępowała próg świątyni, to miała uczucie, jak gdyby ktoś dłonią żelazną ścisnął jej serce.

Tego wieczora Kornelia całkiem mechanicznie zajęła swój posterunek i wysłuchała zwykłych w takim razie napomnień Flawii o straszliwej karze, czekającej westalkę, któraby dopuściła do tego, iżby święty ogień zagasł.

Westalki odeszły i Kornelia pozostała sama. W pobliżu ołtarza znajdował się fotel kamienny, na nim więc usiadła, patrząc, jak noc zstępowała coraz szybciej do świątyni, oświetlonej tylko ogniem, płonącym na trójnogu. Czerwonawe odbłyski tego światła nadawały kolumnadzie fantastyczny wygląd. Kornelia początkowo spoglądała nieruchomo przed siebie, pogrążona w myślach, zwolna jednak sen ją począł morzyć i zdrzemnęła się zlekka. Ażeby otrząsnąć się ze snu, wstała i obeszła kilkakrotnie ołtarz dookoła. Gdy potem usiadła, senność

znów obciążyła jej powieki. I tym jednak razem nie zasnęła głęboko, lecz popadła tylko w stan rozmarzenia, w którym jej się zdawało, iż widzi w obłokach dymu postać swej matki, wskazującej ręką niebo.

Walcząc z sennością, Kornelia znów wstała i oparła swą rozgorączkowaną głowę o marmurowy filar świątyni. Po chwili ujęła pręt żelazny i podsyciła płomień. Siadłszy następnie na stopniach ołtarza, zamyśliła się nad celem istnienia owego tajnego kurytarza, łączącego zamek Numy ze złotym pałacem.

Nagle drgnęła z przestrachu...

Jakiś szmer lekki, jakby posunięcie obuwia po marmurowej posadzce, dotarł do jej ucha.

Westalkę ogarnął strach niezmierny, strach taki, iż bała się odwrócić głowę i przymknęła oczy.

Nie, to nie było złudzenie! Szmer ów pochodził od stąpania męża, w długi płaszcz spowitego, który starał się zcicha zbliżyć do westalki. Nie był on jednak sam jeden. Za nim czołgał się na czworakach, w cieniu kolumnady się kryjąc, także inny jakiś mężczyzna.

Tymczasem mąż w długim płaszczu znalazł się wobec Kornelii... Błysk światła wyłonił z ciemności jego oblicze — to był cezar...

Na widok Domicyana, krzyk, stłumiony przestrachem, wydarł się z piersi westalki. Zerwała się z miejsca i kładąc prawą rękę na ołtarzu, rzekła tonem rozkazującym:

— Co cię sprowadza o tej porze do świątyni? W imieniu bogini rozkazuję ci — mów!...

— Osobliwe pytanie! Czyż mnie nie poznajesz lub sądzisz, że cezar musi uprzednio prosić westalki o pozwolenie, zanim przestąpi prog świątyni? — odparł dumnie Domicyan.

— Milcz! Nie znieważaj świątyni swemi słowy, jeśli nie chcesz, aby gromy Jupitera runęły na twoją głowę! — zawołała zrozpaczona westalka.

Domicyan wybuchnął szyderczym śmiechem i już miał chwycić wpół westalkę, gdy nagle z poza kolumnady wypadła jakaś postać i wymierzyła potężny cios w głowę cezara. Czaszka Domicyana była jednak niezwykle twarda,

tak, iż padł on tylko, lekko ogłuszony na posadzkę. Obawiając się wszakże drugiego, jeszcze potężniejszego ciosu, cezar miał tyle przytomności umysłu, iż udał zabitego, przymknął oczy, wstrzymał oddech w piersiach i leżał bez ruchu.

Westalka skłonna była widzieć w swym niespodziewanym wybawcy jakieś cudowne zjawisko i tak się wrażeniami tego krótkiego momentu przejęła, iż padła zemdlona u stóp ołtarza. Nieznajomy wziął tedy zemdloną troskliwie na ręce i chciał ją wynieść z świątyni, nagle jednak zatrzymał się, gdyż przyszło mu na myśl, iż obecność jego w miejscu zakazanem, mogłaby się srogo pomścić na westalce. Po chwili wahania złożył bezwładną westalkę na posadzce, opierając jej plecy o filar westybulu, poczem sam zemknął przez gaj, otaczający świątynię.

— Wielki Boże, racz czuwać nad tą nieszczęsną! — westchnął nieznajomy.

Był nim oczywiście nie kto inny, tylko — Parys. Dowiedziawszy się o tem, iż Kornelii, w której się skrycie rozmiłował, grozi niebezpieczeństwo, opuścił wieczorem willę Tulioli i przesadziwszy mur, wtargnął do gaju świętego, podczołgał się aż pod przedsionek świątyni, a widząc zmierzającego tam Domicyana, udał się z cicha za nim.

Teraz powracał tą samą drogą, zdając sobie sprawę z tego, iż noc ta będzie dla Kornelii wysoce niebezpieczna. Pospieszał też co rychlej do willi Tulioli, aby Sekstusa poinformować o wszystkiem i wspólnie z nim przedsięwziąć środki uratowania Kornelii, zagrożonej gniewem cezara.

Po ucieczce Parysa cezar podniósł głowę i rozejrzał się trwożliwie dookoła. Bał się jeszcze powstać, przez chwilę więc wsłuchiwał się w ciszę świątyni, czy nie usłyszy szmeru, świadczącego o czyjejś obecności. Zwolna jednak wstępować weń poczęła otucha, powstał więc i ruszył zwolna ku drzwiom. Ujrzawszy, iż drzwi stoją otworem, zawrócił do wnętrza świątyni. Tu gniew wściekły go ogarnął. Nie mogąc dosięgnąć tego, który ośmielił się powalić go na ziemię, postanowił zemścić się okrutnie na Kornelii. Chwilę stał bez ruchu, namy-

ślając się, co ma czynić. Wreszcie śmiech szatański zaigrał mu na twarzy i cezar, przystąpiwszy do trójnoga, tak długo prętem żelaznym rozgarniał węgiel, aż płomień zagasł.

Zaledwie to jednak cezar uczynił, gdy zadrżał w przesądnym strachu. Zdało mu się naraz, iż słyszy jakiś głuchy pomruk. Serce załomotało mu w piersi i pot zimny sperlił jego czoło. Jak gdyby gnany przez furye piekielne, cezar rzucił się ku wyjściu i jednym niemal susem znalazł się na schodach, prowadzących do przedsionka zamku. Cezar padł na stopnie prawie nieprzytomny.

Po chwili dopiero ochłonął ze strachu. Poczęła go ożywiać paląca chęć zemsty. Nie namyślając się już długo uderzył żelazną sztabą w wielkie, bronzowe odrzwia. Wkrótce służebnica odsunęła rygle, a sądząc, że Domicyan pragnie tajnem przejściem wrócić do złotego pałacu, z szacunkiem usunęła mu się z drogi.

— Zwołaj natychmiast wszystkie kapłanki, aby wraz ze mną udały się do świątyni ułagodzić gniew bogów! — zawołał cezar tonem rozkazującym:

Wkrótce potem ukazały się westalki w nieuporządkowanych strojach, otrząsając resztki snu z powiek.

— Kapłanki! Przybyłem tu ponownie uczcić boginię i byłem świadkiem strasznego znieważenia bóstwa. Chodźcie i podzielcie wraz ze mną wstręt wobec tego niesłychanego występku! — zawołał cezar i ruszył na czele kapłanek ku świątyni.

Mijając westybul nie zauważono nawet leżącej tam Kornelii, której biała szata, rozrzucona na marmurowej posadzce, była prawie niewidoczna. Ale półsenna Fabiola, nie rozumiejąca jeszcze powodu nocnego alarmu, potknęła się o suknie przyjaciółki, a ujrzawszy Kornelię, leżącą bez zmysłów, uklękła przy niej i, nie bacząc na obecność Domicyana oraz kapłanek, przejęta obawą, oparła troskliwie głowę Kornelii na swem ramieniu.

Tymczasem kapłanki wkroczyły do świątyni. Na widok zagaszonego świętego ognia wydały przenikliwy okrzyk rozpaczy i na znak zgrozy każda z nich zasłoniła

twarz fałdami swego płaszcza, Domicyan zaś nie tracąc chwili czasu, prawił:

— Gdy wstąpiłem do tego świętego przybytku, zastałem jego kapłankę zabawiającą się rozmową z jakimś nieznajomym mężczyzną. Ujrzawszy mnie, rzucili się ze strachu ku ucieczce. Współwinny tej bezbożnicy uszedł przez mury, opasujące gaj święty. Podczas gdy przestępca uchodził, sprawiedliwy gniew bogini zagasił ten ogień.

Nowy okrzyk zgrozy i przerażenia wydarł się z piersi westalek, które, zbite w gromadę stały, nie ważąc się przystąpić do ołtarza. Wreszcie Flawia odrzuciła połę płaszcza, zasłaniającego jej twarz i wyciągając ku ołtarzowi ramiona, zawołała:

— O, bogini! Ty musisz być pomszczoną! Żadna stopa zwykłego śmiertelnika nie zbliży się do twego świętego przybytku, dopóki znów nie zapłonie przed twym ołtarzem ogień, rozniecony wolą bogów.

To rzekłszy, westalka uniosła przy pomocy towarzyszek naczynie z trójnoga i ruszyła ku wyjściu.

— Winna musi się znaleźć w naszej mocy! — oświadczył Domicyan.

— Oto ona! — zawołały chórem westalki, wskazując na Kornelię, która wsparta na ramieniu Fabioli, powracała do zmysłów, a ujrzawszy Domicyana, zakryła sobie twarz rękoma.

— Uchodź od tej nędznicy! Sam oddech jej cię splami! — krzyknęła Flawia i gwałtownie pociągnęła ku sobie Fabiolę.

— Bezbożnica! — wołały chórem westalki.

Te obelgi głęboko zraniły serce Kornelii. Do tej pory jej pochylona głowa i nieśmiałe spojrzenia, zdawały się świadczyć o winie westalki, ale wobec rzuconych na nią obelg, zarumieniła się twarz Kornelii, skrami sypnęły oczy i w świętem oburzeniu, piękniejsza niż kiedykolwiek, Kornelia, zawołała, wznosząc do góry ręce:

— Kto mnie śmie nazwać bezbożnicą, ten kłamie! Córka Flawiusza Sabinusa nie splamiła chwalebnego imienia swych przodków.

— Milcz, występna niewiasto! Słowa twoje są bluźnierstwem! — wrzasnął Domicyan.

Kornelia zmierzyła cezara wzrokiem pełnym pogardy, poczem zaśmiała się gorzko i cedząc zwolna słowa, rzekła uroczyście:

— A więc to ty jesteś owym sędzią, który mnie o pohańbienie świątyni oskarża?... Tak, tak... Niczego innego spodziewać się po tobie nie mogłam...

— Powiedz mi imię tego zuchwalca, którego u ciebie zastałem — przerwał jej cezar.

— Ten, który strzegł mej niewinności, nie był zwykłym śmiertelnikiem. Bogowie go zesłali na mój ratunek. Widziałam złote sploty jego włosów, jego majestatyczną postać, a i ty go również widziałeś...

— Majaczy! — ozwały się westalki.

— Nie majaczę! — zawołała Kornelia, zwracając się do westalek. — Na cienie mojej matki przysięgam wam, że jestem bez grzechu! Ale od tej pory usta moje będą zamknięte pieczęcią milczenia, nie wyrzekną ani słowa w własnej obronie, gdyż nazwanoby mnie kłamczynią...

— Wierzę ci, Kornelio! — wybuchła Fabiola łkając i chciała się rzucić w objęcia przyjaciółki, ale Flawia powstrzymała ją siłą i rzekła:

— Milcz, dziewczyno! Nie obrażaj bogów swojem współczuciem!

— Dzięki ci, najdroższa Fabiolo! Dzięki czysta, szlachetna duszo! — rzekła Kornelia, wzruszona do głębi słowami przyjaciółki.

— Odprowadźcie występną westalkę do jej pokoju i niech nikt się nie waży do niej zbliżyć — rozkazał Domicyan.

— Jej obecność pohańbi siedzibę westalek, cezarze! — rzuciła Flawia.

Cezara tem bardziej ucieszyła ta uwaga, że dawała ona sposobność do odgrodzenia Kornelii od reszty towarzyszek, przez osadzenie jej w więzieniu.

Do wieczora jeszcze pozostawała Kornelia w zamku Numy, łzami oblewając swój los. Nie o własną zresztą osobę jej chodziło, ale o pohańbienie czci i sławnego

imienia przodków. Kornelia wiedziała, że wobec oskarżenia samego Domicyana ani jeden głos obrony za nią się nie podniesie, ani jedno serce, z wyjątkiem serduszka Fabioli, nie da wiary jej niewinności.

Po chwili jednak, ocierając łzy, Kornelia pomyślała z goryczą:

— I pocóż wreszcie opłakuję imię, pohańbione jedynie przez złość tyrana? Gdy ciało moje rozsypie się już w popioły, to być może, iż niewinność moja wypłynie wtedy na światło dzienne. Domicyan może mnie zdeptać, współobywatele mogą mną wzgardzić, ale świadomość mej niewinności nie może mi być wydarta.

XVI.

Kornelia w więzieniu.

Gdy Kornelia w kilka godzin później znalazła się w więzieniu, ogarnął ją ponownie strach i obawa. Po pewnej chwili, siadłszy na kamieniu, opuściła głowę na piersi i pogrążyła się w głębokiej i błogiej drzemce. We śnie przesunęła się przed nią miła postać matki, mignęły lata dziecięce i dziewczęce, wyłonił się nawet z sennych marzeń obraz nieznanego wybawcy z świątyni. Oczom jej sennej wyobraźni postać tego wybawcy przedstawiła się niby piękne i wierne bóstwo, które w chwilach niebezpieczeństwa zawsze stawać będzie przy jej boku.

Ale senne marzenia nie trwały zbyt długo. Zimne, ponure mury więzienia przypomniały jej rychło o smutnej rzeczywistości. Właśnie łkania wstrząsały piersią Kornelii, gdy naraz zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy drzwi więziennych i Kornelia, przejęta strachem, przywołująca myślą cienie matki na ratunek, wpatrywała się w postać mężczyzny, który, przyświecając sobie lampą, przystąpił ku niej.

Był to — Domicyan.

Na widok bladego i załzawionego oblicza westalki,

usta jego wykrzywił okrutny uśmiech. Cezar postawił wtedy lampę na podłodze, skrzyżował ręce na piersiach i rzekł:

— Po raz ostatni, Kornelio, słyszysz mnie, mówiącego do ciebie tonem prośby. Jeżeli jednak nadal okazywać mi będziesz pogardę, to znajdziesz we mnie nieubłaganego sędziego.

— Równie nieubłaganego, jak... sprawiedliwego! — ozwała się Kornelia ironicznie.

Domicyan, nie zwracając pozornie na tę ironię uwagi, mówił spokojnie dalej:

— Przybyłem tutaj, aby ci dać możność dokonania wyboru pomiędzy życiem i śmiercią, pomiędzy sławą i hańbą. Powtarzam ci więc raz jeszcze, że chcę Domicyi się pozbyć, a tobie dać jej stanowisko... Wszyscy uważają cię za winną i nie łatwo mi będzie przywrócić ci twoją dobrą sławę. Ale potęga władzy mojej wszystkiego dokona. Oświadczę, że słowa moje zostały źle zrozumiane, a skoro tylko ogłoszę cię jako swoją małżonkę, cały Rzym padnie do twoich stóp. Gdybyś jednak w zaślepieniu swem trwała w uporze i odrzuciła moją łaskę, wtedy oczekiwać cię będzie okropna śmierć, a roczniki mego panowania uwiecznią twą hańbę. Wybieraj zatem, co wolisz?...

— Wybieram... śmierć! — odparła Kornelia.

Domicyan, zgrzytając zębami, porwał na sobie tunikę. Opór westalki wprowadził go w wściekłość. Oczy cezara rzuciły błyskawice gniewu na Kornelię. Zbliżając się do niej, rzekł po chwili tonem, mrożącym krew w żyłach:

— Nie wiesz więc, jak okrutna oczekuje cię kara... Nie wiesz, że będziesz musiała żywcem zstąpić do ciemnego grobu?...

Okrzyk rozpaczy wydarł się z piersi Kornelii. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że mogła zginąć w sposób tak okrutny. Myśl, że zamknięta w grobie musi skonać z głodu, przyprawiała ją wprost o stratę zmysłów. Oburącz przycisnęła swe skronie i ogarnięta strachem śmiertelnym, trwała chwilę w milczeniu. Już w przystępie słabości miała się ugiąć przed wolą cezara, gdy nagle zdało się

jej, iż widzi postać swej matki, zstępującej do celi więziennej, w świetlanej gloryi. Świetlana postać matki zdawała się jej wskazywać drogę cnoty i zapewniać o swej obronie.

Spokój i siła znów wróciły do serca westalki pod wpływem tego zjawiska, więc, podnosząc dumnie głowę, rzekła spokojnie:

— Wybieram śmierć! Wybieram śmierć!

Domicyan, miotany wściekłością, ruszył ku drzwiom, ale w progu odwrócił się raz jeszcze.

— Czy jesteś mocno zdecydowana na śmierć taką, o jakiej mówiłem? — zapytał.

— Tak jest i... jeśli chcesz się okazać wobec mnie wspaniałomyślnym, to ześlij mi ją jak najrychlej.

Cezar opuścił więzienie i wrócił do pałacu. W progu natknął się na Domicyę, która zagadnęła go, czy prawdziwe są wieści, głoszone o Kornelii. Domicyan odprawił ją w zwykły, grubiański sposób i powrócił do swych pokojów.

Domicya odprowadziła go spojrzeniem i szepnęła gniewnie:

— Jedno z nas dwojga nie powinno się już znajdować na świecie...

To rzekłszy, Domicya gnana ciekawością, udała się do zamku Numy, nie żywiąc najdalszego nawet podejrzenia co do rzekomej winy Kornelii.

Tymczasem Domicyan zwołał kapłanów i przedstawił im przestępstwo Kornelii. Któżby śmiał powątpiewać w świadectwo cezara? Jednogłośnie uznano, iż Kornelia winna być na śmierć skazana, a jak Pliniusz zapewnia, Domicyan wyraził życzenie, ażeby westalkę żywcem pogrzebano. Ponadto cezar nakazał urządzić w świątyniach Rzymu nadzwyczajne nabożeństwa, aby, jak mówił, przebłagać gniew bogów.

Tegoż dnia lud rzymski dowiedział się, że święty ogień Westy z winy jednej z westalek zagasł. Wszyscy przerażeni zostali tem wydarzeniem, uważając je za zły prognostyk. Wkrótce masy ludu zgromadziły się przed świątynią, gdzie powietrze drżało od zanoszonych do bogini modłów i od przekleństw, rzucanych na wiaro-

łomną westalkę. W tej masie ludu znajdowali się jednak i tacy, którzy niezbyt wierzyli oskarżeniom Domicyana, wiedząc, iż cezar był zdolny skazać na śmierć niewinną nawet niewiastę. Nikt nie ważył się oczywiście podnieść głosu w obronie westalki, wobec masy szpiegów, kręcących się wśród ludu.

I Parys znajdował się wśród tłumu, spoglądając w całkowitem odrętwieniu na świątynię. Co go tam przyciągnęło, sam sobie z tego nie zdawał sprawy. Obawa o życie Kornelii i oburzenie na cezara doprowadzały go do szaleństwa. Oskarżał sam siebie, iż jest głównym powodem tak surowego obejścia się cezara z Kornelią, albowiem nie powinien był pokazywać się cezarowi na oczy w miejscu zakazanem. Pierwszą jego myślą było samemu przyznać się do winy i wykazać niewinność westalki. Gdy jednak zastanowił się, przyszedł do wniosku, iż nikt słowom gladyatora, a niedawnego wyzwoleńca, nie da wiary i że cezar poleci stracić go natychmiast — zmienił swe postanowienie. Nie z obawy przed śmiercią to uczynił, lecz, aby uratować Kornelię. Oprócz siły jednak — nic więcej nie posiadał, czemby mógł służyć westalce. Mimo wszystko, za wszelką cenę, postanowił ją ocalić. Nie wiedział, jak się zabrać do tego dzieła, nie miał jeszcze żadnego planu, ale wierzył, że Bóg mu dopomoże, że nie dopuści, aby niewinność córki Faustuli nagrodzona została — śmiercią.

Pocieszony tą myślą, Parys zamieszał się w tłumy. Nadstawiając ucha tu i ówdzie, gdy usłyszał przypadkiem przekleństwo, rzucane na westalkę, przygryzał sobie do krwi wargi i z trudem wielkim panował nad sobą, aby nie zmiażdżyć tego, który śmiał imię niewinnej Kornelii znieważać.

Na chwilę Parys zatrzymał się przy grupie młodych patrycyuszy.

— Za dwa dni Kornelia będzie żywcem pogrzebana — oświadczył ktoś z grupy.

— Wiem o tem — ozwał się drugi patrycyusz i złośliwie spoglądając dookoła, dodał:

— Zdaje się, jak gdyby cezar znajdował przyjemność w traceniu westalek. Przecież od czasu swego

wstąpienia na tron już czwartą westalkę wysyła na łono Plutona.

— Na Wenus! Niech mu ta przyjemność idzie na zdrowie! — zawołał trzeci patrycyusz. — Powiedzcie mi jednak, gdzie ona będzie pogrzebana?

— Tam, gdzie składane są ciała wszystkich winnych westalek, w Campus Sceleratus.

Parys wysunął się szybko z pośród tłumów ludzi i zwrócił swe kroki ku willi Tulioli.

— W Campus Sceleratus... w Campus Sceleratus... — mamrotał przez drogę i wzdychając, błagał Boga, aby mu jego bezgraniczną rozpacz wybaczył.

Znalazłszy się na progu mieszkania wdowy Tulioli, Parys zawahał się chwilę, ujrzał bowiem Sekstusa, prowadzącego ożywioną rozmowę z Floronią i Tuliolą.

Floronia wybiegła żwawo naprzeciw Parysa.

— Jakież wiadomości nam przynosisz? — zagadnęła żywo.

— Jest już osądzona! — odrzekł Parys.

— Na śmierć? — blednąc zapytał Sekstus.

— Ma być żywcem pogrzebana!

Floronia wybuchnęła płaczem, Tuliola zaś, wyciągnąwszy ręce ku niebu, westchnęła: „Boże, ulituj się nad córką Faustuli!“

Sekstus tylko tupnął gniewnie nogą i potrząsając głową o bujnych włosach, zawołał:

— Jestto hańbą oskarżać niewinną dziewicę i skazywać ją na śmierć, pełną sromu!

— Czyż Kornelia jest pierwszą niewinną ofiarą, którą Domicyan na śmierć skazał? — rzucił z goryczą Parys.

— Nigdy Rzym nie będzie świadkiem tak haniebnego czynu! Wystąpię wobec senatu, wykażę przed nim niegodziwość cezara i jeśli jeszcze kropla dawnej, szlachetnej krwi płynie w żyłach patrycyuszy i ludu, to kraj Kwirytów powstanie na moje wezwanie przeciw tyranowi! — zawołał patrycyusz i rzucił się z młodzieńczą lekkomyślnością ku drzwiom, ale Parys ujął go silnie za ramię.

— Pozostań tu, gdzie jesteś — rzekł doń. — Sam

tylko siebie narazisz. Zaledwie wysuniesz się ze swego ukrycia, zostaniesz schwytany i wtrącony do więzienia. Pójdziesz na śmierć, nie uratowawszy Kornelii.

— Mam więc pozostać bezczynny wówczas, gdy imię moje jest znieważane, gdy krewna moja ma być żywcem grzebana?

— Nie jesteś w stanie nic dla niej uczynić!

— Któż więc inny może ją uratować?

— Ja... — odrzekł Parys, a jego gigantyczna postać wydała się w tej chwili jeszcze bardziej majestatyczną. — Ja... — powtórzył Parys — który jestem przyczyną jej zguby...

— W jakiż to sposób? — zagadnął natarczywie Sekstus.

— Dowiesz się o tem, skoro tylko znajdę środki do wykonania mego planu... Brak mi pieniędzy, czy nie mógłbyś mi ich dostarczyć?

— Nie posiadam nawet szeląga. Cały mój majątek jest w rękach niewolników, a ci nie usłuchaliby mnie nawet wtedy, gdybym im przesłał polecenie, aby cię w pieniądze zaopatrzyli. Nie znam też nikogo, ktoby mi zechciał służyć pomocą. Przyjaciele moi?... Ha! Dobrzy byli przy pijatyce i zabawie. Rozlecieli się, niby piasek pod tchnieniem wichru, skoro tylko nieszczęście nademną zawisło. Uciekliby odemnie, jak od zapowietrzonego, gdybym tylko zechciał się do nich zbliżyć...

— Ja też nie posiadam nic... nic... — westchnęła Floronia.

— Biedni jesteśmy wszyscy! — rzekła Tuliola.

— Nie mogę pojąć tego, ażeby plan twój, Parysie, mógł się rozbić o brak tego nędznego kruszczu, którego posiadanie łotra — ośmiela, wyrzutka społeczeństwa — uszlachetnia; tego bożka, przed którym wszystko w prochu się korzy, który występek w cnotę, a zaś brzydotę — w piękno przemienia.

— Bóg jest potężniejszy, niż złoto i przed Jego wolą nikną wszelkie niemożliwości ziemskie — ozwała się pobożnie Tuliola.

Parys stał pogrążony w milczeniu, patrząc smutnie przed siebie, gdy Sekstus, który, nie znając nawet planu

Parysa, z góry wątpił w jego powodzenie, rzekł doń tonem całkiem beznadziejnym:

— Pieniędzy nigdzie nie zdobędziesz, napróżno więc marszczysz swe czoło.

— Słuchaj, patrycyuszu! — odrzekł z prostotą gladyator. — Ramię moje jest jeszcze silne, ciało moje też nic jeszcze z swej mocy nie straciło. Jestem wprawdzie chrześcijaninem, nie wolno mi więc walczyć z bliźnimi, ale mogę się jednak dla uratowania Kornelii sprzedać...

Okrzyk zdumienia wybiegł przy tych słowach z ust patrycyusza. Milcząc ujął on rękę gladyatora i, ściskając ją gorąco, rzekł wzruszony:

— Wprawdzie jesteś mym wyzwoleńcem, ale w rzeczywistości nie wart jestem być twym przyjacielem.

— Nie chwal mnie patrycyuszu, gdyż nic jeszcze dotychczas nie uczyniłem... Lanista handluje niewolnikami. Sprzedał mnie niedawno za tak wysoką cenę, że chętnie mnie raz jeszcze kupi, aby potem nanowo odsprzedać. Udam się więc do niego, ale z tem zastrzeżeniem, że pozostawi mi jeszcze trzy dni swobody, a przez ten czas uratuję Kornelię.

— Sądzisz więc, że lanista wypłaci ci naprzód pieniądze?

— Jak możesz, patrycyuszu, o tem wątpić? Dla każdego z handlarzy, kupczących niewolnikami, przedstawiam większą wartość, aniżeli to sobie wyobrażasz. Każdy z nich zgodzi się na moją propozycyę.

— Będę więc wraz z tobą dzielił twe niebezpieczeństwa i współdziałał w ratowaniu Kornelii — oświadczył ze stanowczością Sekstus.

— Nie potrzebuję twej pomocy, ażeby trunkami napoić straż pretoryańską. Kilku niewolników zupełnie mi wystarczy... Ale czas ucieka... Po powrocie mym dowiesz się, co postanowiłem.

To rzekłszy, Parys zwrócił się do Floronii i Tulioli z prośbą, aby się modliły o powodzenie zamierzonej akcyi, poczem wysoka postać jego zniknęła w drzwiach.

XVII.

Niespodziewana pomoc.

Wkrótce potem Parys zjawił się u lanisty. Ten oświadczył, że chętnie go kupi, ale pod warunkiem, że gladyator wróci do amfiteatru. Parys, jako chrześcijanin, brzydzący się teraz krwawem rzemiosłem, nie mógł się na to zgodzić, odszedł więc pełen rozczarowania. Szedł ulicami Rzymu, zamyślony i zgnębiony, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, dokąd podąża. Tysiące planów rodziło się w jego głowie, ale każdy okazywał się niewykonalnym. Przyjaciół, którzy byliby w stanie mu dopomódz, nie miał, a tymczasem czas biegł chyżo. Dwa dni tylko, a grób zamknie się na zawsze nad nieszczęśliwą ofiarą pomsty cezara!

Myślami temi do szaleństwa niemal doprowadzony Parys, szedł żwawo, gdy nagle musiał się zatrzymać, aby wyminąć stojącego przed nim męża, strojnego w togę senatorską. Był to starzec, liczący około 70 lat. Twarz jego miała wyraz takiej dobroci, iż Parys wpatrzył się w niego, a gdy starzec ruszył w swoją drogę, gladyator mimowoli szedł jakiś czas za nim. Idąc tak, stał się nagle świadkiem następującej sceny. Oto kilkunastu chłopców poczęło na ulicy obrzucać kamieniami jakiegoś obszarpanego chłopczynę, który przypadł do kolan patrycyusza, prosząc go pełnem rozpaczy spojrzeniem o ratunek.

— Cóżeś im złego uczynił? — zapytał starzec.

Chłopiec nic nie odrzekł, jak gdyby pytania tego nie słyszał, tylko patrzał odrętwiały w twarz patrycyusza, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki.

— Czego męczycie tego nieszczęśliwca? — zapytał starzec, zwracając się z kolei do gromady chłopców, gotowych już do nowego ataku.

— To jest zwaryowany Fabiusz głuchoniemy! — zawołali chłopcy chórem.

— Skoro natura tak go upośledziła, to powinniście

mu współczuć, a nie prześladować go — rzekł oburzony patrycyusz.

— To jest syn Nazarejczyka, który zginął na arenie! — wołali dalej chłopcy, usprawiedliwiając w ten sposób swoje postępowanie.

— Na Jupitera! Czyż to jest winą tego nieszczęśliwego stworzenia?

Starzec surowo skarcił następnie chłopców, którzy się rozbiegli w różne strony. Tymczasem z przedsionka jednego z pobliskich domów wyszła poważna wiekiem niewiasta, która, przystąpiwszy do patrycyusza, rzekła pokornie:

— Szlachetny senatorze! Wybacz zuchwałość tego chłopca, który śmie dotykać się twojej togi.

— Jestże on twoim synem?

— Nie! Z współczucia jedynie przyjęłam go pod dach swój.

— Osobliwe to współczucie, skoro możesz znieść, ażeby chłopiec ten był pośmiewiskiem ulicznej gawiedzi — ozwał się surowo patrycyusz i wciskając w dłoń niewiasty złotą sztukę monety, dodał:

— Bądź dobrą dla chłopca, miej o nim staranie, a ja będę cię za to stosownie wynagradzał.

To rzekłszy, senator ruszył dalej, nie wiedząc wcale, jak dalece jego dobre serce wzruszyło gladyatora.

Naraz przyszło Parysowi na myśl, czyby nie dobrze było zaofiarować swe usługi temu dobremu patrycyuszowi. Gladyator długo się wahał, aż w końcu, widząc, że senator zatrzymuje się przed jednym z domów, pod którym oczekiwał już nań stary niewolnik, powziął szybką decyzyę i, zbliżając się szybko do patrycyusza, rzekł:

— Szlachetny senatorze, gdybyś zezwolił, to pragnąłbym z tobą pomówić.

Starzec zmierzył Parysa od stóp do głów i jak gdyby obawiając się jakiejś zasadzki, cofnął się instynktownie ku swemu niewolnikowi, wkrótce jednak dobrodusznym tonem zapytał:

— Mów! Czego sobie życzysz?...

Miast natychmiastowej odpowiedzi — rumieniec wstydu oblał twarz gladyatora. Zamiar sprzedania sa-

mego siebie wydał mu się tak godnym pogardy, że wstyd na jeden moment zamknął mu usta. Opanowując jednak targające jego piersią uczucia, rzekł po chwili wahania tonem, pełnym determinacyi:

— Senatorze! Jestem zdrów i silny, nadaję się do ciężkich robót. Błagam cię, zechciej mnie nabyć...

— Nie brak mi niewolników — rzekł surowo senator, zaraz jednak dodał łagodniej:

— Po powrocie z długoletniego wygnania zastaję dobra moje pokonfiskowane. Niewielu wprawdzie mam niewolników, ale w moich warunkach nie mogę być zbyt rozrzutnym.

Bolesne westchnienie wydarło się z piersi gladyatora i strach śmiertelny rozlał się na jego twarzy.

— Dlaczego chcesz się koniecznie sprzedać? — zapytał natarczywie starzec. — Wolność jest nigdy nieopłacona, a ty chcesz się zaprzedać? Potrzebujesz pieniędzy, to pracuj. Czemże byłeś dotychczas?

— Byłem gladyatorem, teraz zaś jestem wyzwoleńcem — odrzekł Parys.

— Gladyator! — powtórzył jak echo patrycyusz i, wskazując palcem na wyzwoleńca, mówił dalej wzburzony:

— Uchodź precz! Jeśli byłeś niewolnikiem i chcesz nim ponownie pozostać, to nędzną musisz mieć duszę. W cyrku tarzałeś się w krwi i kale, a teraz wolność cię gniecie, gdyż brak ci środków do zaspokojenia twych pożądliwości. Szukasz schroniska pod moim dachem, aby cenę twej hańby tem łatwiej zmarnotrawić. Słyszałeś zapewne, że jestem pobłażliwym panem... Raz jeszcze mówię ci: precz z mych oczu! W domu moim mieszkają tylko uczciwi ludzie, dla takich, jak ty, drzwi moje są zamknięte.

Słowa te głęboko dotknęły Parysa. Przygnębiony niezasłużonem upokorzeniem, zwiesił głowę na piersi, wkrótce jednak znów ją podniósł i rzekł stanowczo, ale łagodnie:

— Nie sądź porywczo tych, których nie znasz, patrycyuszu! Nie jestem tak złym, jak sądzisz. Wierzaj mi, że wolność jest mi droższa nad życie. Tylko dlatego,

ażeby módz spłacić dług wdzięczności, pragnę powrócić do stanu niewolnictwa.

Patrycyusz spojrzał badawczo w twarz Parysa i — uwierzył jego słowom.

— Chcesz zatem wyzbyć się wolności, ażeby dług wdzięczności spłacić? — zapytał senator, kładąc rękę na ramieniu Parysa.

— Tak, patrycyuszu! Gdy byłem jeszcze niewolnikiem, pewna szlachetna istota uchroniła mnie od surowej kary, a teraz grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

— Ażeby tę istotę uratować, chcesz się zatem w niewolę zaprzedać?

— Tylko pieniądze mogą mi w tem dopomódz, a nie posiadam nic, prócz silnych mięśni — odrzekł smutnie Parys.

Senator nic nie odrzekł. Odwrócił się tylko, aby obetrzeć niepostrzeżenie łzy, cisnące mu się do oczu, poczem ujął dłoń atlety w swoje białe, delikatne ręce i rzekł wzruszony:

— Chodź, jesteś godzien wnijść pod dach mój.

Twarz Parysa promieniała radością, gdy wstępował w progi senatorskiego domu. Wszedłszy do sali, tablinum zwanej, w której zazwyczaj przechowywano manuskrypty, starzec rzekł do Parysa:

— Oczekuj tu na mnie, gdyż w tej chwili wrócę.

Istotnie starzec wrócił po chwili, niosąc skórzaną sakwę, pełną pieniędzy, położył ją przed Parysem i rzekł dobrodusznie:

— Nie jestem wprawdzie bogaty, ale posiadam wszystko, czego potrzebuję. Zbytku nie pożądam. Weź przeto te pieniądze, spłać swój dług wdzięczności i zachowaj dla siebie swą wolność.

Parys nie znalazł słowa podzięki. Wyraz nieograniczonej wdzięczności zastygł na jego twarzy. Jedną ręką ująwszy sakwę, drugą chwycił rękę starca, przywarł do niej usty i oblewał ją łzami.

— Nie dziękuj mi, proszę. Przez wyświadczenie ci przysługi jestem bardziej niż ty uszczęśliwiony. Spiesz teraz ratować swego dobroczyńcę.

Już Parys był w progu, gdy patrycyusz, przywołując go napowrót, zapytał:

— Jak się zwiesz i czyim jesteś wyzwoleńcem?

— Gdy dzieckiem jeszcze będąc, dostałem się do niewoli, dano mi imię Parys.

— Jesteś więc gladyatorem, którego sława doszła aż do miejsca mego wygnania. A któż cię wyzwolił?

— Patrycyusz Sekstus Sabinus...

— Sekstus Sabinus! Siostrzeniec mego przyjaciela, Flawiusza? O, jakże pragnąłbym zobaczyć tego młodzieńca, którego niegdyś na kolanach swych pieściłem.

— Sekstus jest zbiegiem.

— Dlaczego?

— Skazany przez Domicyana na więzienie, przepędza dni w bezpiecznem, lecz ciemnem schronisku.

— Biedny Sekstus! Iluż to zasłużonych obywateli pada ofiarą tyrańskiwa, a jednak Rzym nie dość ma tego despotyzmu! — mruknął senator.

Żałując po chwili słów tych, senator starał się odwrócić od nich uwagę gladyatora, pytał więc dalej:

— Powiedz mi więc, co dzieje się z córką mego przyjaciela Flawiusza, Kornelią Sabiną, pięknem dziewczęciem, poświęconem służbie kapłańskiej.

— Kornelia Sabina wczoraj właśnie została na śmierć skazana! — odrzekł drżącym głosem Parys.

— Na śmierć skazana! — zawołał starzec, załamując ręce. — Ona to jest więc ową występną kapłanką, o której tyle dziś mówiono! Ale wyrok ten jest sprawiedliwy! Śmierć jest lekką karą dla tych, którzy hańbią swe sławne imię i nie wypełniają obowiązków!

— Nie oskarżaj, szlachetny senatorze, niewinnej ofiary! — wykrzyknął nagle Parys.

— Niewinnej ofiary! — powtórzył z odcieniem ironii starzec. — Ale czyż nie jesteś jedynym, wierzącym w niewinność tej, którą wszyscy potępiają? Czyż sąd kapłanów nie uznał jej winy?

— Uznał, niestety, ale stało się to pod wpływem i przewodnictwem Domicyana, który pragnął śmierci westalki, ażeby się na niej pomścić.

— Mów jaśniej! Nie obawiaj się! Byłem przyja-

cielem Flawiusza i Faustuli, mam więc prawo dowiedzieć się prawdy — rzekł senator, poruszony nowinami do głębi.

Po długiem wahaniu Parys opowiedział senatorowi o zajściu nocnem w świątyni i towarzyszących mu okolicznościach. Patrycyusz drżał ze wzruszenia, ale mimo to skarcił Parysa za to, iż śmiał przekroczyć próg zakazany, w końcu zaś, patrząc gladyatorowi bystro w oczy, zapytał:

— Czy zna ciebie córka Flawiusza?

— Nie, ocaliła mnie tylko przed karą, nie obdarzywszy mnie nawet spojrzeniem.

— Więc to Kornelia jest tą istotą, dla której pragnąłeś się sprzedać?

— Tak... Chcę ją ocalić! — brzmiała pełna zapału odpowiedź Parysa.

Senator, przemierzywszy krokami kilkakrotnie salę, zatrzymał się przed gladyatorem i rzekł kategorycznie:

— Kornelia za wszelką cenę musi być uratowana! Gdyby nie wystarczyły moje pieniądze, to mam przyjaciół, u których zaciągnę pożyczkę. Życie moje teraz bardziej, niż kiedykolwiek, należy do ojczyzny, nie mogę więc go teraz narażać dla uratowania dziewczęcia... Ale Kornelia musi być wyzwolona z rąk oprawców! Użycie gwałtu byłoby nierozsądnem. Gdyby nawet prawdą było, że Fortuna służy śmiałkom, to jednak prawdą jest także, iż często odwraca się od nich i strąca ich w przepaść nieszczęścia.

— Nikt nigdy się nie dowie, że grób zostanie otwarty i że życie niewinnej ofiary będzie ocalone — ozwał się Parys i dodał:

— Opatrzność Boża czuwać będzie nademną.

— Czy nie przywołujesz na pomoc bóstwa Nazarejczyków?

— Jestem chrześcijaninem — przyznał się otwarcie Parys.

— Nie żywię nienawiści do Nazarejczyków — oświadczył sędziwy senator. — Przeciwnie, częstokroć podziwiałem ich szaloną odwagę, okazywaną nawet wobec tortur. Gdybym został, co jest zresztą bardzo niepra-

wdopodobne, proklamowany cezarem, to wyznawcy Ukrzyżowanego mogliby wówczas żyć w pokoju, wolni od prześladowań i udręki...

— Z pewnością byłbyś godniejszym, niż ktokolwiek inny cesarskiego dyademu — wykrzyknął Parys.

Patrycyusz z uśmiechem potrząsnął głową i pożegnał gladyatora, który pospieszył co sił starczyło z dobrą nowiną ku willi Tulioli.

XVIII.

Żywcem pogrzebana.

Nadszedł ów dzień straszny, kiedy przed Kornelią położono szatę skazańców. Na widok tej szaty łkanie spazmatyczne wstrząsnęło ciałem westalki. Niewzruszony tem jednak dozorca rzekł do niej surowo:

— Odziej się natychmiast w tę szatę. Słońce już dawno wzeszło i zanim połowę swej drogi przebieży, będziesz musiała zstąpić do grobu...

Okrzyk rozpaczy wydarł się z piersi Kornelii. Chciała powstać, ale nogi ugięły się pod nią i padła na kamienną podłogę, skrapiając ją rzęsiście łzami. Wreszcie i łzy się wyczerpały. Otarła powieki, powstała i rzucając spojrzenie na swą białą szatę, zawołała:

— Chcę umrzeć w swej białej szacie!

W odpowiedzi na ten okrzyk rozległ się w celi więziennej szyderczy śmiech dozorcy. W wyrazach obelżywych oświadczył on jej, iż jeżeli po powrocie zastanie ją jeszcze w szacie kapłanki, to sam ją obnaży i przyoblecze w togę „sordida“ zwaną, ponieważ noszona była przez przestępców.

Pod wpływem tej groźby purpura oblała oblicze westalki. Po wyjściu dozorcy, długo zalewała się gorzkiemi łzami, aż wreszcie rozpięła sprzączkę nad czołem. Długie włosy, zwolnione z upięcia, spadły jej szeroką falą na ramiona. Kornelia, westchnąwszy głęboko, przywdziała następnie hańbiącą szatę.

Wkrótce zjawili się oprawcy, którzy mieli ją zaprowadzić na plac egzekucyi. Kornelia podniosła się w milczeniu i, przywołując cienie Faustuli na pomoc, postanowiła przybrać postawę pełną dumy, aby nie budzić litości w zgromadzonych tłumach i by wyglądem swym okazać, iż we własnem przekonaniu nie czuje się winną.

Nie chyląc więc głowy i nie spuszczając dumnych spojrzeń, stanęła w pośród oprawców. Piękne kształty jej ciała, nie osłonięte fałdami długiego, kapłańskiego płaszcza, uwydatniły się teraz z pełnym wdziękiem. Gdy Kornelia doszła do miejsca, gdzie oczekiwała na nią eskorta, oczy wszystkich skierowały się na nią. Tłum spoglądał z zachwytem i zdumieniem na piękną i mimo strasznego wyroku spokojną westalkę.

Domicyan polecił, aby stracenia westalki dokonano z jak największą pompą, przeto pochód Kornelii w otoczeniu eskorty przybrał charakter uroczystości tryumfalnej.

Na czele jechał cezar na kwadrydze, zaprzężonej w cztery rumaki, a za nim postępowali zwolna kapłani z wróżbitami na czele, słudzy z pochodniami, a wreszcie westalki. Pochód zamykał magistrat Rzymu i deputacya stanu rycerskiego, za którą szła, otoczona przez katów i gwardyę pretoryańską, Kornelia. Jeden z katów niósł lampę, drugi zaś dzbanek wody i bochenek chleba, postępujący zaś tuż za Kornelią niewolnik niósł gałązkę cyprysu na znak, iż pod karą śmierci nie wolno nikomu zbliżyć się do skazanej.

Pochód zmierzał zwolna w kierunku Campus sceleratus. Wzdłuż drogi, prowadzącej do miejsca stracenia, zgromadzone były tłumy rzymskiego ludu. Każdy pragnął widzieć nieszczęśliwą ofiarę, idącą na śmierć w kwiecie wieku. Na widok tych tłumów odwaga Kornelii poczęła słabnąć. Na myśl jednak, że ten tłum, przyglądający się jej ciekawie, uważa ją za winną — zapomniała o własnym losie. Spoglądając z dumą i pogardą dookoła, kroczyła śmiało środkiem, modląc się w duszy, aby gromy Jupitera spadły na rozbestwionych współobywateli.

Nagle okrzyk uleciał z ust westalki. Zdawało się jej, że dostrzegła wśród tłumów szlachetne oblicze tej

tajemniczej istoty, która ukazała się jej w świątyni owej krytycznej nocy. Kornelia wyciągnęła obie ręce w tamtą stronę, ale zjawisko znikło w mgnieniu oka.

W przekonaniu, że było to tylko złudzenie, Kornelia przymknęła powieki, z trudem powstrzymując łzy, cisnące się jej do oczu. Gdy po chwili znów rozejrzała się wśród tłumów, ujrzała Floronię, która, stojąc na jakiemś wzniesieniu, przesyłała jej ręką ostatni pocałunek.

— Biedna Floronio, ty przynajmniej wierzysz w niewinność przyjaciółki i przybyłaś tu po to, aby się ze mną pożegnać — szepnęła Kornelia, przyciskając na znak podziękowania, rękę do serca.

Tymczasem pochód dotarł do miejsca egzekucyi. Pierwsze szeregi stanęły już na rozległem, otoczonem ogrodami, polu, przeznaczonem na cmentarz dla występnych westalek. Tu i ówdzie wznosiły się porośnięte trawą pomniki. W pośrodku tego cmentarza znajdował się grób, przeznaczony dla Kornelii. Była to właściwie wykuta w kamienistym gruncie cela, do której się schodziło po drabinie przez kwadratowy otwór. Kamień, zajmujący prawie połowę tej celi, stanowić miał śmiertelne łoże dla Kornelii, która po zjedzeniu resztek chleba i zużyciu oliwy w lampce — walczyć miała z śmiercią głodową wśród strasznych ciemności.

Przybywszy na miejsce, Domicyan wstąpił na ustawioną wprost grobu trybunę. Kapłani i westalki ustawieni zostali po bokach trybuny w dwa rzędy, resztę zaś wolnej przestrzeni zajęła stłoczona ciżba ludu.

Na widok grobu Kornelia zadrżała. Pragnąc jednak jak najrychlej przestać być igraszką tłumu, ruszyła żwawo ku miejscu swego wiecznego spoczynku, a mijając trybunę cezara, wyciągnęła ku niemu prawicę i zawołała:

— Cezarze! Mój cień zagniewany powróci i sen spędzać będzie z twoich oczu!

Cezar zadrżał...

W tej chwili byłby gotów odwołać wyrok z obawy, że cień Kornelii powiększy jeszcze liczbę tych strasznych widziadeł, które mu dniem i nocą nie dawały spokoju..

Westalki i kapłani zasłonili płaszczami twarze, aby

nie patrzeć na westalkę, przystępującą do czeluści grobowej. Najpierw zszedł do grobu jeden z katów. Pozostawiwszy tam lampę, dzbanek z wodą i bochenek chleba, wrócił i, ująwszy Kornelię za rękę, rzekł rozkazującym tonem:

— Chodź, wszystko już gotowe...

Głęboko wzdychając, rzuciła jeszcze Kornelia spojrzenie na ziemię, porosłą dokoła kwiatami, poczem przystąpiła do grobu i już miała oprzeć stopę na pierwszym szczeblu drabiny, gdy rozdzierający serce okrzyk dotarł do jej ucha. Zawahała się chwilę. Nagle uczuła, iż ktoś ją obejmuje z tyłu i łkając mówi:

— Chcę iść do grobu wraz z tobą, Kornelio!

Kornelia przytuliła ukochaną Fabiolę, gdyż ona to była, do serca, i poczęła okrywać ją pocałunkami.

— Dziękuję ci, najdroższa Fabiolo! — mówiła Kornelia, całując serdecznie spłakaną twarzyczkę przyjaciółki, która w ostatniej chwili zdołała wyrwać się trzymającej ją silnie za rękę Flawii. — Powiedz swym towarzyszkom, ażeby nie przeklinały pamięci niewinnej dziewicy.

— Chcę wraz z tobą umrzeć! — wołała uparcie Fabiola, obejmując coraz silniej westalkę, ale jeden z kapłanów ujął ją silnie za ramię i gwałtem uprowadził ze sobą.

Widok zrozpaczonej Fabioli był nowym ciosem dla Kornelii, która, nie mogąc już powstrzymać łez, znów oparła stopę na pierwszym szczeblu drabiny i już miała zejść niżej, gdy powstrzymała ją gałąź cierniowa, leżąca na ziemi, która zaplątała się w jej suknię. Jeden z katów pospieszył, aby uwolnić jej suknię od cierni, ale Kornelia, czerwieniejąc od wstydu, odepchnęła dłoń zuchwalca i sama usunęła gałąź tak zręcznie, iż, jak zapewnia historyk owych czasów, nie dostrzeżono nawet końca jej trzewika.

Zajście to i ów rumieniec na twarzy Kornelii nie uszedł uwagi tłumów, zdziwionych niezmiernie skromnością dziewicy, skazanej za rzekomą nieobyczajność.

Kornelia, rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie w stronę westalek, szybko zstąpiła po szczeblach drabiny do grobu. Znalazłszy się w celi grobowej, padła na kolana i wy-

ciągnęła ręce ku otworowi, przez który wpadało do wnętrza światło dzienne. Z bijącem sercem wpatrywała się w ten promień światła, który za chwilę, po zasunięciu płyty grobowej, zniknął jej z oczu.

Zemście cezara stało się zadość — Kornelię otoczyły grobowe ciemności.

Po umocnieniu kamienia, zamykającego otwór grobu, kat nałożył nań jeszcze grubą warstwę ziemi, poczem kapłani i westalki, z wyjątkiem leżącej bez zmysłów Fabioli, obeszli trzykrotnie grób dookoła, przeklinając głośno imię żywcem pogrzebanej.

Ceremonia była skończona.

Tłumy poczęły się szybko rozchodzić do domów, nasycone niezwykłem widowiskiem. Nikt nie współczuł w tym tłumie Kornelii, oprócz chyba jednej tylko Floronii i Parysa. Floronia opłakiwała straszny los przyjaciółki. Parys zaś, po zstąpieniu Kornelii do grobu, zdawał się stracić zupełnie energię.

— Odwagi, bracie! — mówiła Floronia, pragnąc pokrzepić na duchu Parysa.

— Floronio, siostro moja! Drżę na myśl, że ta biedna istota, pozbawiona wszelkiej nadziei, skona w tym ciemnym grobie, zanim zdołamy ją ocalić. Obawiam się, że tej nocy wydobędziemy z grobu tylko jej martwe ciało...

— Parysie, pragnę ci dziś powtórzyć to, co do mnie wczoraj mówiłeś: „Dlaczego wątpisz małoduszny?“ Ty, który jesteś tak odważny i energiczny, słabość miałbyś okazać wówczas, gdy zbliża się upragniona chwila?... Nieść pomoc uciśnionym, to święty obowiązek. Miałżebyś się zawahać? Nie! Ty uratujesz Kornelię, uratujesz ją dla doczesnego i przyszłego życia, gdyż to rzecz pewna, iż Kornelia umarła już dla pogaństwa. Powtarzam ci, nie obawiaj się niczego i przystępuj do dzieła. Faustula i Anicet modlą się o powodzenie twego zamiaru przed tronem Boga.

— Niech Bóg ci błogosławi, Floronio! — rzekł Parys, ściskając dłoń Floronii. — Słowa twoje są dla mego serca kojącym balsamem. Nie wątpię już i wraz z tobą podzielam nadzieję, iż Kornelia będzie ocalona.

— Czy Sekstus będzie ci towarzyszył w tem przedsięwzięciu? — zapytało dziewczę.

— Nie! Ja byłem przyczyną wyroku, wydanego na Kornelię, ja więc tylko jeden narażać będę życie dla ocalenia westalki.

To rzekłszy, Parys rozstał się z Floronią i pospieszył do Rzymu przygotować przed nadejściem nocy wszystko, co do uratowania Kornelii było potrzebne.

XIX.

Pomiędzy życiem a śmiercią.

Noc była niezwykle ciemna. Jeden tylko punkt świetlny widać było w całej okolicy Campus sceleratus — to płonęła pochodnia pretoryańskiego gwardzisty, który miał strzedz grobu Kornelii aż do chwili, gdy przypuścić będzie można, iż nieszczęśliwa ofiara głodu nie żyje. Nie była jeszcze późna godzina, ale drogi, wiodące do cmentarza westalek, wszystkie były puste, gdyż nikt nie ważył zbliżać się nocą do miejsca, gdzie, według przesądów, krążyć miały cienie występnych westalek.

Straż grobu Kornelii składała się z siedmiu gwardzistów. Jeden z nich stał bez ruchu przy grobie, podczas gdy inni leżeli na trawie dokoła niskiego stołu, na którym stała urna z kartkami.

— Wszystko lub nic! — rzekł jeden z gwardzistów, wyrzucając kartki z urny na stół.

— Na Merkurego! Jesteś najszczęśliwszym z śmiertelnych na ziemi, Plautusie. Ile razy rzucisz kości, zawsze wypadnie ci dobra cyfra. Z pewnością, gdy byłeś jeszcze w żywocie matki, bogini Fortuna złożyła jej wizytę — rzekł najstarszy pretoryanin.

— Nie mów nic o matce mojej, której prochy oddawna już w urnie spoczywają i nie mów na tem miejscu o śmierci! — odrzekł Plautus, który, zadowolony ze swego szczęścia, oddał urnę w dalsze ręce.

— Góż to? — zawołał nagle Plautus, ujmując za

ramię najbliżej leżącego towarzysza. — Mówicie o śmierci, a oto spojrzyj tam, Terencjuszu. Zdaje mi się, jak gdyby cień biały podnosił się z ziemi i znikał.

— Zdaje ci się! — odrzekł Terencjusz, popatrzywszy w kierunku, wskazanym przez Plautusa. — Pozwól nam grać dalej i nie nudź już nas swemi wizyami!

— Ależ patrz... patrz!... — wołał Plautus.

Pretoryanie wytężyli wzrok, ale, nic nie widząc, sądzili, że Plautus umyślnie ich zwodzi.

Jeden z nich, zgniewany niewczesnymi figlami, rzekł do Plautusa:

— Jeśli zwidują ci się jakieś mary, to idź do nich, głupcze!

— To jest bezwątpienia cień jakiejś kapłanki, zapraszającej cię do towarzystwa — dodał drugi.

— Na Wenus! Ponieważ nie dajecie mi wiary, przeto idę tam — oświadczył Plautus, ruszając z miejsca.

Widząc jednak, że nikt mu nie towarzyszy, Plautus wrócił i zajął dawne miejsce.

— Plautus jest zającem podszyty! — zawołał jeden z pretoryanów.

— Tak, na cienie mojej matki przysięgam, iż istotnie jestem przejęty strachem! Gdyby chodziło o oddział pretoryanów, nie obawiałbym się wcale, ale z widziadłami poczynać nie mam najmniejszej ochoty.

— Pozwól nam więc grać dalej. Na ciebie kolej — rzekł Terencjusz.

Gra rozpoczęła się na nowo, ale po chwili nagle została przerwana. Pretoryanie skoczyli jak oparzeni i patrzyli odrętwiali ze strachu w stronę grupki mężczyzn, zbliżających się ku nim przy świetle pochodni. Nie zdając sobie sprawy, co może oznaczać to zjawisko, otoczyli grobowiec Kornelii i czekali z naprężeniem na dalszy bieg wypadków.

Wśród przybywających był nie kto inny, jeno Parys wraz z kilku niewolnikami. Czterech niewolników dźwigało na noszach kosz z jadłem, dwaj zaś inni nieśli ogromne dzbany wina. Poprzedzani byli przez gladyatora, przebranego za sługę cezara.

Parysowi towarzyszyli niewolnicy numidyjscy Sekstusa.

Niewolnicy ci byli przekupieni za pieniądze, których Parysowi użyczył sędziwy patrycyusz. Sowicie obdarzeni, nie troszczyli się oni bynajmniej o niebezpieczeństwo, a to tem więcej, że po szczęśliwej wyprawie, obiecano im jeszcze sowitszy naddatek.

Pretoryanie spoglądali jeszcze zdumieni na stojące przed nimi jadło, gdy Parys, przystąpiwszy do nich, rzekł:

— Przynoszę wam posiłek dla odświeżenia sił, wyczerpanych czuwaniem nad grobem Kornelii.

Wybuch radości był odpowiedzią na te słowa. Pretoryanie sławili wspaniałomyślność cezara, gdyż przypuszczali, że jemu mają do zawdzięczenia otrzymany posiłek.

Parys polecił złożyć przyniesione potrawy na trawniku w pewnej odległości od grobowca, sam zaś, rzucając ukradkowe spojrzenia na grobowiec, oddalił się po chwili. Tymczasem pretoryanie, z żarłocznością im właściwą, rzucili się do spożywania mięsiwa i owoców. Kielichy, napełnione po brzegi winem, poczęły krążyć z rąk do rąk. Nawet pretoryanin, pilnujący grobowca, połączył się z biesiadującymi kolegami, czyniąc uwagę, że przecież westalka nie ujdzie przez ten czas z grobu.

Gdy tak gwardziści pretoryańscy oddawali się, przy czerwonem świetle pochodni, rozkoszy trawienia, Parys, w towarzystwie numidyjczyka i jednego z niewolników Tulioli, osłonięty ciemnością, przyglądał się ucztującym z pewnego oddalenia. Nieopodal niego przykucnęła, niespostrzeżona przezeń, jakaś postać niewieścia w długiej, ciemnej tunice, z pod której przeglądała dłuższa jeszcze, biała szata.

Gdy pretoryanin, pełniący straż przy grobowcu, oddalił się ze swego posterunku, niewiasta ta, rozejrzawszy się dookoła, podbiegła chyłkiem do grobowca, przywarła do ziemi i wtuliwszy usta w trawę, zwilżoną przez nocną rosę, zawołała stłumionym głosem:

— Jestem tu, Kornelio, aby cię ocalić!

To rzekłszy, nieznajoma przysiadła na zboczu grobowca, wydobyła z zanadrza małą, mosiężną łopatkę i poczęła odgarniać nią ziemię.

— Na Endymiona! — krzyknął rozochocony Plautus — gdy pomyślę, że niektórzy z współobywateli śmią ganić Domicyana z powodu jego okrucieństw, to krew gotuje się we mnie! On jest istotnie najwspaniałomyślniejszym z cezarów rzymskich!

— I rozmiłowany jest w pretoryanach! — dodał drugi gwardzista, mający usta zapchane mięsiwem.

— Niechaj bogowie darzą go długiem życiem! — ozwał się trzeci. — Na przekór przeklinającym go patrycyuszom, gniewnym na niego za to, że wielu z nich na łono Plutona posyła i że senat i senatorów za nos, jak chce, wodzi. Pretoryanie staną też zawsze wiernie u jego boku, ilekroć potrzebować będzie ich pomocy.

— Na zdrowie i długie życie boskiego cezara! — wrzeszczał Plautus, wychylając jednym duszkiem wielki kielich i zachęcając towarzyszów do pójścia za swym przykładem.

Wkrótce cały zapas mięsiwa i owoców zniknął prawie bez śladu. Wysączona też została ostatnia kropla wina, do którego Parys domieszać kazał usypiającego napoju, sporządzonego przez numidyjczyków.

Plautus jeden z pierwszych zaczął przecierać sobie oczy i ziewać. Języki jego współbiesiadników poczęły się plątać. Miast rozmowy, słychać było już wkrótce niezrozumiały dla nikogo bełkot opilców.

— Wracam na swój posterunek — wybąkał gwardzista i chciał istotnie powstać z miejsca, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Runął więc na ziemię, wymamrotał jeszcze słów parę i usnął głęboko. Inni nie zwracali na niego uwagi. Każdego z nich przygważdżała ku ziemi senność, tak, iż wkrótce wszyscy posnęli przy okruchach potraw, spożytych z wilczym apetytem.

Widząc to Parys, przystąpił do śpiących i kopnięciem nogi przekonał się, iż każdy z nich śpi dość twardo.

— Nie obudzą się, choćby grzmoty rozległy się nad ich głowami — oświadczył numidyjczyk. — Należy jednak sprzątnąć te resztki jedzenia, ażeby po obudzeniu się rano mieli wrażenie, że ta uczta była snem tylko miłym.

Parys przyznał racyę niewolnikowi i polecił mu ukryć okruchy i porzucone kości jak najskrupulatniej, sam zaś, zaopatrzony w siekierę i łopatę, ruszył ku grobowcowi.

Nagle — odskoczył przerażony.

Z pod grobowca powstał jakiś cień ludzki, wyciągając ręce ku niemu. Nie wiedząc, co ma sądzić o tem zjawisku, Parys poszedł ku śpiącym pretoryanom, chwycił pochodnię i wrócił do grobowca.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w owym cieniu ludzkim rozpoznał najmłodszą z westalek, biedną Fabiolę, która, składając ręce, prosiła go o zlitowanie.

Jakkolwiek Parysa wzruszyło głęboko przywiązanie do Kornelii jej przyjaciółki, to jednak spotkanie się z nią przy grobowcu uważał za wypadek niepożądany. Nie chciał on, ażeby Fabiola była świadkiem ocalenia Kornelii, obawiał się bowiem, iż tajemnica ta mogłaby wyjść prędzej lub później na jaw. Nie wiedział ponadto, co począć z Fabiolą, za którą z pewnością następnego ranka czynione będą poszukiwania.

Parys ujął więc za rękę Fabiolę i rzekł łagodnie:

— Wracaj do świątyni i pozwól mnie ocalić Kornelię.

— Więc i ty pragniesz ją uratować! — wykrzyknęła radośnie Fabiola. — Spiesz się więc szlachetny, nieznany mi mężu, bo czas ucieka i Kornelia na śmierć zmarznie w tym ciemnym grobie.

— Wracaj do świątyni, a ja natychmiast przystąpię do dzieła — odrzekł Parys.

— Nie! — zawołała, tupiąc uparcie nogą Fabiola. — Pozostanę tu i nie wrócę już nigdy do świątyni! Zabroniono mi wychodzić z mego pokoju, gdyż i mnie zapewne zechcą żywcem w grobie pochować. Ale ja drwię sobie z ich zamiarów! Gdy noc zapadła i towarzyszki moje udały się na spoczynek, przywdziałam swą szatę kapłańską, otuliłam się w tunikę jednej ze służebnic i wymknęłam się ze świątyni, aby Kornelię uratować i wraz z nią umknąć.

Parys, słysząc to, drżał ze wzruszenia. Daremnie zaklinał Fabiolę, aby odeszła. Fabiola przysiadła na mo-

krej trawie i poczęła w dalszym ciągu odgrzebywać ziemię.

— Ach! nie odpędzaj mnie! — błagała. — Nie chcę czynić żadnego hałasu. Nie usłyszysz nawet mego oddechu... Słuchaj! Nawet Kornelia nie życzy sobie tego, abym odeszła...

To mówiąc, Fabiola przyłożyła ucho do płyty grobowej.

Parys był wobec próśb Fabioli bezsilnym. Postanowił wreszcie w jej obecności wykonać swój zamiar.

Gdy to się działo na zewnątrz, ofiara zemsty cezara leżała na swem łożu kamiennem, podnosząc od czasu do czasu głowę i spoglądając z drżeniem śmiertelnem na płytę grobowca, oddzielającą ją od świata i życia.

Lampa poczęła już gasnąć.

W grobowcu stawało się coraz ciemniej... ciemniej...

Mdłości poczęły chwytać Kornelię.

Czując, iż słabnie, westalka z wysiłkiem podniosła się z kamienia, ujęła drżącą ręką dzbanek z wodą i wysączyła zeń ostatnią kroplę.

— Resztka... — westchnęła. — Pragnienie mnie spali, głód dobije...

Kornelia rzuciła wzrokiem na leżący obok bochenek chleba i rzekła z goryczą:

— Jutro już zabraknie pożywienia dla mej ziemskiej powłoki... Światło zagaśnie i otoczą mnie ciemności... Jutro przetrwam jeszcze, a potem rozpocznie się powolne konanie i... śmierć! Bogini nie wysłuchała próśb moich! Także ty, o matko, mnie opuściłaś! Gdyby było inaczej, to cień twój by się zjawił, aby zaświadczyć o mej niewinności... Okrutna jesteś dla mnie, matko, a ja cię tak kochałam!... Porzuciłaś wiarę w bogi i zemsta ich spadła na mnie... Przyjęłaś wiarę w Boga, który każe za złoczyńców się modlić i być może, iż modlisz się w tej chwili za cezara!... Jeżeli jednak Bóg twój ma taką, jak mówią, litość nad nieszczęśliwymi, to powiedz mu, niech stanie w obronie niewinnej.

Kornelia umilkła i wystraszonym wzrokiem poczęła się rozglądać dookoła. Naraz podniosła się, gdyż zdawało się jej, że brak powietrza ją dusi. Rozpaczą wiedziona

weszła na stopnie drabiny, wdrapała się aż do płyty grobowca i próbowała ją podważyć, ale po chwilowym już wysiłku, opadła bezsilna na ziemię. Leżała dłuższą chwilę z zamkniętemi oczyma, bez ruchu. Naraz rzuciła okiem na skwierczącą i prawie wygasłą już lampę.

— Ciemność ta przeraża mnie bardziej, aniżeli śmierć sama! — szepnęła pełna trwogi. — O, matko! miej litość nad swą nieszczęsną córką, nad jej strachem śmiertelnym! Matko, duszę się... przybądź mi na pomoc, luby cieniu!

Kornelia utkwiła rozpaczliwe spojrzenie w lampie, która zaskwierczała raz jeszcze i... zgasła.

Okrzyk rozpaczy długi, przeraźliwy wydarł się z piersi westalki, a potem zapanowała głęboka cisza.

Kornelia leżała na ziemi, z trudem chwytając w płuca powietrze. Nie miała już sił, aby jęczeć lub wzdychać.

Bliska już była takiego stanu odrętwienia, który jest zwiastunem śmierci, gdy naraz usłyszała szmer jakiś nad swoją głową. Zbierając resztki sił, wsparła się nieco na rękach i poczęła nasłuchiwać...

Ale szmer ustał i westalka w najwyższej rozpaczy krzyknęła:

— Powietrza! Choć trochę powietrza!... Duszę się... O, Boże matki mojej! Wielki Panie wszechrzeczy, ratuj mnie!... Dlaczego odmawiasz mi swej pomocy?...

Odpowiedzią na to pytanie było silne uderzenie w płytę grobowca. Prąd świeżego, balsamicznego powietrza wionął na twarz westalki.

Przez uczyniony w grobowcu otwór Kornelia ujrzała wprost nad swą głową promienistą gwiazdę, błyszczącą na ciemnem tle nieba...

Westalka, wyczerpana z sił, przymknęła oczy — omdlała.

W tej właśnie chwili Parys, odwaliwszy płytę, znalazł się przy niej.

— Nie żyje! — krzyknął rozpaczliwie, widząc Kornelię, leżącą bez ruchu na ziemi.

Wziął ją czemprędzej na ręce, przebiegł żwawo z powrotem szczeble drabiny i ułożył westalkę pod grobowcem na wilgotnej trawie.

Fabiola poczęła okrywać twarz przyjaciółki pocałunkami, gladyator zaś stał nad nią odrętwiały z rozpaczy.

Tylko niewolnik numidyjski miał dość przytomności umysłu, aby nie pozwolić marnować czasu na niewczesne lamenta. Przyłożył rękę do serca Kornelii, a wyczuwszy jego tętno, podszedł do Parysa, potrząsnął go silnie za ramię i rzekł:

— Bądź mężczyzną, Parysie. Westalka popadła tylko w omdlenie. Jeżeli pozostaniesz nadal bezczynnym, to nietylko ją, ale nas wszystkich wtrącisz do grobu. Przedewszystkiem zamknijmy grób ponownie i uchodźmy stąd czemprędzej.

Parys, otrząsnąwszy się z oszołomienia, zastosował się do rady numidyjczyka i wkrótce nie pozostał ślad żaden, świadczący o naruszeniu grobowca. Wtedy Parys wziął na ręce Kornelię i ruszył wraz z numidyjczykiem i Fabiolą ku przygotowanej już w pewnej odległości lektyce, w której umieszczono obie westalki. Wkrótce Kornelia znalazła się w domu starego senatora, który dla uratowanej westalki przytułek i bezpieczeństwo był obiecał.

XX.

Wróceni do życia.

Jeszcze przed momentem uwolnienia Kornelii z grobowca, sędziwy senator siedział długo w tablinum swego domu nad wielkim porfirowym stołem. Lampa, stojąca na stole, rzucała słaby refleks na jego posiwiałą głowę. Senator był pogrążony w myślach, od czasu zaś do czasu, potrząsając głową, wyrzucał z siebie urywane słowa:

— Nie, nie chcę się sprzymierzać ze spiskowcami. Rzym ma już po uszy tyrańskich rządów Domicyana. Lud zbuntowany popełniać będzie nadużycia, z czego wyniknie wojna domowa. Ale ja nie chcę przy tem współdziałać. Państwo rzymskie, ów kolos, którego potężne ramiona ogarniają świat cały, poczyna się chwiać w posadach i walić, gdyż podstawy jego pruchnieją i są już zbyt przestarzałe... Senat jest już tylko zgromadze-

niem mężów bez wiary i poczucia wierności, bez energii i miłości ojczyzny... Gdy cezar brwi zmarszczy — mężowie stanu drżą... Lud bawi się, a nieobyczajność tryumfuje, ale tryumfy te podobne są do tryumfów gladyatora, który powalił swego przeciwnika, a wkrótce sam pada ofiarą obok pokonanego. Państwa, przeżarte jadem zgnilizny i zepsucia, padają samą siłą rzeczy i nie podnoszą się nigdy. Zostawiają tylko potomności pamięć obrazu swego smutnego upadku...

...Moi przyjaciele — monologował dalej senator — cenią mnie ponad zasługę i pragnęliby... Ale nie! Nigdy się na to nie zgodzę. Nie chcę za cenę występku wchodzić na wyżyny godności i zaszczytów. Choć złym i okrutnym jest Domicyan, jest on jednak dla mnie nietykalnym. Zresztą byłem ongi jego przyjacielem, jakkolwiek wszystkie me wysiłki, aby go natchnąć szlachetniejszemi uczuciami, szły, niestety, na marne. Jestem już starcem i nie mogę dla obrony ojczyzny chwycić za oręż. Ot, wycofam się lepiej do swojej willi, w której światło dzienne ujrzałem, powietrze ojczyste powróci mi siły, a stara ulubiona rzeka, nad którą, dzieckiem będąc, pląsałem, szemrać mi będzie zaczarowaną pieśń młodości mojej...

Patrycyusz umilkł i znów pogrążył się w zamyśleniu, po chwili jednak, przecierając ręką czoło, mówił dalej:

— Prawie zupełnie zapomniałem o córce Flawiusza! Było to nierozsądnie z mej strony, żem jej zaofiarował gościnę w moim domu. Ale ona jest przecież córką przyjaciela... Biedna dziewczyno! Wstyd i hańba okryją twoje imię, bo któż zechce uwierzyć w twą niewinność? Choć niewinna, będziesz musiała w samotności i pogardzie skończyć dni swoje... Ale czas ucieka, a ja go marnotrawię na próżnych, bezowocnych rozmyślaniach. Gladyator może lada chwila wrócić z Kornelią... Tylko na Cezoniusza spuścić się mogę...

Tak rozprawiając sam ze sobą, senator klasnął w dłonie i wkrótce zjawił się przed nim, czekając kornie na rozkazy, siwowłosy niewolnik.

— Powiedz mi, Cezoniuszu — zaczął senator — czy niewolnicy poszli już na spoczynek?

— Jeszcze nie, senatorze.

— Więc poleć im w mojem imieniu, żeby się udali do swoich izb; sam zaś idź do atrium, gdyż dziś jeszcze wieczorem oczekuję kilku gości. Będziesz tam na nich oczekiwał, a gdybym tymczasem zasnął, to po ich przybyciu natychmiast mnie zbudzisz.

— Rozkazy twoje, senatorze, będą spełnione dokładnie — odrzekł Cezoniusz i już miał odejść, gdy patrycyusz zagadnął go jeszcze:

— Czy zgłaszali się moi przyjaciele?

— Byli, ale powiedziałem im, żeś, senatorze, nieobecny.

— Dobrześ uczynił. Przykro mi wprawdzie, że muszę ich okłamywać, ale obecność ich tutaj mogłaby znów sprowadzić na mnie wygnanie, a może i śmierć... Wiesz, o czem myślę, gdyż dla ciebie, który urodziłeś się pod tym samym, co i ja, dachem, nie mam żadnych tajemnic.

— Senatorze, ty pozwalasz niewolnikowi swemu zapomnieć o jego niskiem stanowisku i obsypujesz go wspaniałomyślnie łaskami! — odrzekł Cezoniusz, do łez wzruszony. — Gdybyś tylko chciał, senatorze — westchnął — to Rzym ujrzałby wkrótce lepsze dni...

— Ciszej, Cezoniuszu! Wierzaj mi, że lepiej jest żyć w odosobnieniu, ze spokojnem sumieniem, aniżeli za cenę występku dni swe w przepychu i chwale przepędzać. Chętnie ofiarowałbym na rzecz dobra publicznego swój spokój domowy, nie oddam jednak swej czci i honoru. Znam ludzkie serca. Ci, którzy pragną mnie wznieść na wyżyny, sławiliby me cnoty pod niebiosa, choćbym był hańbą okryty, ale nadszedłby dzień, kiedyby mnie w proch poniewierki strącili i napiętnowali jako przestępcę.

— Był tu również prefekt Petroniusz Sekundus i odszedł gniewny.

— Prefekt jest gorzej niż inni usposobiony dla cezara, ale kohorty służalcze trzymają się Domicyana, gdyż kupuje sobie ich wierność darami i rozdzielaniem łask cesarskich... Ale idź już, Cezoniuszu; zostaw mnie samego, gdyż potrzebuję wytchnienia.

Po chwili, gdy senator udać się miał właśnie na spoczynek, Cezoniusz zjawił się z powrotem, szepcąc zcicha:

— Goście zapowiedziani przybyli. Obie niewiasty znajdują się w atrium.

— Wprowadź je — rozkazał patrycyusz, poczem mruknął pod nosem:

— Dwie niewiasty? O ile wiem, jedna tylko Kornelia została pogrzebana, któż więc może być ową drugą niewiastą?

Wkrótce ukazała się w progu Kornelia, wsparta na ramieniu Fabioli, w towarzystwie Parysa. Kornelia była śmiertelnie blada i z trudem zaledwie posuwała się naprzód. Wszystko to, co się stało, zdawało się jej być snem. Przyszedłszy do zmysłów w lektyce i ujrzawszy się w ramionach Fabioli, czuła się tak wyczerpaną, iż nie była w stanie nawet pytać, co i jak się to wszystko stało. Rzuciwszy jednak spojrzenie na sędziwego patrycyusza, przyglądającego się jej ze współczuciem, przetarła ręką czoło i zapytała słabym głosem:

— Gdzież się znajduję obecnie?... Czy ty jesteś owym wspaniałomyślnym mężem, który mnie wydarł z tej strasznej czeluści grobowej?

— Uspokój się, córko mego przyjaciela i przedewszystkiem wypocznij — rzekł dobrodusznie senator, ujmując ją za rękę i sadzając przy stole.

Parys, nie śmiąc się zbliżyć, stał nieruchomo pod drzwiami. Czuł się tak szczęśliwym, iż nie pragnął ani słowa podzięki lub nagrody. Tymczasem Kornelia opuściła głowę na piersi, jakgdyby znów miała popaść w omdlenie. Senator, sądząc, że to niesprawiedliwość, jaką jej wyrządzono, tak ją moralnie przygniata, położył rękę na ciemne loki jej włosów i, dodając jej odwagi, rzekł z współczuciem:

— Podnieś swą głowę, córko Flawiusza. Złość innych nie powinna cię zawstydzać, hańba spotwarzenia cię spada na głowy twoich oszczerców!

Kornelia uścisnęła rękę starca i poniosła ją do ust.

— Więc to ty jesteś owym nieznajomym, który mi uratował życie? — spytała.

— Uczyniłem tylko, co było w moich siłach, aby współdziałać przy twem ratowaniu, ale ów mąż szlachetny, któremu właściwie zawdzięczasz ocalenie, który sam siebie sprzedał, aby cię z lochu grobowego wydobyć i następnie ujść podzięki z twej strony, tu oto się znajduje — odrzekł starzec, wskazując ręką Parysa.

Kornelia zwróciła głowę we wskazanym kierunku, słabe jednak światło lampy nie pozwalało jej przyjrzeć się Parysowi dokładnie. Ciekawością wiedziona, chciała powstać, ale zawiodły ją siły, tak, że opadła na krzesło z powrotem.

— Zbliż się, Parysie, ażeby Kornelia Sabina mogła ci się przyjrzeć — rzekł patrycyusz.

Gdy Parys zbliżył się do westalki, ta rozpoznała w nim owo zjawisko z świątyni i zawołała z najwyższem zdumieniem:

— Kto jesteś? Mów!

— Biedny niewolnik, którego kiedyś wyzwoliłaś z pod batów, gladyator z amfiteatru, nędzny wyzwoleniec... — odrzekł Parys, przymykając oczy.

Kornelia z podziwem przyglądała się szlachetnie zarysowanej i złotemi lokami otoczonej głowie gladyatora. Następnie, jak gdyby odzyskując nagle pierwotne swe siły, rzuciła się ku niemu i, ujmując go za rękę, rzekła, wzruszona do głębi:

— Ktokolwiek jesteś, uratowałeś mi dwukrotnie życie. Ustom moim brak słów, ażeby ci wdzięczność mą wyrazić.

Parys milczał.

Ręka drżała mu w dłoni Kornelii, a promień niewymownego szczęścia rozlał się po jego smutnej twarzy. W tym momencie zapomniał zupełnie o cierpieniach i upokorzeniach swego przeszłego żywota. Wydostał się wszak na szczyty szczęśliwości ziemskiej, na których nasycone szczęściem serce nie odczuwa żadnych więcej pożądań.

Senator nieco nachmurzony, obserwował przez chwilę Parysa, poczem rzekł, zwracając się do Kornelii:

— Córko moja, którą tak w imieniu twego ojca nazywam, potrzebujesz teraz spokoju, chodź przeto za

mną. Nie mogę ci, niestety, ofiarować żadnej żeńskiej obsługi, ale, jak widzę, Parys zatroszczył się już o służebnicę dla ciebie.

To mówiąc, senator po raz pierwszy zwrócił swą uwagę na Fabiolę. Dostrzegłszy jednak pod ciemnem okryciem szatę kapłanki, starzec wykrzyknął z podziwem:

— Jakto? A więc to dwie westalki zostały żywcem pogrzebane? Ja przytułek ofiarowałem jedynie córce Flawiusza!

Słysząc to Fabiola, w obawie, ażeby ją nie odesłano do świątyni, zarzuciła ręce na szyję przyjaciółki; Parys zaś objaśnił senatora o okolicznościach, wśród jakich losy złączyły Fabiolę z Kornelią.

— Kapłanka musi wrócić do świątyni! — oświadczył surowo senator. — Nie jestem wprawdzie gorliwym czcicielem Westy, ale nie mogę ścierpieć, ażeby kapłanka, dla chwilowego kaprysu, łamała swe śluby.

Słowa te wzburzyły niesłychanie Fabiolę. Obawa przed powrotem do świątyni przemogła jej nieśmiałość. Z zaczerwienionymi z gniewu policzkami stanęła przed senatorem i oświadczyła kategorycznie:

— Senatorze! Nigdy nie wrócę do tego przeklętego miejsca, gdzie cezar zakrada się nocą, ażeby ogień święty gasić i westalki obczerniać; gdzie towarzyszki moje, przekonane o niewinności Kornelii, strąciły ją do grobu. A gdybyś zechciał mnie wbrew mojej woli tam z powrotem odesłać, to i tak nie zechcę pełnić służby kapłańskiej. Nie uczynię tego, choćby mnie miano zawlec na arenę...

Senator początkowo, wobec niezwykłej w tak młodych latach stanowczości Fabioli, tupnął gniewnie nogą, wkrótce jednak, odzyskawszy równowagę, ujął dziewczę za rękę i rzekł:

— Jutro tak rodzina twoja, jak też i kapłani, rozpoczną za tobą poszukiwania. Wracaj zatem tejże jeszcze nocy do świątyni. Ja sam cię odprowadzę i oświadczę, że znalazłem cię, będącą w stanie nieprzytomnym, w pobliżu Campus sceleratus.

— Kapłanki będą przypuszczały, iż nie żyję, a rodziny już nie posiadam. Matka moja zmarła już dawno,

a ojciec, prefekt Pannonii, rychło zapomniawszy o swej pierwszej towarzyszce życia, ożenił się z drugą niewiastą i o mnie się wcale nie troszczy. Nie posiadam nikogo na świecie, ktoby mnie kochał, oprócz jednej Kornelii. Dlatego też pójdę tam, gdzie i ją losy zaprowadzą.

— Nigdy! — dodała Fabiola, wybuchając płaczem i rzucając na podłogę zerwaną z czoła kapłańską opaskę — nigdy już nosić nie będę tej przeklętej opaski! — Przyjaciółko — błagała, zwracając się do Kornelii — odezwij się przecież w mojej obronie!

— Ach, nie rozdzielaj nas! — rzekła Kornelia, spoglądając ze łzami w oczach to na Parysa, to znów na patrycyusza.

Parys był wzruszony do głębi i przysięgał sobie w duchu, iż nie dopuści do tego, aby Fabiolę odprowadzono do świątyni. Zbliżył się więc do senatora i rzekł doń zcicha:

— Miej się na baczności z Fabiolą. Ona prawie od zmysłów odchodzi i jeśli ją odeślesz do świątyni, senatorze, to może nas zdradzić...

Ten, wymyślony przez Parysa, argument przekonał patrycyusza, ale nie mógł się na razie zdobyć na decyzyę. I jego jednak zaczęło ogarniać współczucie, spoglądając więc na dwie przyjaciółki, rzekł pojednawczo:

— Noc może przyniesie mi jaką dobrą radę w tym względzie. Chodźcie więc, gdyż obie jesteście wyczerpane i potrzebujecie spokoju. Nie mogę wam zapewnić nadzwyczajnych wygód, gdyż wogóle nikt nie może dać więcej, niż posiada.

Senator, odprowadziwszy westalki do przeznaczonej dla nich sypialni i włożywszy na Cezoniusza obowiązek uczęstowania swych gości, wrócił do tablinum, gdzie zastał Parysa, pogrążonego w słodkiej zadumie.

— Upór tego dziewczęcia nabawi mnie wkońcu kłopotów. Ale co robić? — pytał, ujmując za ramię Parysa. — Ona nie może pozostać zbyt długo w mym domu. Nawet gdyby jej nie poznano, to i tak opinia moja mogłaby przez to ucierpieć... Jestem przeto w największym kłopocie i gdyby nie to, że Kornelia jest córką mego

przyjaciela, to i jej nie oddałbym swego domu do rozporządzenia.

— Jeśli zgodzisz się na to, senatorze, to ja wystaram się dla Kornelii i Fabioli o bezpieczniejsze pomieszczenie — oświadczył Parys.

— On się wystara dla nich o pomieszczenie! Majaczysz chyba?... — mamrotał senator, chodząc nerwowym krokiem po pokoju.

— Jest piękny, jak Apollo... Kornelia zawdzięcza mu życie... Nie, nie! Szaleństwem byłoby łączenie ognia ze słomą — monologował zcicha senator, drepcąc po pokoju, poczem, zwracając się do Parysa, zapytał:

— I gdzież to chcesz umieścić Kornelię?

— Znam pewną zacną matronę, która ją chętnie przyjmie.

— Jak się zwie owa matrona?

— Jest chrześcijanką...

— Zdaje mi się, że chciałbyś zachować w tajemnicy przedemną jej imię. Czy uważasz mnie za zdolnego do denuncyacyi?

Parys wahał się z odpowiedzią. Willa Tulioli stanowiła dla wielu bezpieczne schronisko, zdradzenie tegoż groziłoby też wielu osobom niebezpieczeństwem, ale biorąc pod uwagę dobroć, okazaną przez senatora, Parys zdecydował się wreszcie na wyjawienie tajemnicy.

— Matroną ową jest Tuliola, wdowa po senatorze Maryuszu Tuliuszu.

— Znałem go, zasiadaliśmy razem w senacie. Powiedz jej więc, że może za nadejściem nocy przysłać zaufaną służebnicę, której powierzę obie dziewczęta.

Parys skłonił głowę i pożegnawszy senatora, wyszedł, zabierając z sobą opaskę i płaszcz, porzucony przez Fabiolę. Znalazłszy się na ulicy, gladyator poszedł w kierunku mostu palatyńskiego. Świtać już poczęło, gdy kroczący przez puste i ciche ulice Rzymu, stanął wreszcie na moście palatyńskim. Tu wyjął z pod swej penuli przepaskę Fabioli, przewiesił ją następnie przez poręcz, płaszcz zaś westalki zarzucił na gałąź figowego krzewu, wyrastającego z kolumny, na której most się opierał.

— Fabiolo, czysta dziewico! — mówił do siebie

Parys. — Świat będzie może oczerniał twe imię, umrzyj więc dla niego na wieki...

Tuliola spała jeszcze, gdy Parys wrócił z mostu palatyńskiego. Nie zwlekając więc, gladyator udał się do celi podziemnej, w której Sekstus zawsze o świcie przebywał. Młody patrycyusz, ujrzawszy Parysa, wykrzyknął radośnie:

— Jak się masz, Parysie? Jakże ci się powiodła wyprawa?

— Opatrzność Boża czuwała nad nami! Kornelia już przed kilku godzinami grób opuściła.

Sekstus, do łez wzruszony, nie mógł się zdobyć na słowa podzięki, tylko na znak wdzięczności przycisnął dłoń Parysa do swej piersi.

— Nie dziękuj mi! Jestem już za wszystko wynagrodzony sowicie! — rzekł Parys i począł opowiadać o wszystkiem, co przeżył tej nocy.

Gdy skończył, pogrążyli się obaj w głębokiej zadumie. Po dłuższej dopiero chwili, Sekstus począł mówić z rozpromienionem obliczem:

— Wszechmocny tak zrządził, iż w dniu, w którym dusza moja ze wszystkich grzechów zostanie oczyszczona, uwolniony będę także od wszelkich trosk ziemskich!... Jutro papież Klemens, który mnie uważa za dość już uświadomionego chrześcijanina, udzieli mi chrztu, potem zaś połączy mnie, narodzonego do nowego życia, z tym czystym aniołem, który już oddawna serce moje tęsknotą niebiańską przepełnia... Jutro Floronia uszczęśliwi mnie słodkiem imieniem męża i to ciemne, beznadziejne pomieszczenie w raj mi się zamieni...

— Czy jako mąż Floronii opuścisz willę Tulioli? — zagadnął Parys.

— A gdzieżbym miał się z nią udać? Nie mam przecież nawet dachu bezpiecznego nad głową dla tej biednej istoty. Ale cezar jest starszy, niż ja, i według praw natury, wcześniej zejdzie zapewne do grobu. Gdy przyszły cezar okaże się łagodniejszym od Domicyana, wówczas opuszczę podziemia i wrócę w posiadanie majątku, do którego mam prawo, gdyż nie dopuściłem się przestępstwa przeciw ojczyźnie. W razie zaś, gdyby nas

wcześniej wykryto, to dusze nasze, złączone przez Boga na ziemi, wzlecą razem w niebiosa, by chwalić wiecznie imię Jego.

Pod wpływem tych słów przyszłego oblubieńca, smutek głęboki zapukał do serca Parysa. Mimowoli zazdrościł szczęścia patrycyuszowi, ale o własnem nie śmiał nawet marzyć. Chcąc ukryć swój smutek przed wzrokiem Sekstusa, gladyator pożegnał się z nim co rychlej i udał się do Tulioli i Floronii, ażeby im przynieść radosną nowinę.

XXI.

Wesele w katakumbach.

Promień słońca, co wtargnął rankiem do sypialni, spędził sen z powiek Kornelii, która zaczęła się rozglądać po pokoju. Gdy wzrok jej padł na twarzyczkę śpiącej jeszcze Fabioli, Kornelia poczęła wskrzeszać w swej pamięci obrazy przeżytych wrażeń. W pamięci jej wystąpił przedewszystkiem ciemny, straszny grób, mrożąc jej krew w żyłach, poczem zarysowała się w jej wyobraźni postać wybawcy-gladyatora. Naraz zachmurzyło się czoło Kornelii i łzy zabłysły w jej oczach, gdyż przyszło jej na myśl, że losy tak nią pokierowały, iż będzie musiała w samotności pędzić smutne życie. Popadła w nastrój melancholijny. Ale w dwudziestej wiośnie życia melancholia rychło ustępuje miejsca wesołym uśmiechom, to też i Kornelia, zapominając o minionych smutkach, zeskoczyła wkrótce z posłania, podbiegła do Fabioli i poczęła ją okrywać pocałunkami. Zbudzona Fabiola, przypomniawszy sobie słowa senatora, poczęła płakać, ale Kornelii udało się ją wkrótce uspokoić zapewnieniem, iż nie dopuści do tego, aby je rozdzielono.

Gdy tak obie przyjaciółki gwarzyły, otwarły się drzwi i w progu ukazał się senator, zapraszający je, aby przeszły do jadalni, gdzie już przygotowane było śniadanie. Po spożyciu rannego posiłku, westalki wróciły

do sypialni, gdzie patrycyusz opowiedział im szczegóły wyprawy, podjętej przez Parysa, w celu uratowania Kornelii. Opowiedziawszy im wszystko, senator udał się na miasto, aby zasięgnąć języka o tem, co sądzą ludzie o zniknięciu Fabioli, oraz w celu przekonania się, czy naruszenie grobu Kornelii nie zostało przypadkiem dostrzeżone.

Na Campus sceleratus senator dostrzegł zdala, iż pretoryanie w dalszym ciągu spokojnie, nic nie przeczuwając, odprawowali warty nad grobem. Przekonawszy się, że westalka z tej strony niczego obawiać się nie potrzebuje, senator udał się w odwiedziny do kilku swych przyjaciół, ale nie mógł się jednak niczego o skutkach zniknięcia Fabioli dowiedzieć. Już miał zawrócić do domu, gdy usłyszał, jak grupka plebejuszów rozmawiała z westalką o kapłance świętego ognia, która nocy ubiegłej rzuciła się do rzeki z mostu palatyńskiego i po której jedynym śladem, jaki pozostał, był płaszcz jej i opaska. Patrycyusz domyślił się wówczas, że to Parys, podrzucił płaszcz i opaskę Fabioli, przyczyniając się w ten sposób do utrwalenia przekonania, iż Fabiola nie żyje.

Uspokojony tak szczęśliwym obrotem sprawy, patrycyusz przed nadejściem nocy powrócił do domu. Wkrótce po jego przybyciu zjawiły się także w towarzystwie Parysa, Prakseda i Floronia, w celu odprowadzenia do willi Tulioli obu westalek. Patrycyusz chętnie powierzył przybyłym losy kapłanek, obiecując, iż wkrótce osobiście złoży podziękowanie szlachetnej wdowie za udzielenie im przytułku.

Późno już było, gdy westalki, oczekiwane w progu przez Tuliolę i Sekstusa, przybyły na nowe miejsce swego pobytu. Tuliola ucałowała obie przyjaciółki, Sekstus zaś, pełen radości, uścisnął rękę Kornelii, nie mogącej powstrzymać się od łez, na widok krewnego, o którego losach nic pewnego dotychczas nie wiedziała.

Dla przybyłych westalek Tuliola kazała już z góry przygotować wonną kąpiel, poczem dwie niewolnice odprowadziły je do przeznaczonej dla nich sypialni.

Fabiola zasnęła zaraz, Kornelia zaś, leżąc na miękkiej

pościeli, podparła ręką głowę i zamyśliła się, gdy wtem podeszła do niej na palcach Floronia, i, siadając na krawędzi łóżka, poczęła mówić:

— Przyszłam tu, aby zobaczyć, czy śpisz już, ale ponieważ widzę, że zasnąć nie możesz, chcę ci powiedzieć coś, o czem nie miałam odwagi powiedzieć ci dotychczas.

— Mów więc, jestem niezmiernie zaciekawiona — odrzekła Kornelia, podając Floronii rękę.

— Jutro już Sekstus będzie chrześcijaninem i...

— Chrześcijaninem! — wykrzyknęła Kornelia. — Czyż nasze nazwisko rodzinne skazane jest na wieczną hańbę i sromotę?

— Sekstus, przyjmując prawdziwą wiarę, nie hańbi bynajmniej twego nazwiska — odparła poważnie Floronia. — Wyrażając się tak, poniewierasz tych, którzy ci rękę w nieszczęściu podali. Parys jest chrześcijaninem, Tuliola również jest chrześcijanką, a ty znajdujesz się tu w otoczeniu samych chrześcijan, którzy rozciągają nad tobą opiekę wówczas, gdy wszyscy inni cię odepchnęli.

Słowa te dotknęły boleśnie Kornelię. Opuściwszy smutnie głowę na piersi, daremnie w myśli szukała odpowiedzi, aż wreszcie oświadczyła z goryczą:

— Oczerniona i sromotą oraz hańbą okryta, nie mam żadnej innej ucieczki, oprócz tej, którą ofiarowują mi wrogowie mojej wiary!

— Wybacz mi, gdyż nie miałam bynajmniej zamiaru ciebie obrazić — zawołała Floronia ze łzami w oczach. — Gniewasz się na mnie i gniew twój wzrośnie zapewne bardziej jeszcze, gdy się dowiesz, że... dziewczę, które pod dachem twych rodziców przyszło na świat i tam wychowane zostało, będzie żoną Sekstusa!

— Ty... małżonką Sekstusa! — wykrzyknęła zdumiona Kornelia, której krew patrycyuszowska ciemną purpurą oblała policzki.

— Jego małżonką — powtórzyła Floronia, której uwagi uszło zagniewane oblicze patrycyuszki i ciągnęła dalej:

— Kochałam go już od dnia tego, kiedym go po tak długiej rozłące po raz pierwszy ujrzała. Ale była-

bym przezwyciężyła skłonności swego serca, gdyby nie to, że Bóg pobłogosławił mi w nawrócenin Sekstusa na prawdziwą wiarę... Jeżeli jednak oponujesz przeciw temu, jeżeli sądzisz, iż nie jestem godną noszenia twego nazwiska, to odmówię sobie tego upragnionego szczęścia i poświęcę się służbie mych nieszczęsnych braci.

Ale Kornelia już zawstydziła się swej pychy. Przecież przestała już być westalką, mogącą z wysokości swego kapłańskiego stanowiska z góry spoglądać na niższych od siebie i nierównych urodzeniem, lecz stała się nieszczęśliwą, hańbą i sromem okrytą ofiarą, której nazwisko było już bardziej oszczerstwami poniżone, aniżeli mogło je poniżyć wejście Sekstusa w związki małżeńskie z Floronią.

Kornelia ujęła przeto rękę Floronii i, uścisnąwszy ją serdecznie, rzekła z westchnieniem:

— Cieszę się, że mogę cię jako siostrę swoją powitać. Obyś szczęśliwie przeszła przez życie pod opieką Sekstusa! Oby bogowie raczyli pobłogosławić wasz związek...

— Nie wzywaj w tym domu swych bogów, gdyż Bóg, który nas łączy, jest także Bogiem twej matki — powiedziała Floronia, biorąc w uściski westalkę.

Następnego dnia obie westalki, zbudzone przez Praksedę, udały się za nią do podziemi, gdzie dla pewności miały przez kilka dni się ukrywać. Przyświecając sobie lampą, poprowadziła je Prakseda przez długi labirynt korytarzy do małej podziemnej celi o dwóch wejściach. Tam, postawiwszy lampę na stole, pożegnała się z westalkami, prosząc je, aby się przygotowały do świętego aktu przyjęcia do owczarni Chrystusowej nowej zbłąkanej owieczki, mającej się odbyć z wyjątkową uroczystością.

Kornelia i Fabiola, nie wiele rozumiejąc z tego, co do nich mówiła Prakseda, siadły razem na kamieniu i poczęły spoglądać w dwa ciemne wejściowe otwory. Niezwykła ciemność i cisza, panujące w podziemiach, przejmowały obie dziewczęta strachem tak dalece, iż obawiały się nawet początkowo przemówić do siebie, aby nie usłyszeć własnego głosu.

Wreszcie Fabiola, tuląc się do Kornelii, rzekła słabym głosem:

— Życie w takich warunkach, to powolne konanie.

— Nie powinnam była zgodzić się na to, ażebyś mnie tu towarzyszyła — oświadczyła Kornelia, wzdychając głęboko. — Młodość twoja potrzebuje powietrza i światła. Pora jeszcze, Fabiolo, abyś wróciła do świątyni.

— Nigdy! — zaoponowała stanowczo Fabiola. — Z tobą nawet w tym ciemnym grobie czuć się mogę szczęśliwą.

— Muszę zapoznać się bliżej z naszem nowem mieszkaniem — rzekła Fabiola po chwili i, chwyciwszy lampę, weszła do ciemnego korytarza, a zwróciwszy światło na jego ścianę, ze zdumieniem przyglądała się wmurowanym w nią rzędem kwadratowym płytom, na których, pod zręcznie wygrawerowanemi skrzyżowanemi palmami, widniały nakreślone nazwiska pochowanych tam osób. Widząc, iż dalsze części korytarza nie różnią się niczem od pierwszej, Fabiola wróciła do celi, siadła u nóg Kornelii i położywszy głowę na jej kolanach, popadła w drzemkę.

Wkrótce jednak Kornelia zbudziła Fabiolę, gdyż przez przyległe korytarze widać było dziesiątki małych światełek, poruszających się w różnych kierunkach, aż wreszcie przez poprzeczny korytarz, przylegający do ich celi, począł sunąć korowód ludzi, przy świetle pochodni. Westalki powstały z miejsca i przysunęły się bliżej, ażeby lepiej przyjrzeć się tej osobliwej procesyi.

Na czele procesyi kroczył chłopiec, niosący krzyż wysoki, za nim szło dwu dyakonów oraz papież Klemens, przybrany w szaty pontyfikalne, w otoczeniu kilku księży, następnie zaś ujrzano ubranego w biały płaszcz neofity, Sekstusa. Dwaj młodzieniaszkowie, z których jeden niósł dwa gołębie, drugi zaś dwie synogarlice, kroczyli przy jego boku. Gołębie były symbolem świętego Ducha, synogarlice zaś miały być wyrazem wierności i stałości w wierze.

Za Sekstusem szła w białej szacie, w wieńcu z liści oliwkowych na głowie, Floronia. Towarzyszyła jej Tu-

liola, pochód zaś zamykał tłum wiernych, przybyłych na uroczystość chrztu i zaślubin.

— Patrz, oto dwie ofiary prowadzą na stracenie, aby się przypodobać bogom — wykrzyknęła ze drżeniem Fabiola.

— Nie — objaśniła ją Kornelia. — Nazarejczycy nie składają krwawych ofiar swemu Bogu. Obchodzą oni uroczystość zaślubin Sekstusa z Floronią.

— Więc chodźmy za nimi! — oświadczyła żywo Fabiola, ale Kornelia oparła się temu życzeniu młodziutkiej towarzyszki i wróciła do celi z powrotem.

Wkrótce usłyszano z oddali śpiew monotonny.

— Ceremonia już ukończona — szepnęła Kornelia.

— Chodźmy przyjrzeć się młodej parze — nalegała Fabiola, pociągając przyjaciółkę za sobą.

Krocząc zwolna naprzód ku miejscu, skąd rozlegały się pienia, obie przyjaciółki znalazły się niezadługo przed opisanem już poprzednio oratoryum, wypełnionem jednak tym razem szczelnie ludźmi do tego stopnia, iż niektórzy z wiernych, z przyległych korytarzy przyglądać się musieli uroczystości zaślubin.

Onieśmielone niby sarenki, zatrzymały się obie westalki poza ostatnim szeregiem pobożnych i ujrzały stamtąd papieża Klemensa, pochylonego nad klęczącą przed nim na stopniach ołtarza młodą parą. Tłumiąc oddech w piersiach, obie westalki słuchały z zaciekawieniem słów, głoszonych przez papieża.

A papież mówił:

— Niechaj Wszechmocny ochrania was i błogosławi, małżonkowie chrześcijańscy! Ty, chrześcijańska małżonko, winnaś być przywiązana do swego męża i w szczęściu lub nieszczęściu trwać przy jego boku. A ty, małżonku chrześcijański, czcij i kochaj tę, która ma być matką twych dzieci. Duch święty mówi przez usta moje. Powtarzam wam słowa Syna Bożego, który kazał dzielić się z uboższymi — bogatszym, karmić — łaknących, pocieszać — zasmuconych, odwiedzać — chorych, przebaczać — nieprzyjaciołom. Miejcie zawsze Prawdę przed oczyma. Strzeżcie się kłamstwa, nie budujcie na nikim, jak tylko na Bogu, bo przeklęty jest

ten, kto swoje nadzieje w ludziach pokłada — powiada Duchem świętym oświecony prorok.

Naraz osłabł głos starca, tak, iż westalki nie były w stanie nic już więcej usłyszeć, ale Fabiola, wzniósłszy się na palcach, szepnęła Kornelii do ucha:

— Jak słowa tego starca przemawiają do serca! Nie takie zasady głosi swym kapłankom bogini!

Kornelia ujęła przyjaciółkę za ramię, chcąc ją w ten sposób skłonić do milczenia, ale w tejże chwili sama zrozumiała tajemnicę, dlaczego dobre serce jej matki mogło przylgnąć do religii, przenikniętej tak subtelnem poczuciem miłości bliźniego.

Tymczasem znów głos starca nabrał swej pierwotnej siły i brzmiał donośnie, jak przedtem:

— Zaprawdę, powiadam wam: błogosławieni są ludzie pokornego serca, błogosławieni są ci, których ani smutek nie ugina do ziemi, ani też powodzenie nie przejmuje zarozumiałością i pychą. Bracia! Padnijmy na kolana i módlmy się za nieprzyjacioły nasze, albowiem modlitwy naszej nieszczęśni ci, których serce jad występku zatruwa, bardzo potrzebują. Módlmy się za prześladowcę naszego, Domicyana, bo to wam powiadam, że gniew Boży wisi już nad jego głową i maluczko już, a roztrzaska ją....

Obecni padli na kolana, z wyjątkiem Kornelii i Fabioli, nie zauważonych przez nikogo.

Po skończonej modlitwie, gdy znów rozległy się pienia religijne, Kornelia nagle poczuła, iż ktoś ją pociągnął za płaszcz. Obejrzała się żwawo i z przestrachem ujrzała marmurowo bladą twarzyczkę Fabioli, zginającą zwolna kolana.

— Co czynisz? Czy jesteś zmęczona? — zapytała Kornelia, starając się podtrzymać przyjaciółkę.

— Nie, bynajmniej, lecz chcę się pomodlić do Boga Nazarejczyków — odrzekło dziewczę.

Kornelia uczyniła w odpowiedzi gest niechętny, a gdy po pewnej chwili rozejrzała się dokoła, ujrzała, iż Sekstus, Floronia, Parys, Fabiola, że wszyscy na kolanach zanosili modły do Boga jej najdroższej matki,

do tego nieznanego a wszechmocnego Boga, którego sama, znalazłszy się w ciemni grobowej, o ratunek błagała.

I w tej właśnie chwili nowa wiara odniosła w duszy jej tryumf nad przesądami pogaństwa i Kornelia, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, ugięła również kolana przed ołtarzem Boga — Nazarejczyków...

Gdy po chwili rozległ się w podziemiach uroczysty hymn pochwalny, z chóru głosów wybijał się szczególniej jeden dźwięczny, pełen żarliwego uczucia wdzięczności, potężny głos Parysa.

On to, ujrzawszy, iż Kornelia znalazła się również wśród wierzących, całą swą duszę wlał w strofy śpiewanej przez zebranych pieśni.

XXII.

Śmierć cezara.

Między Tybrem i Via Flaminia wznosiło się ostro u szczytu zakończone wzgórze, ukoronowane kępą wiecznie zielonych drzew. Pod wzgórzem tem znajdował się sarkofag, mieszczący zwłoki tego wielkiego męża, którego współcześni mu nazwali nieśmiertelnym.

Słońce konało już na horyzoncie, pozłacając resztką swych promieni bronzowy monument, umieszczony na sarkofagu. Monument ten wyobrażał cezara, zwanego Cajus Julius Octavianus, zmarłego w 14 roku po narodzeniu Chrystusa, władcy olbrzymiego państwa rzymskiego, uczczonego przez Rzymian za życia imieniem Augustus, które, jako przymiotnik, dodawane bogom — oznaczało: najgodniejszy czci.

Późna godzina potęgowała melancholijną ciszę alei publicznego parku, leżącego w pobliżu mauzoleum cezara Augusta. Nieopodal od sarkofagu, otoczonego wieńcem olbrzymich dębów, znajdowało się, wyłożone marmurem i ujęte dokoła w kraty żelazne — miejsce „ustrinum“ zwane, gdzie ówcześni Rzymianie zwykli byli palić zwłoki swych współobywateli.

Tu właśnie stał, oparty plecami o kratę, Parteniusz, wyzwoleniec Domicyana. Od czasu do czasu rozglądał się dokoła, poczem tupał zniecierpliwiony nogą. Po niejakim czasie zjawił się tam inny mąż, z wielkim szacunkiem powitany przez Parteniusza.

Był to prefekt Petroniusz Sekundus.

Jak gdyby obawiając się, żeby nikt go nie spostrzegł lub nie podsłuchał, prefekt rozejrzał się wpierw bacznie dokoła, zanim zaczął mówić prawie szeptem:

— W imieniu wszystkich przychodzę zapytać cię, czy jesteś gotów?

— Ja i towarzysze moi jesteśmy gotowi, ale w razie powodzenia całej sprawy, czy będziemy mogli uważać się za bezpiecznych wobec ludu?

— Najzupełniej.

— Wybacz, iż może zbyt wiele wiedzieć pragnę, ale sukces wszak zależy tylko odemnie.... Chcę więc mieć oczywiście zapewnione bezpieczeństwo swej osoby. Czy Nerva zgodził się na to?

— Nerva nic nie wie o naszym planie.

— To w końcu znajdziemy się przed sądem i....

— Nie obawiaj się niczego, staniemy w twojej obronie.

— Polegam na tobie, prefekcie.

— Odwagi i zimnej krwi! — rzucił Petroniusz Sekundus, odchodząc z pośpiechem i znikając wśród drzew.

Parteniusz, pozostawszy sam, przechylił się nad kratą i zamyślił się głęboko. Niezbyt miłe musiały być te myśli, skoro pot zimny wystąpił mu na czoło.

Nagle — zadrżał.

Zdawało mu się, iż w pobliżu rozległo się czyjeś głębokie westchnienie.... Nie zdając sobie sprawy z tego, że to może wiatr tylko, przedzierając się przez liście drzew, jęknął żałośnie, Parteniusz zadrżał, strachem niewypowiedzianym przejęty i szybkim krokiem oddalił się z tego miejsca, minął mauzoleum, aż późną wreszcie godziną dotarł do pałacu Domicyana.

W atrium spotkał się ze Stefanem, który mu doniósł, że cezar podczas jego nieobecności zaklinał się,

zgniewany, iż wkrótce na całem swem otoczeniu wywrze zemstę. Parteniusz, porozmawiawszy chwilę ze Stefanem, wszedł do pokoju, przylegającego do sypialni Domicyana, gdy zastał jednak drzwi sypialni zamknięte, czyniąc gest groźny, mruknął pod nosem:

— Śmierć twoja będzie mojem życiem!

Powróciwszy następnie do westybulu, gdzie oczekiwał nań Stefan, obaj otulili się w długie, ciemne płaszcze i wyszli.

Następnego dnia cezar obudził się wcześniej, niż zwykle, a blada twarz jego wskazywała, iż noc spędził prawie bezsennie. Gdy zjawili się niewolnicy, chcący go zanieść do *cella tepidaria,* oświadczył im, iż nie chce się kąpać.

Ledwie dotknął ustami kubka z miodem, który zwykle rano wychylał, poczem ubrał się z pośpiechem i, pospacerowawszy chwilę po sypialni, znów się położył.

Od czasu osądzenia Kornelii noce były dla cezara wprost straszne. Ostatnie słowa westalki brzmiały mu ciągle w uszach, a gdy, zamknąwszy oczy, zdrzemnął się niekiedy, to zdawało mu się, że ucha jego dochodzą skargi, wydobywające się jakby z pod ziemi. Cezar drżał wówczas, jak liść, poruszany wichrem, zimny pot go oblewał i on, władca świata — chylił głowę ku ziemi, jak to czynić zwykło wystraszone zwierzę.

Męczyły go także straszliwe widziadła, męczyły go tak dalece, iż połowę swoich bogactw gotów byłby dać komuś, ktoby czuwał przy jego boku, gdyby w otoczeniu swem znajdował osobnika, któremuby ufał.

Do Parteniusza był gorzej, niż kiedykolwiek usposobiony, a niewolników swych miał w podejrzeniu. Niekiedy pozwalał czuwać przy sobie swej starej piastunce, ale zazwyczaj wypędzał ją po niejakiej chwili szorstkiemi słowy, gdyż i do niej, do starej Phyllis, stracił zaufanie.

Jeżeli noce były bezsenne, to dni były dla cezara pełne niewysłowionej męki. Proroctwo Nazarejczyka stało ciągle wyryte w jego pamięci, potęgując bardziej jeszcze nieufność, żywioną ku wszystkim. Najbardziej go jednak zaniepokoiło wydarzenie, którego sam był przyczyną.

Cezar przed niejakim czasem wydał rozkaz zniszczenia wszystkich winnic okolicznych, a zarządzenie to tak rozgoryczyło lud, iż apelował on w tej sprawie do senatu.

Równocześnie na rogach ulic jakaś niewidzialna ręka rozlepiała wiersze, wyszydzające lub śląc pogróżki pod adresem cezara. Domicyan zadrżał, gdy pewnego razu znalazł wiersz taki, przylepiony na murach jego pałacu....

Tylko wówczas, gdy zaryglowawszy drzwi, leżał na swem posłaniu, tylko wówczas czuł się bezpieczny.

Ale wieczna sprawiedliwość wyciągała swą karzącą prawicę ponad głowę cezara....

W sąsiednim pokoju, gwarząc, siedzieli rankiem Parteniusz, Stefan i dwóch gladyatorów. Dziwny nastrój niepewności i przygnębienia przebijał się z twarzy krzątających się tu i owdzie niewolników, a przygniatała wszystkich jakaś duszna atmosfera, targały jakieś przeczucia czegoś strasznego, co nadejść musi, co już... już... się zbliża. Jeden tylko centuryon gwardyi pretoryańskiej, pełniący straż dnia tego, okazywał zwykłą swobodę i starał się nawet z przechodzącymi mimo niewolnikami żartować.

Cezar, ujrzawszy z łoża muchę, przelatującą w powietrzu, zerwał się i pogonił za nią. Schwytawszy ją, wyrwał biednemu stworzeniu skrzydła i... puścił je na swobodę, aby miała pojęcie, co to jest wspaniałomyślność cezara! Następnie popadł w zadumę, to znaczy począł obmyślać jakiś nowy, niezwykle barbarzyński edykt przeciw chrześcijanom, przyczem twarz jego wykrzywiał co chwila okrutny uśmiech. Wreszcie, znudziwszy się rozmyślaniem, przywołał niewolników i nieść się polecił do kąpieli.

Już mieli niewolnicy wykonać rozkaz, gdy stanął przed cezarem Parteniusz i w najuniżeńszy sposób doniósł mu, iż Stefan w niezwykle ważnej sprawie pragnąłby z nim pomówić. Domicyan uczynił niecierpliwy ruch ręką i opierał się przyjęciu Stefana, gdyż dnia tego, jak mówił, nie miał zamiaru zajmować się dobrem publicznem.

— To, o czem ci chce Stefan zakomunikować, prześwietny cezarze, dotyczy twego własnego życia, a tem samem dotyczy dobra i szczęścia ojczyzny! — nalegał podstępnie Parteniusz.

— Mego życia, powiadasz!? — wykrzyknął cezar, przejęty obawą. — A więc... niech wejdzie!

Stefan stanął przed cezarem.

Pod pozorem, iż jest ranny, od wielu dni nosił już on prawą rękę na temblaku, obecnie więc zwitek pergaminu trzymał w lewej ręce.

Cezar obrzucił go wystraszonem spojrzeniem, a następnie zwrócił badawczy wzrok na Parteniusza i niewolników.

— Tylko dla twoich uszu, cezarze, przeznaczone są me słowa — oświadczył Stefan.

Po chwili wahania cezar odprawił wyzwoleńca i niewolników.

— Mów więc — rozkazał Domicyan, gdy zostali sami.

— Boski cezarze — zaczął Stefan z udaną pokorą — sługa twój wykrył sprzysiężenie, zagrażające twemu, cennemu dla ojczyzny, życiu oraz życiu twych sług wiernych.

Drżenie przebiegło członki cezara, twarz zaś jego oblekła się trupią bladością.

— Oto lista sprzysiężców — ciągnął dalej Stefan, podając Domicyanowi pergamin, który tenże schwycił z pośpiechem, siadł na łożu i począł czytać.

Tymczasem Stefan uwolnił rękę z powijaków i ukrywszy ją poza plecami, dzikim wzrokiem obserwował każdy ruch cezara.

Nagle, gdy sądził, że nadeszła już odpowiednia chwila, rzucił się na cezara i utopił mu w brzuchu sztylet po samą rękojeść.

Głuchy jęk uleciał z ust Domicyana. Padł on na łoże, poczem zerwał się znów na równe nogi i sięgnął pod poduszki, gdzie zwykł był przechowywać swój sztylet. Nie znalazł go, więc zgrzytnąwszy zębami, chwycił silnie Stefana za rękę, gotującą się do zadania mu nowego ciosu, a pięścią drugiej ręki uderzył mordercę tak silnie w oko, iż wystąpiło ono zupełnie na wierzch.

Stefan ryknął, jak zwierz, raniony i począł wołać o pomoc. Natychmiast wbiegł do sypialni Parteniusz w towarzystwie gladyatorów, którzy ponownemi pchnięciami sztyletów położyli kres życiu tyrana.

W tej właśnie chwili wpadł także do sypialni centuryon z pretoryanami, zaalarmowany krzykiem Stefana, ale pomoc ta była już spóźniona.

Odrętwiały z przerażenia spoglądał centuryon na leżące na ziemi zwłoki Domicyana, a ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, poprzysiągł mordercom zemstę. Ale Parteniusz wraz z gladyatorami zdołali już zniknąć w niskich, zaledwie dostrzegalnych drzwiczkach, prowadzących do pokojów Domicyi. Tylko Stefan, trawiony wściekłym bólem, nie myślał o ucieczce, padł więc ofiarą wściekłości pretoryanów, którzy wnet rozsiekali jego ciało na sztuki.

Posadzka sypialni była zlana obficie krwią leżących obok siebie zamordowanego i mordercy.

— Zemsty! — ryknął rozjuszony centuryon, wbiegając do sali przyległej, ale ta część pałacu była całkiem pusta. Niewolnicy, winni czy niewinni, domyśliwszy się, że stało się coś strasznego, zbiegli tak, iż rozwścieczeni pretoryanie przeszukiwali sale, nie znajdując już nikogo. Gdy wpadli do atrium, natknęli się na prefekta Petroniusza, który im polecił złożyć broń i udać się spokojnie do swych baraków.

Wkrótce potem masy ludu otoczyły pałac. Wieść o śmierci cezara lotem wichru obiegła stolicę: ze wszystkich więc dzielnic Rzymu płynęły ku pałacowi coraz to nowe korowody ludzi. Aż do wieczora lud zachował spokój i milczenie, gdy jednak poczęło ciemnieć, tu i ówdzie dały się słyszeć głosy buntowników, domagających się wydania im zwłok Domicyana, dla wywarcia na nich długo hamowanej zemsty.

Daremnie kierownicy sprzysiężenia starali się lud uspokoić. Lud, uspokojony na chwilę, za moment znów zaczynał się burzyć i odgrażać, a tymczasem zwłoki tyrana leżały nie tknięte przez nikogo i nikt nad niemi jednej łzy nie uronił, oprócz starej piastunki Phyllis, która zawodząc i wylewając strumienie łez, stała nad

zwłokami z rozpuszczonym włosem — widmu strasznemu podobna. Phyllis była jedyną istotą, kochającą jeszcze cezara. Gdy ta zawodziła żałośnie, Domicya tymczasem siedziała w swoich apartamentach, oczekując na wynik krwawego dramatu.

Nagle Phyllis, strażująca przy zwłokach, przestała płakać, i, wstrzymując oddech, poczęła przysłuchiwać się rykom tłumu, domagającego się coraz zuchwalej wydania zwłok cezara.

— Nie! Dopóki kropla krwi płynąć będzie w mych żyłach, nie otrzymacie go! — zaskrzeczała staruszka i poczęła biegać po salach, szukając kogoś, ktoby jej zechciał dopomódz do ukrycia zwłok Domicyana. W atrium zastała wprawdzie czterech niewolników, nie należących do sprzysiężenia, ale żaden z nich nie miał odwagi usłużyć staruszce. Naraz dostrzegła piątego niewolnika, tego samego wyznawcę Chrystusa, który Floronię w swoim czasie zawiadomił o grożącem Sekstusowi aresztowaniu. Opowiadał on właśnie jakiemuś wyniosłemu, szczupłemu mężowi o szczegółach dokonanego mordu.

Staruszka, sądząc, że ma z dwoma niewolnikami do czynienia, poleciła im iść za sobą. Niewolnik w tej chwili usłuchał, a po chwilowem wahaniu i towarzysz jego uczynił to samo.

Gdy znaleźli się w sypialni Domicyana, Phyllis zwróciła się do nich żebrzącym tonem:

— Ratujcie ciało cezara od znieważenia go przez tłum, wyjący pod oknami. Obsypię was za to bogactwy.

— Nie! — odrzekł stanowczo niewolnik.

— Powiedz mi, co chcesz uczynić, a gotów jestem ci usłużyć — oświadczył drugi i chciał już spełniać polecenia piastunki, gdy pierwszy niewolnik zagrodził mu drogę, wołając:

— Śmiałość twoja kosztować cię będzie życie, Parysie!

Parys wzruszył tylko ramionami i rzekł spokojnie:

— W imieniu mej torturowanej braci ja mu przebaczam...

Phyllis nie zrozumiała znaczenia tych słów, ale pojął je natychmiast niewolnik i pomógł piastunce spo-

wijać w prześcieradło ciało cezara. Gdy już wszystko było gotowe, Parys wziął na ręce zwłoki Domicyana i udał się za staruszką. Ta poprowadziła go najpierw przez ciemny korytarz, z którego po schodach przedostali się do drugiego, niezmiernie długiego przejścia podziemnego. Idąc niem długo, wydostali się przez małą furtkę na wolne powietrze w pobliżu zamku Numy.

Przemierzywszy jeszcze spory kawał drogi, Parys z piastunką znaleźli się wreszcie przed drzwiami odosobnionego domku, w których, po kilkakrotnem pukaniu, ukazała się jakaś kobieta.

— Ty tu, matko! — zawołała, rozpoznawszy w ciemności staruszkę. — Byłam w wielkim strachu o ciebie i właśnie posłałam syna, aby cię tu sprowadził.

Phyllis nic nie odrzekła, tylko dała znak Parysowi, ażeby złożył w atrium na podłodze ciało cezara, co gdy tenże uczynił, zawołała łkając:

— Córko, czuwaj nad zwłokami tego wielkiego męża, którego piersią własną wykarmiłam. Czuwaj i śpiewaj nad nim pieśni żałobne. Rankiem złożymy go w grobie, teraz zaś muszę corychlej wracać do pałacu, ażeby nie ściągnąć na siebie podejrzeń.

Zwracając się następnie do Parysa, Phillis dodała:

— Przyjdź tu nad ranem, a otrzymasz za swe trudy należytą zapłatę.

— Zachowaj, kobieto, swe pieniądze dla siebie, ja ich nie pożądam. Ten, którego zwłoki leżą przed nami, na krzyżu rozpinał moich braci, na stos ich skazywał, zwierzętom dzikim rzucał na pożarcie. W ich imieniu ja mu przebaczam i szczęśliw jestem, że mogłem mu tę ostatnią posługę wyświadczyć.

To rzekłszy, Parys skłonił głowę i wyszedł.

XXIII.

Następca Domicyana.

Bezpośrednio po zamordowaniu Domicyana zasiadł na tronie Marcus Coccejus Nerva. Wśród obywateli Rzymu panował jednak nastrój przygnębiający. Ponieważ znane było przywiązanie gwardyi pretoryańskiej do Domicyana, obawiano się wojny obywatelskiej. Petroniusz Sekundus zaspokoił nieco wściekłą kohortę, wydając jej na łup Parteniusza, na którym pomścić mogli pretoryanie mord, popełniony na osobie cezara.

Igrzyska publiczne zabawiały lud przez szereg dni i w tym właśnie czasie udało się starej piastunce cezara pochować jego zwłoki w jednym z patrycyuszowskich grobowców.

Wiadomość o wyborze Nervy na tron rzymski szybko przedostała się do willi Tulioli. Sekstus, dowiedziawszy się o tem, uradował się niezmiernie, gdyż ożyła w nim nadzieja, że teraz będzie już mógł powrócić do swojej siedziby wraz z ukochaną przezeń małżonką. Niemniej zadowolona była ze zmiany cezara Tuliola, ale z ogólniejszych względów. Znała ona ludzki charakter nowego cezara, była więc przekonaną, że Nerva położy wreszcie kres prześladowaniu chrześcijan.

Jedynie Parys i Kornelia niezbyt interesowali się najnowszemi wydarzeniami. Gladyator był bardziej melancholijnie usposobiony, niż zwykle. Bladość jego twarzy świadczyła, iż trawi go jakaś tajona troska. Od Kornelii również wiało smutkiem, jak gdyby żałowała teraz, iż została ocaloną.

W pięć dni po wyborze Nervy, gromadka bohaterów naszej powieści zebrała się w willi Tulioli. Na niskiem krześle siedział papież Klemens i uświadamiał w wierze obie westalki, które słów jego z przejęciem słuchały. Z twarzyczki Fabioli biły promienie wewnętrznego zadowolenia. Do serca jej i umysłu z łatwością trafiały słowa papieża. Inaczej było z Kornelią. Błędy pogaństwa zbyt głęboko zagnieździły się w jej sercu,

aby z łatwością można je było wykorzenić. Nieopodal Kornelii siedzieli Sekstus i Floronia, obok której stała, wsparta na ramieniu młodej małżonki, Tuliola, przysłuchując się uważnie naukom, wygłaszanym przez starca. Wszyscy słuchali w skupieniu ducha, gdy nagle drzwi się rozwarły i zjawił się w nich Parys. Jedna tylko Kornelia, zwrócona twarzą ku drzwiom, zauważyła wejście gladyatora i, spotkawszy się z wzrokiem Parysa, zarumieniła się po uszy.

Parys nie poważył się przerywać wykładu świętemu mężowi, gdy jednak papież na chwilę umilkł, przystąpił do niego i zawiadomił go, iż w tej właśnie chwili przybył do willi wysłaniec cezara z rozkazem, ażeby Sekstus wraz z gladyatorem udali się niezwłocznie do pałacu.

Słysząc to, Floronia wydała okrzyk przerażenia i instynktownie uczepiła się ręki męża. Obawiała się, iż nowy cezar pójdzie za przykładem Domicyana, a myśl o tem wyciskała jej łzy z oczu.

— Nie niepokój się, najdroższa! — pocieszał ją małżonek.

— Czemu płaczesz? Czyż nie wiesz, że bez woli Boga włos jeden nie spadnie z głowy mężowi twemu? — powiedział papież Klemens tonem ojcowskiego wyrzutu, a zwracając się ku patrycyuszowi, dodał:

— Idź wraz z wyzwoleńcem swym, dokąd was powołuje obowiązek. My tymczasem modły słać za was będziemy.

Sekstus i Parys padli przed papieżem na kolana, a gdy starzec wkładał na ich głowy błogosławiące ręce, Sekstus zamienił pożegnalny uścisk dłoni z Floronią, Parys zaś, spojrzawszy w oczy Kornelii, spostrzegł z ukontentowaniem, iż w gwiazdach jej cudnych oczu czaił się niepokój i troska.

— W jakim celu cezar może nas wzywać? — pytał Sekstus, znalazłszy się już na ulicy z Parysem.

— Któż to może wiedzieć? — odrzekł gladyator. — Nie mogę sobie wogóle wyobrazić, jak cezar może zajmować się osobą nędznego wyzwoleńca. Obawiam się jednak, że doniesiono mu, iż ja to pomógłem piastunce

Domicyana ukryć w bezpiecznem miejscu zwłoki cezara. Jeżeli tak się rzecz ma, to ty nie masz się czego obawiać. Ja tu jestem jedynie winnym i przy przesłuchaniu nie zaprę się tego, com uczynił.

— Mylisz się, Parysie. Jeden z naszych braci zapewnił mnie, że senat, nie chcąc wywoływać nowych zamieszek w pretoryańskich kohortach, zakazał wogóle czynić poszukiwań za zwłokami Domicyana. Zresztą, czemu się wysilamy nad odgadnięciem zagadki, skoro wkrótce będzie ona rozwiązana? Dotychczas Opatrzność czuwała nad nami, a jeśli się Jej obecnie spodoba, iżbyśmy padli ofiarą zemsty następcy Domicyana, to będziemy musieli poddać się Jej woli.

— Śmierć byłaby teraz bolesną — wykrzyknął Parys, przypomniawszy sobie ostatnie spojrzenie Kornelii.

Idąc z pośpiechem, Sekstus i Parys ani spostrzegli, jak znaleźli się na wzgórzu palatyńskiem i stanęli przed pałacem cezara.

Spostrzegłszy, że wejście do przedsionka pałacu oblężone było przez tłum ludzi, zawahali się chwilę. W tejże jednak chwili przystąpił do nich stary niewolnik, przyjrzał się im uważnie i polecił wreszcie iść za sobą.

Nerva zamieszkał na razie nie w złotym pałacu Domicyana, lecz w powiększonym przez Tyberyusza pałacu cezara Augusta. Tu właśnie wkroczyli nasi znajomi, a minąwszy cały szereg sal z przepychem urządzonych i zdobnych rzeźbami największych mistrzów, znaleźli się w małym, wdzięcznym pokoiku, o posadzce z białego i czarnego marmuru i ścianach strojnych w płaskorzeźby, przedstawiające różne sceny z „Odyssei“. Pod ścianami stały tu dookoła, oparte na granitowych podstawach, popiersia Cycerona, Seneki, Demostenesa i Lizyasza.

W pośrodku tego pięknego saloniku stał stół z żółtego marmuru, wsparty na bronzowej podstawie, przy nim zaś siedział starzec, ubrany w togę senatorską.

Słysząc kroki nadchodzących, starzec zwrócił się ku drzwiom.

— Senator! — wykrzyknął mimowolnie Parys, nie mogący wyjść z podziwu.

Starzec, uśmiechając się, skinął głową, a gdy przy-

byli zajęli wobec niego postawę, pełną szacunku, przyświadczając Parysowi, rzekł:

— Tak, istotnie! Ja to jestem owym senatorem Nervą, którego zdobi teraz wieniec laurowy cezara. Ale stary Nerva się nie zmienił i nigdy nie zapomni o swej przeszłości.

Zwróciwszy się następnie ku Sekstusowi i obrzuciwszy go łaskawem spojrzeniem, ciągnął dalej:

— Czy przypominasz sobie jeszcze tego senatora, którego togi czepiałeś się, będąc chłopięciem, w domu rodzicielskim?

— Nie przypominam sobie tego, cezarze, i...

— Bądź śmiały w mej obecności. Oto moja ręka na znak przyjaźni. Nie olśniony wysoką godnością, jaką mnie obdarzyli współobywatele, zechciej widzieć we mnie tylko starego przyjaciela.

Zdumiony szlachetnem, wspaniałomyślnem zachowaniem się cezara, Sekstus z uszanowaniem uścisnął mu rękę.

— Pomówmy teraz o przyczynach, które mnie skłoniły do tego, żem was tu sprowadził — mówił dalej cezar. — Ty, Sekstusie, możesz, zbywszy się troski, spokojnie wracać do swej siedziby, gdyż nie dopuściłeś się żadnego występku. Mściła się na tobie tylko złośliwość Domicyi. Co się jednak tyczy westalek, to obie one muszą być na wieki dla świata umarłe... Każdy jest przekonany, że Campus sceleratus jest grobem Kornelii, a nurty Tybru — grobem Fabioli. Jakkolwiek potęga moja jest wielka, nigdy nie będę w stanie przywrócić im godności kapłanek. Nie chcę jednak córki mego starego przyjaciela skazywać na niedostatek. Ojcowizna jej przez skarb państwa przejęta została, nią więc teraz rozporządzam. Nie mogę jej wprawdzie zwrócić całego majątku, ale pragnę ją za to odszkodować w inny sposób. Oto w pobliżu Capuy posiadam rozległe posiadłości, odziedziczone po matce mojej. Tam może córka Flawiusza żyć odtąd w pokoju i zapomnieniu.

Parys zasępił się, gdy to usłyszał.

— Dlaczego skazywać ją na samotne i bezcelowe życie? — mamrotał cezar, który, zauważywszy zasępienie

Parysa, począł chodzić po pokoju. — Grób ją rozwiązał ze ślubów kapłańskich i zamknął się na zawsze nad Kornelią-westalką. Dla niej zabłysło nowe życie... Nie, trudno ją na pastwę samotnego życia zostawić... Kornelia nie żyje... Dla mnie tak, ale dla świata nie żyje... Zemsta wszak poza grób ścigać jej nie powinna, nie może...

Tu przerwał starzec swój monolog i przystąpiwszy do Parysa, położył rękę na jego ramieniu, mówiąc:

— Los skazał cię od najwcześniejszej młodości na nędzę i niewolnictwo. Ale twe szlachetne, wspaniałomyślne serce świadczy, iż zasługujesz na lepszy los, Parysie. Uratowałeś życie Kornelii i gotów byłeś zaprzedać nawet własną wolność, aby tylko westalce módz pospieszyć z pomocą. Wybornie więc! Połącz swój los z jej losem i opuść wraz z nią tę ziemię, na której tyle doznałeś goryczy. W twym wieku nawet na pustyni można się czuć szczęśliwym. Słońce przyświeca wszędzie, a ojczyzna nasza zdaje się być właśnie zakątkiem ziemi, stworzonym niejako dla zażywania szczęścia. Żeń się więc, Parysie, z córką Flawiusza i idź wraz z nią na wygnanie...

Parys słuchał słów cezara w wzrastającem zdumieniem. Ostatnie jednak słowa pozbawiły go nieledwie zmysłów. Możliwość połączenia się kiedyś węzłem małżeńskim z Kornelią nigdy nawet nie przeszła mu przez głowę. Mógł marzyć jedynie o tem i tą słodyczą marzenia się napawać, a po trzeźwem spojrzeniu na rzeczywistość — tembardziej cierpieć.

Aż oto słowa cezara...

I zdało się Parysowi naraz, że śni sen cudny o szczęściu nieosiągalnem, dalekiem...

Cezar z uśmiechem spojrzał na twarz przybladłą Parysa, a zwracając się następnie do Sekstusa, rzekł:

— Ty jesteś węzłami krwi związany z Kornelią, składam więc jej szczęście w twoje ręce. Zapytaj jej serca, a o resztę ja się zatroszczę. Teraz zaś udajcie się w swoją drogę, gdyż ważne czekają mnie sprawy. Spokój beztroskliwego żywota już nigdy nie będzie udziałem starego Nervy... Powiedzcie wdowie po senatorze Maryuszu Tuliuszu w mojem imieniu, że przecho-

wuję zawsze żywą pamięć o jej zmarłym małżonku. Powiedzcie jej, że może ona, wolna od troski, pozostać nadal w swej willi, gdyż jakkolwiek wiem, że willa jej była miejscem ucieczki dla osób, prześladowanych przez Domicyana, to jednak nowy cezar zupełnie wykreślił świadomość tego ze swej pamięci... I powiedzcie jej jeszcze, że dni przelewu krwi niewinnych chrześcijan minęły...

Przejęci uwielbieniem dla cezara i wzruszeni głęboko, Parys i Sekstus opuszczali wzgórze palatyńskie. Sekstus, uszczęśliwiony niezmiernie, iż może wrócić z Floronią do swej przepysznej willi, marzył z uśmiechem o czekającem go szczęściu. Parys natomiast, poruszony do głębi słowami cezara, postępował w myślach pogrążony za patrycyuszem.

Dopiero słowa tego ostatniego zbudziły go z zadumy.

— Czy jesteś gotów, Parysie, zawiadomić Kornelię o woli, wyrażonej przez cezara? — zapytał Sekstus.

Ciemny rumieniec oblał twarz Parysa.

— Rzuciłbym się raczej na arenę, między dzikie zwierzęta, aniżelibym miał rękę swą zaofiarować córce patrycyusza! — odburknął Parys. — Wprawdzie nie pochodzę z gminu, ale do nazwiska przodków mych przylgnęło już piętno niewolnictwa, a zresztą i obecnie jestem tylko biednym wyzwoleńcem.

Sekstus, który sam nie wahał się podnieść plebejuszki do godności swojej małżonki, wzruszył tylko ramionami i, biorąc za rękę Parysa, rzekł:

— Skoro ty nie masz odwagi, to ja z Kornelią o tem pomówię.

— Błagam cię, nie czyń tego, patrycyuszu! Zuchwałość moja zrodzi tylko w jej szlachetnem, ale dumnem, sercu pogardę.

Sekstus w odpowiedzi potrząsnął tylko markotnie głową i, nic już nie mówiąc, szedł dalej. Zbliżywszy się do willi Tulioli, patrycyusz przyspieszył kroku, aby corychlej uspokoić Floronię. Zaledwie przekroczył ogrodzenie ogrodu, gdy ujrzał już zdala wiotką postać młodej małżonki, wyciągającej ku niemu ręce.

— Bogu dzięki! — wołała Floronia. — Sądziłam, że już cię nie ujrzę więcej!

Patrycyusz złożył na jej czole pocałunek, ujął ją pod rękę i młodzi małżonkowie, zajęci żywą pogawędką, poczęli spacerować po ogrodzie.

Parys tymczasem zapuścił się w zieloną, cienistą aleję ogrodu, a uczyniwszy kilka kroków — stanął, jak wryty. Przed nim nieopodal zarysowała się wdzięczna postać Kornelii, siedzącej na krawędzi basenu i przyglądającej się pląsającym w wodzie rybkom. Nie miał odwagi zbliżyć się do niej. Stanąwszy więc na uboczu, przyglądał się niepostrzeżony drogiej istocie, u stóp której chętnieby jako niewolnik dokonał reszty swego żywota.

Nagle zauważył Floronię, spieszącą ku przyjaciółce.

Floronia, siadłszy obok Kornelii, wdała się z nią w cichą rozmowę.

Twarz Kornelii w czasie tej rozmowy to bladła, to czerwieniała naprzemian.

— Mam więc opuścić ojczyznę, opuścić na zawsze ziemię, kryjącą w swem łonie prochy mych przodków?! — jęknęła boleśnie Kornelia.

Każde jej słowo dochodziło do uszu stojącego w pobliżu Parysa.

— Fabiola towarzyszyć ci będzie, ja z Sekstusem będziemy cię często odwiedzać, a jeśli zgadza się to z twą wolą, to wspaniałomyślny i dzielny twój zbawca będzie na wygnaniu twym nieodłącznym towarzyszem.

— Ach, nie mów mi o nim! Wiążą mnie wszak śluby, których nigdy zerwać zupełnie nie będę w stanie! — wykrzyknęła westalka, wzdychając głęboko.

— Zapominasz, że nie jesteś już kapłanką Westy — perswadowała Floronia. — Zapominasz, że święty sakrament chrztu zniósł już twe ślubowania i że przeto od twej woli tylko zależy, czy pozostaniesz nadal dziewicą, czy też żoną i matką. Parys był wprawdzie niewolnikiem, ale i ty nie jesteś już córką Flawiusza od chwili, gdy nad westalką Kornelią zamknęła się płyta grobowa na Campus sceleratus.

Kornelia umilkła, walcząc w głębi duszy ze sobą.

W duszy jej ścierały się ze sobą duma, wdzięczność i miłość. Kornelia pokochała Parysa i już uczucie

miłości miało zapanować nad jej dumą, gdy gasnąca pycha zajaśniała ostatnim blaskiem:

— Parys zbyt drogo płacić mi każe dług wdzięczności!... — rzuciła nagle, a chmura gniewu zawisła na jej czole.

Zaledwie Kornelia wyrzekła te słowa, gdy rozchyliły się nagle z głośnym szelestem pobliskie krzewów gałęzie i — Parys stanął z podniesioną głową i wyrazem cierpienia na twarzy przed Kornelią.

— Nie uczyniłem ani kroku dla uzyskania twej wdzięczności — rzekł z goryczą. — Byłem gladyatorem, obecnie jestem nędznym wyzwoleńcem i pragnę jednego tylko... pragnę zdala od Rzymu odpokutować za ten jedyny grzech mego życia, że ciebie, Kornelio, kochałem...

Nagłe zjawienie się Parysa wywarło na Kornelii głębokie wrażenie.

Westalka, dreszczem przejęta, spoglądała na piękną w szlachetnym gniewie i bólu twarz gladyatora, a gdy tenże, wypowiedziawszy swe postanowienie, odchodził, aby nigdy nie wrócić, Kornelia, wyciągając ku niemu ręce, zawołała błagalnym tonem:

— Parysie, nie pozostawiaj mnie samą!... Nie odchodź!...

Gdy Parys zatrzymał się, słysząc to wezwanie, Kornelia podbiegła ku niemu i, skrzyżowawszy ręce, rzekła z uczuciem i godnością:

— Parysie, życie, któreś uratował, należy do ciebie! Zapomniana przez wszystkich sierota, nikogo już nie posiadam na tym świecie. Czyż i ty chcesz mnie opuścić? Tak, istotnie! Nie jestem już kapłanką Westy. Bóg twój jest moim Bogiem, i podobnie, jak ty, chrzest już przyjęłam...

Owładnięty uczuciem niewysłowionego szczęścia, Parys przyklęknął przed Kornelią i w niebo utkwił wzrok, pełen wdzięczności.

XXIV.

Wśród błysków szczęścia i łez.

Dwa lata upłynęły od wyżej opisanych wydarzeń, a popioły cezara Nervy od ośmiu już miesięcy spoczywały w sarkofagu. Rządy jego krótko, niestety, trwały. Szlachetny starzec, szczerze opłakiwany przez lud rzymski, padł ofiarą epidemii; Trajan zaś, adoptowany przezeń za syna, z którym Nerva w ostatnich miesiącach swego życia dzielił już rządy, został jego następcą.

Pewnego upalnego wieczoru czerwcowego, gdy słońce, kryjące się zwolna w falach morza Tyrenejskiego, rzucało ostatnie swe blaski na równiny, rozciągające się od stóp Wezuwiusza aż do widniejących w dali łańcuchów górskich, na terasie willi, leżącej w pobliżu drogi appijskiej, siedziała młoda, piękna niewiasta, przyglądając się, z rękami, splecionemi na kolanach, zachodzącemu słońcu, którego płonąca tarcza znikała stopniowo na horyzoncie.

Gdy słońce skryło się już zupełnie i pozostała po niem na niebie tylko smuga świetlana, niby wspomnienie dnia przeżytego, siedząca na terasie niewiasta zwróciła swój wzrok na przyległe łąki i pola, jak gdyby oczekując nadejścia kogoś pożądanego.

Willa, której zdawała się być właścicielką, była niewielka, ale posiadała wdzięk całkiem swoisty. Po obu bokach westybulu spoczywały kolosalne lwy, z bazaltu wykute, marmurowe zaś statuy, zdobiące teras, nadawały willi wygląd niezwykle eleganckiej, wykwintnej siedziby. W pobliżu willi znajdował się, otoczony rozległymi ogrodami owocowymi, dom dozorcy majątku. Ogrody te jednym krańcem dotykały zabudowań gospodarskich, drugim zaś graniczyły z wspaniałymi klombami willi, których kwiaty nęciły ku sobie roje pszczół, unoszących się w powietrzu.

Przed samym domem rozciągał się, niby pyszny kobierzec, przetykany kwiatami trawnik. Tu i ówdzie szemrały wdzięczne fontanny, których kryształowo czysta

woda spływała do porfirowych basenów. Ławki marmurowe, otulone cieniem wielkich, majestatycznych dębów, zapraszały niejako mieszkańców willi do odpoczynku i ochłody.

Na jednej z takich marmurowych ławek siedziało młode dziewczę, ubrane w długą, białą szatę. Warkocze bujnych blond włosów otaczały wieńcem głowę dziewczęcia, przyglądającego się z uśmiechem igrającej w pobliżu kozie.

Niewiasta, siedząca na terasie, przypatrywała się przez chwilę z zadowoleniem tej sielskiej scenie, następnie zaś zwróciła pełne tkliwości macierzyńskiej spojrzenie na twarz młodego dziewczęcia. W tej jednak właśnie chwili uwagę jej zwróciła zbliżająca się ku willi grupa robotników, powracających z narzędziami w rękach z pracy w winnicach. Na czele ich, ubrany w wełnianą tunikę naturalnej barwy, kroczył mężczyzna, którego piękne włosy, zlane potem, spadały mu w rozrzuconych kosmykach na czoło. Mężczyzna ów, zbliżywszy się do trawnika i ujrzawszy, przechyloną przez poręcz terasu postać niewieścią, uśmiechnął się dobrodusznie i rzuciwszy trzymane narzędzia na ziemię, pospieszył ku niej.

— Wróciłem dziś później, niż zazwyczaj, kochana Kornelio! — rzekł, biorąc w swe spracowane dłonie jej drobną rączkę.

Kornelia wskazała mężowi miejsce na ławce obok siebie i chusteczką poczęła ocierać pot z jego czoła, ten zaś w dalszym ciągu mówił:

— Jutro nie wyruszę w pole, gdyż jest to rocznica naszych zaślubin i rocznica zarazem tego błogosławionego dnia, w którym ty, droga moja, rzuciłaś błędy pogaństwa i stałaś się chrześcijanką.

Kornelia, miast odpowiedzi, przycisnęła rękę męża do swego serca, wdzięcznością przeniknięty ku temu Bogu, któremu zawdzięczała swe dawne ocalenie i dzisiejsze szczęście rodzinne.

Cienie nocy zaczęły już otulać siedzących obok siebie małżonków, gdy Kornelia, westchnąwszy, zwróciła wzrok ku morzu i ozwała się smutnie:

— Gdy pomyślę o biednej Domiceli, w tak okrutny

sposób rozdzielonej z swym mężem i zmuszonej żyć na wygnaniu, to odczuwam wyrzuty sumienia z powodu szczęśliwości, jakiej tu, przy twoim boku, zażywam. Nerva, który okazał się dla nas tak wspaniałomyślnym, był surowym wobec Domiceli i nie zmiękł nawet wobec gorliwych próśb i przedstawień Sekstusa.

— Nerva nie mógł jej z wygnania odwołać, tem mniej zaś mógł to uczynić Trajan. Domicela wyparła się wszak publicznie bogów rzymskich. Ułaskawić ją, znaczyłoby wywołać niezadowolenie i wściekłość ludu. Ale wysłano natomiast do niej jej synów, a skoro tylko może wychowywać ich po chrześcijańsku, to bądź pewna, że ta małżonka męczennika czuje się mniej nieszczęśliwą, aniżeli przypuszczasz.

Rozmowę małżonków przerwał radosny okrzyk Fabioli, spieszącej żwawo ku okratowanym wrotom willi.

Parys i Kornelia, przechyliwszy się poprzez poręcz terasu, dostrzegli wózek podróżny, który na drodze appijskiej się zatrzymał. Jakiś mężczyzna w todze senatora, w towarzystwie młodej niewiasty i niewolnika numidyjskiego, trzymającego na rękach dziecko, wysiedli z wózka, witani wśród wybuchów wielkiej radości przez Fabiolę.

— Sekstus! Floronia! — zawołała Kornelia i pobiegła uścisnąć przyjaciółkę, podczas gdy Parys potrząsał serdecznie ręką patrycyusza.

— Wizyta twoja, senatorze, przenika mnie najżywszą radością! — mówił Parys.

— Zwij mnie po imieniu, przyjacielu! — odrzekł Sekstus, którego świeżo otrzymana godność senatora nie uczyniła bynajmniej zarozumiałym i pysznym.

Tymczasem Floronia z dumą młodej matki pokazała swego syna pierworodnego, pieszczonego i podziwianego przez Kornelię, a witanego radośnie przez Fabiolę.

Wieczór upłynął wśród ożywionej rozmowy, a gdy później wszyscy znaleźli się razem w triklinium, senator, na pytanie Parysa, co słychać obecnie w Rzymie, odrzekł:

— Rzymem rządzi Trajan, szanowany i lubiany przez lud, który jednak opłakuje jeszcze Nervę.

— Ale nie wspominasz nam nic o Tulioli, Sekstu-

sie! — ozwała się Kornelia, z niepokojem oczekując odpowiedzi.

— Tuliola jest już w niebie. Zmarła śmiercią sprawiedliwej w obecności papieża Klemensa, który, mimo swego podeszłego wieku, znajduje się przy jak najlepszem zdrowiu.

Na wiadomość o zgonie szlachetnej matrony, oczy Kornelii wypełniły się łzami; chcąc więc rozprószyć jej smutne myśli, Parys z kolei zapytał:

— A co się dzieje ze starą Praksedą?

— Prakseda mieszka wraz z nami, spokojnie oczekując kresu swego życia — brzmiała odpowiedź Floronii.

— O, gdybym na skrzydłach mogła polecieć do swej Ojczyzny! — westchnęła Fabiola.

— Możesz wrócić do ojczyzny, jeśli tego pragniesz. Dwa ubiegłe lata zmieniły cię bardzo i nikt już tam nie rozpozna w tobie dawnej westalki — oświadczył Sekstus.

— Wracaj z nami, Fabiolo! Pod naszym dachem przeżyjesz może najpiękniejsze dni swego życia — dodała Floronia.

Promień uszczęśliwienia padł na twarz dziewczęcia, potrząsnąwszy jednak po chwili głową, rzekła wzdychając:

— Nigdy już nie ujrzę mej ojczyzny! Widok świątyni Westy zatrułby mi życie. A zresztą mogłabym się spotkać z Flawią, a jej wzrok przenikliwy rozpoznałby mnie, choćbym miała włosy bielsze niż śnieg.

— A co się stało z Domicyą, żoną cezara? — zagadnął Parys senatora.

— Domicya przebywa nadal w Rzymie. Żyje w największem poniżeniu, pogardzana i unikana przez wszystkich.

Do późnej nocy trwała ta pogawędka, na drugi zaś dzień rano wszyscy udali się do urządzonej w pobliżu, a ukrytej dla niepożądanych oczu kaplicy, gdzie modłami uroczystemi uczczono rocznicę szczęśliwego wydarzenia.

W rocznicę tę zawsze zjeżdżało się i lat następnych to kółko krewnych i przyjaciół, przyczem żona senatora

każdego roku pochwalić się mogła nową, świadczącą o jej szczęściu małżeńskiem, pociechą.

Ale i Kornelia nie długo pozazdrościła szczęścia przyjaciółce, gdyż niebo pobłogosławiło jej małżeństwo dwojgiem uroczych aniołków, które dopełniły miary szczęśliwości małżeńskiej.

Młode pary cieszyły się długiem i szczęśliwem życiem. Wszystkich jednak przeżyła Fabiola, która poświęciła się całkowicie służbie chrześcijańskiemu Bogu. Zarówno poganie, jak i chrześcijanie, kochali i czcili ją bardzo, jako anioła dobroci i czystości, ale sercu jej to nie wystarczało. Pożądała ona korony męczeńskiej, a Bóg wysłuchał jej modłów.

Oskarżona, iż szydzi z bogów pogańskich i pogardza nimi, rzucona została pod kły dzikich zwierząt w amfiteatrze, zbudowanym przez cezara Hadryana w Capui.

Czysta dusza Fabioli uleciała z areny ku niebu, a nikt nie wiedział i nie przypuszczał, że to w krwi kałuży konała na arenie westalka.

KONIEC.

WYDAWNICTWA „PIASTA"

Dotychczas wyszły następujące książeczki:

1. **„Pieśni i piosenki wojenne". Część I.** **Wyczerpane.**

2. **„Listy z rowów strzeleckich". Wyczerpane.**

3. **„Śpiewnik żołnierski". Część I.** – Zbiór przepięknych pieśni żołnierskich ludowych z nutami. **Cena 30 halerzy.**

4. **„Mapy plastyczne" wszystkich terenów wojny europejskiej. — Kto chce dokładnie śledzić przebieg europejskiej wojny, ten się bez tych map plastycznych nie obejdzie.** Dlatego każdy kupić je powinien, tem bardziej, że cena jest śmiesznie niska, bo **14 map kosztuje zaledwie 1 koronę.**

5. **„Ustawowe należytości na zaopatrzenie. Zasiłki na utrzymanie."** **Wyczerpane.**

6. **„O co się wojna toczy i kiedy będzie pokój?"** napisał *Ludwik Szczepański.* Jest to książeczka, w której znany, świetny publicysta porusza rzeczowo i głęboko przyczyny wojny, zestawia jej koszta, ogarnia cały kompleks spraw, jakie ta wojna wywołała i wysnuwa wnioski co do czasu, kiedy się ta wojna skończy. Książeczkę tę powinien przeczytać każdy obywatel, a przedewszystkiem każdy Polak. **Cena 30 halerzy.**

7. **„Nasi pod Kraśnikiem"** prześliczna opowieść o bohaterskich walkach polskich pułków, zwłaszcza krakowskich dzieci, napisał *Edmund Bieder.* **Cena 50 halerzy.**

8. **„Pod znakiem Legionów",** zebrał *J. A. Teslar.* Przepiękna książeczka o naszych legionistach, ozdobiona wspaniałymi obrazkami w większej liczbie. Powinna się ona znaleść w każdym domu. **Cena** z przesyłką pocztową **1 korona.**

Wszystkie wydawnictwa są do nabycia w Administracyi „Piasta". — Zamówienia i pieniądze przesyłać należy pod adresem: **„Piast", Kraków, Mały Rynek 4, I. p.**

Nowość księgarska! Do nabycia w każdej księgarni i w administracyi „PIASTA“

PIEŚŃ POLSKA W LATACH WIELKIEJ WOJNY

Zebrał i wydał **Ludwik Szczepański.**
Okładkę rysował **Piotr Stachiewicz.**

Książka składa się z 8 rozdziałów:

W górę serca! — Wojna — i tragedya polska. — Z padołu łez i zniszczenia. Pod sztandarem Legionów. — Nastroje, wrażenia, tęsknoty. — Podzwonne na polu chwały. — Marsze, piosenki i wiersze Legionistów i żołnierzy w polu. — Echa dnia politycznego.

Pięknie wydana książka jest doniosłym lirycznym dokumentem wielkiej chwili. Składają się na nią utwory w liczbie 150, blisko stu poetów, wśród których znajdują się wszystkie wybitne nazwiska współczesnej poezyi polskiej. Wszystkie utwory zrodziły się w latach wielkiej wojny 1914/15 — a książka daje pełny obraz haseł i pragnień, nadziei i przeżyć, bólów i tęsknot duszy polskiej.

Książka ma wartość **pamiątki**
i nadaje się **na podarki.**

Cena w handlu księgarskim 2 K 20 hal.

Dla prenumeratorów „Piasta“, którzy zamówią książkę wprost w administracyi „Piasta“, cena została wyjątkowo zniżona do 1 kor. 85 hal. Kto chce książkę otrzymać, winien do administracyi „Piasta“ nadesłać 1 K 85 hal., oraz na koszta poleconej przesyłki 35 hal., czyli razem 2 kor. 20 hal.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096414642